

PIOTR PODGÓRSKI



Jakimi ścieżkami może chodzić miłość?

TRZY RAZY
miłość

Książka pełna uroku i magicznych zdarzeń. Polecam!
Magdalena Witkiewicz

L I R A
WYDAWNICTWO

PIOTR PODGÓRSKI

TRZY RAZY
miłość

LIRA
WYDAWNICTWO

Ewelina czuła, że ten dzień będzie inny. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć, po prostu coś wisiało w powietrzu. W nocy kiepsko spała, budziła się parokrotnie. Wstała wcześniej rano i patrząc w lustro, po raz kolejny powtórzyła w myślach, że musi... zwyczajnie musi coś zmienić w sobie, w swoim życiu, choć jeszcze nie wiedziała co konkretnie. Ale tak dalej być nie mogło. Wpadała w obsesję. Zdawało jej się, że ktoś grzebał w jej komputerze, przeszukiwał jej biurko, miała wrażenie, że ciągle ktoś ją śledzi i podsłuchuje. Od tej roboty dostawała paranoi! Co gorsza, pod oczami pojawiły jej się cienie i pierwsze zmarszczki mimiczne. Niedobrze. Wręcz fatalnie, biorąc pod uwagę, że była kobietą.

Poranna toaleta i codzienny rytuał — krople gorącej, świeżo parzonej w ekspresie kawy powoli kapały do kubka, dając znak do rozpoczęcia dnia. Leniwie włączyła komputer, by sprawdzić pocztę. Nic ważnego. Jak zwykle jakieś grupowe wiadomości, których nawet nie czytała — od razu wylądowały w folderze „spam”. Odsunęła krzesło i podeszła do dużego okna. Parę lat temu otrzymała apartament na Mokotowie jako rekompensatę po rozwodzie.

Rekompensata... Czy za cenę mieszkania można zwolnić się z przysięgi małżeńskiej, dać sobie spokój, wykpiwając się ze zobowiązań namiastką odszkodowania za... straty moralne? Przecież to miało być na zawsze, do końca, tak sobie przysięgali. Zaraz po ślubie zaszła w ciążę i parę miesięcy później w wypadku samochodowym straciła dziecko. To nie była jej wina. Pijany kierowca w opłu corsie zjechał ze swojego pasa wprost na jej samochód. Nigdy nie winiła siebie za to, co się stało, ale nie była ślepa. Od tamtej pory coś się między nimi popsuło, mąż wracał coraz później z pracy, przestali dzielić wspólne pasje, zaczęli życie obok siebie. W końcu przyszedł i wyznał wprost, że ma kogoś i jest mu przykro, że muszą się rozstać, ale tak będzie najlepiej.

Czy w ogóle obchodziło go, jak się czuła? „Jest mi przykro” — trzy słowa bez większego znaczenia. Do tego wypowiedział je takim tonem, jakby przepraszał za brak cukru do herbaty.

Tamtego wieczora zrozumiała, że owszem, była mu potrzebna, ale nigdy jej nie kochał. Znali się od dziecka, zawsze razem, nierozłączni — wspólna podstawówka, liceum, potem ten sam kierunek studiów, dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, wreszcie praca w jednym wydawnictwie, a później w znanej gazecie ogólnopolskiej. Teraz mijali się czasem na korytarzu, wymieniając zdawkowe uwagi i uśmiechy. To było dopiero przykre.

Z zamyślenia wyrwały ją wibracje telefonu komórkowego. Powoli podeszła do stołu, przeczuwając, a raczej obawiając się, że odezwie się ktoś, z kim nie chciałaby rozmawiać. Spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznany. „Może nie odbiorę albo odrzucę połączenie?”.

Zwyciężyła ciekawość.

— Halo, słucham? — rzuciła do słuchawki ochryplym z niewyspania głosem.

— Pani Ewelino, mówi Szymonowicz. Mam pytanie i jednocześnie dużą prośbę. Czy może pani bezpośrednio po przyjściu do pracy zjawić się u mnie? — Usłyszała nosowy głos prezesa.

— Oczywiście, panie prezesie. Czy coś się stało? — zapytała, nerwowo przelękając ślinę.

— Nie, nic takiego, mam dla pani ważne zadanie. Tylko pani się do tego nadaje. Ale oczekuję dyskrecji. Czekam. — Po tych słowach przerwał połączenie.

Odłożyła komórkę i zadumała się. Co mogło być aż tak ważne, że została wezwana przez samą „góre” w trybie pilnym? „Jak to ujął? — myślała gorączkowo. — Że jestem niezbędna? I jeszcze ta dyskrecja”. Owszem, przydawała się w jej zawodzie, ale po co o tym przypominał? Nie zwykła paplać bez potrzeby, była doświadczoną dziennikarką. Dlatego prośba prezesa wydała jej co najmniej dziwna. Czyżby znów jakaś informacja o płatnej protekcji w Sejmie albo przeciek o wniosku opozycji w sprawie odwołania rządu? Intrygowała ją ta niewiadoma.

Paręnaście minut później, kiedy zbiegała do podziemnego garażu, ogarnęło ją znowu to złowrogie uczucie, które towarzyszyło jej od jakiegoś czasu. Miała wrażenie, że jest obserwowana, ale szybko odrzuciła tę paranoiczną myśl. Wsiadła do swojego czarnego peugeota i przekreśliła kluczyk.

Odetchnęła z ulgą, gdy silnik zaskoczył po pierwszej próbie. Celowo założyła czarną sukienkę od Paprockiego oraz stylowe szpilki marki Gucci, chociaż w żaden sposób nie pasowały do charakteru jej pracy, a cały strój nadawał się bardziej na wieczór niż do biura. Chciała być seksowna, zwłaszcza podejmując grę, której nie rozumiała. Przez całą drogę gorączkowo zastanawiała się, dlaczego sam prezes wezwał ją do siebie o tak wczesnej godzinie. Nadziei na awans raczej nie miała. „Prędeż mnie zwolnią, bo nadepnęłam komuś ważnemu na odcisk albo dokopałam się do jakichś brudów — pomyślała. — Wrażenie bycia śledzoną to już chyba zboczenie zawodowe. Zdecydowanie potrzebuję zmian”.

Marta wierciła się niecierpliwie na twardym krześle, czekając na korytarzu na swoją kolej. Szpital św. Józefa w Toruniu — oddział onkologiczny. Jakże często tutaj bywała... Za często — od prawie czterech miesięcy. Smutne miejsce. Mdły, szpitalny zapach i blade ściany sprawiały, że chciała stąd uciec. Wolałaby nie usłyszeć kolejnego wyroku, nie chciała teraz umierać, teraz, kiedy między nią a Krzysztofem zaczęło się lepiej układać. Tak wiele już przeszła w życiu. Mijających ją ludzi ledwie odróżniała od nijakich ścian — byli równie szarzy i smutni. Snuli się bez nadziei na przyszłość, umierając za życia, bo brak wiary w wyzdrowienie sprawiał, że już czuli się trupami.

Wiadomość o nowotworze przyszła nagle. Nie odczuwała wcześniej żadnych dolegliwości, a na badania zdecydowała się czystym przypadkiem. Towarzyszyła teściowej, która czuła się nie najlepiej. Podała się badaniu za jej namową. Wcale nie miała na to ochoty, ale wolała ustąpić, niż wdawać się w jałowe dyskusje. Matka Krzysztofa była równie uparta jak jej syn. A jednak — dzięki temu poznała prawdę. Wyniki analizy krwi wykazały, że coś jest nie tak. Dalszych testów najchętniej wcale by nie przeprowadzała. Bała się...

Ostatecznie nowotwór okazał się złośliwy. Nie domyślała się, że gorączkowanie, bóle mięśni, duża senność oraz ogólne zmęczenie to symptomy choroby. Diagnoza brzmiała jak wyrok. Marta nie była na to przygotowana. Zresztą, kto jest... Mieszkała na Podgórzu, w ubogiej dzielnicy Torunia, gdzie prawie wszyscy znali się z imienia. Nie dało się ukryć takiej „nowiny”. Odtąd sąsiedzi patrzyli na nią z litością i szeptali za jej plecami. Niektórzy gadali o niej, jakby już przeniosła się na tamten świat. A przecież ona ciągle żyła!

Wycofała się, ukryła, prawie nie wychodziła z domu. Jedynym jej łącznikiem z rzeczywistością był Krzysztof, który, o ironio, wreszcie miał ją całą dla siebie. Jej mąż uchodził za mruka i tyrana, ale Marta nie myślała o nim w ten sposób. Nie po dzieciństwie spędzonym w towarzystwie władczej matki i ojca pantoflarza. Owszem, nie była aż tak zaślepiona, by nie widzieć, że Krzysztof również wykazywał zapędy dyktatorskie. Lubił, gdy wszystko układało się po jego myśli, ale chętnie się na to godziła. Pragnęła zaznać wreszcie w życiu trochę szczęścia, chciała, żeby ktoś ją kochał. A ostatnio ich stosunki wyjątkowo się ociepliły, martwił się o nią. Mimo tragizmu sytuacji — to było miłe. Dla niego chciała żyć. Choć teściowa mruczała, że co z niej za żona, z rakiem, przez którego wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle, a na dokładkę, jak to ujęła, podobno Marta nie szanowała swojego męża. Nie szanowała? Bo wbrew jego życzeniu pojechała do rodziców, by powiedzieć im o chorobie? A co, mieli się o wszystkim dowiedzieć z nekrologu?! Ale teściowa widziała pewne sprawy po swojemu. Marta podsłuchiwała jej rozmowę z Krzysztofem, gdy wpadli ostatnio z wizytą. Właściwie nie podsłuchiwała — teściowa celowo mówiła tak głośno, aby wszyscy słyszeli. „Zbuntowana jałowa myszka” — tak ją nazwała. Jakie to było upokarzające! Wiedziała, że powinna walczyć, o siebie, o swoje małżeństwo, że nie wolno jej beczynnie siedzieć i płakać. Co z tego, że była typem szarej myszki, że nie dbała zbyt wiele o siebie — Krzysztof wcale od niej tego nie wymagał. Żona powinna być dla męża, nie dla świata, a ona chciała być dla niego wspaniałą żoną, najlepszą. Tylko że ostatnio nie miała już na to siły.

Bała się, że i czasu nie zostało jej za wiele.

— Pani Marta Bielicka! — Z impetem nagle otwieranych drzwi padła komenda wydana bezbarwnym głosem.

— Tak, jestem. — Marta zerwała się z krzesła, tuląc do piersi czarną, niemodną już skórzaną torebkę.

— Proszę wejść. — Pielęgniarka przepuściła ją w drzwiach, tarasując jednocześnie część wejścia, jakby chciała obronić gabinet przed naporem tłumu smutnych ludzi z korytarza.

Marta powoli weszła do gabinetu. Usiadła na krawędzi krzesła, splotła dłonie i spuściła wzrok, gapiąc się na czubki butów lekarza. Zastygła w oczekiwaniu na jego słowa. Poczowała, że jej ciało coraz mocniej drży, a dłonie zaczynają się pocić. Ostatnio tyle się działo. Kolejne badania i kwalifikacje do tej czy innej metody terapeutycznej, podobno ratującej jej życie — nie pozostały bez echa. Wpłynęły na jej psychikę. Czy istniała jeszcze nadzieja? Dziś lekarz miał podjąć decyzję o sposobie leczenia. Biorąc do ręki dokumenty z ostatnimi badaniami, spojrział na nią i na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju zaskoczenia. Zlustrował Martę uważnie zza plastikowych soczewek okularów, jakby chciał zapytać, o co tu chodzi.

Przeglądał wypełnione formularze analiz, wydruki z urzędzeń laboratoryjnych, czytał opisy badań, potem odłożył papiery i znowu przyjrzał się pacjentce. Marta, sparaliżowana strachem, nie potrafiła się poruszyć.

— Pani Marto, mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć? — zapytał, obserwując jej reakcję.

— Od złej, doktorze — zdecydowała, spuszczać wzrok i czując, że walące serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

— Musimy powtórzyć ostatnie badania — powiedział szybko, jakby od razu chciał przejść do drugiej informacji. — A teraz dobra wiadomość. Jeżeli nie pomyłono kart, jest pani zdrowa! Chłoniak się cofnął. Wyniki są idealne! Jak u zdrowego człowieka. Ale chyba pani rozumie... Musimy powtórzyć wszystkie badania, by wykluczyć pomyłkę. Potem trafi pani na obserwację. Będziemy się regularnie spotykać, początkowo co tydzień, potem stopniowo coraz rzadziej. Nigdy nie spotkałem się z przypadkiem, żeby rak się tak po prostu wycofał, bez leczenia chemioterapią czy innymi znanymi metodami. U pani wszystko samo zniknęło. Można to nazwać remisją. Lub cudem, o ile pani jest wierząca — dodał, kierując wzrok na medalik z Matką Boską, który spoczywał na jej piersi. Zamyślił się na dłuższą chwilę i kontynuował: — To wbrew nauce, medycynie i wbrew powszechnie znanym opisom przypadków. Oczywiście ludzie wychodzą z tego typu chorób, ale pani miała chłoniaka, a to jest nowotwór atakujący układ limfatyczny. Rozumie pani, co mówię? — zapytał delikatnie, dotykając dłoni Marty, jak gdyby chciał zbadać jej puls. — To bardzo poważna choroba, a teraz wychodzi na to, że wszystko minęło. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale takie rzeczy się zdarzają i cieszę się, że spotkało to akurat panią. Choć naprawdę nie pojmuję... — szepnął bardziej do siebie niż do pacjentki. — Siła wyższa...

Marta też nie rozumiała. Słuchała słów lekarza jak niestosownego żartu. Bała się uwierzyć w powrót do zdrowia. Teraz, gdy już niemal pogodziła się ze śmiercią. Gdy wszystko, co ważne, stało się odległe, a ona sama jakby zobojętniała. Od chwili gdy dowiedziała się o chorobie, powtarzała w kółko magiczne mantry. „Przecież to tylko przejście w lepszy świat” — tłumaczyła sobie, tuląc się do męża wieczorami. Nie zawsze pomagało. Ostatnie miesiące to była ciągła bitwa, walka toczyła się między wiarą a rezygnacją. Dwa światy. Anioł nadziei i demon śmierci. Ostatnio, jak jej się zdawało, zwyciężał jednak demon...

Mieli z mężem umowę, że nie będą rozmawiali o tym, co się dzieje, że nie dadzą się zwariować. Płakała, ale w środku. Mimo wszystko starała się być taka jak zwykle, choć dręczyło ją wiele pytań bez odpowiedzi. Co będzie z Krzysztofem? Jak sobie sam poradzi? Czy powtórnie się ożeni?

Teraz pojawiły się nowe niewiadome. Czy skoro wyzdrowiała, wszystko już będzie dobrze? Na nowo odbudują swój bezpieczny świat, by żyć w nim w harmonii i szczęściu? Nie wiedziała, nie miała pewności, do oczu cisnęły się łzy.

Musiała poszukać nowego punktu zaczepienia. Skończyła zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Chciała mieć dzieci i prawdziwą, pełną rodzinę. Tak, była bezpłodna, teściowa w kółko jej to wypominała, ale Marta wierzyła, że również z tego może się wyleczyć. Wiedziała, komu zawdzięcza tę nadzieję. Jej myśli na moment pobiegły w odległy zakątek Polski.

Lekarz mówił dalej, ale nie słuchała go zbyt dokładnie. Wreszcie zaczęła do niej docierać

niesamowita prawda. Poczwała taki przyptyw euforii, że zakręciło jej się w głowie. Była bliska omdlenia. Opanowała emocje resztkami sił, wstała i skierowała się do wyjścia. W myślach słyszała tylko jedno triumfalne zdanie: „Jesteś zdrowa, Marto!”

— Pielęgniarka zapisze panią na kolejną wizytę kontrolną — dodał nieco głośniejszy lekarz, widząc, że pacjentka ledwie go słucha. — Dobrze się pani czuje? Pani Bielicka?

— Tak, przepraszam. To dla mnie za dużo jak na jeden raz. — Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi.

— To mnie akurat nie dziwi. Oby diagnoza się potwierdziła... Jest dobrze, pani Marto! — Odprowadził ją do wyjścia, ściskając dłoń na pożegnanie.

Nie wiedziała, jak znalazła się na ulicy. Dopiero ciepły powiew wiatru przywrócił jej pełną świadomość. Z tego wszystkiego zapomniała zapisać się na wizytę kontrolną. Nerwowo poszukała w torebce komórki — starego modelu nokii — i wybrała numer męża. Odebrał po trzecim sygnale.

— Słucham — odezwał się zachrypnięty głos.

— Krzysztof... — Zawahała się, bo jak przekazać wiadomość o cudzie? Powiedziała więc po prostu: — Jestem zdrowa.

Potem zrelacjonowała w skrócie, czego dowiedziała się od lekarza prowadzącego. Krzysztof milczał, ale Marta mogła przysiąc, że usłyszała zduszony spazm szlochu, a potem głębokie westchnienie ulgi.

— O której będziesz? — zapytał swoim zwykłym beznamiętnym tonem, choć zastanowiła ją lekka zadyszka, na którą dopiero teraz zwróciła uwagę.

— Dlaczego tak dyszysz?

— Dlaczego dyszę? Biegłem do telefonu.

— Nie wiem, o której przyjadę. Muszę jeszcze zrobić zakupy. Myślę, że za jakieś dwie godziny. Kupię coś pysznego i przygotuję uroczyste śniadanie.

— W porządku, kochanie, wracaj ostrożnie. Czekam na ciebie — zakończył rozmowę, rozłączając się.

I to wszystko?

Marta przez moment pozostała w nieruchomej pozycji, z telefonem przy uchu. Straszne myśli przysły jej do głowy. Chciała je szybko odrzucić, ale... skąd ten przyspieszony oddech Krzysztofa? Nie zwykł biegać nawet dla zdrowia, tym bardziej po domu. Uciął rozmowę tak nagle i — nie cieszył się zbyt. Niepewność wróciła ze zdwojoną siłą. Czy mogą być znowu szczęśliwi? Przecież już rok po ślubie bajka zaczęła się psuć. Krzysztof nadal był opiekuńczy, ale stawał się innym człowiekiem. Albo raczej ujawniał swoje prawdziwe oblicze. Powoli, bardzo powoli osaczał ją, ingerując niemal w każdą dziedzinę jej życia. Decydował o jej strojach, fryzurze, diecie, kontaktach ze znajomymi, nawet z rodziną. Niczego kategorycznie jej nie nakazywał ani nie zabraniał, on tylko sugerował. Tym swoim oschłym, kostycznym tonem. A najdrobniejszy przejaw oporu karał milczeniem. Dlatego nie ścięła włosów, choć tyle przy nich było roboty. Dawno wyrosła z warkoczy i marzyła jej się jakaś modna, krótka fryzura. Ale nie znosiła cichych dni, więc ustąpiła. Matka zbyt często stosowała tę karę. Nauczyła się nie protestować, chciała, żeby był zadowolony.

Przywykli do układu bez kłótni i ekscytacji, bez namiętności i szczerości. Miało być idealnie, a zrobiło się nijako. Wkradła się rutyna, z czego Marta doskonale zdawała sobie sprawę. Niestety, nie potrafili o tym rozmawiać, unikali tematu i problemu, nie chcieli, a może nie potrafili tego naprawić. I wtedy — chłoniak! Przekleństwo i wyzwolenie zarazem. Choroba zbliżyła ich do siebie, dając cię nadziei na odnowę ich związku. Zaczął liczyć się z jej zdaniem, przynajmniej w niektórych kwestiach. Przecież wysłuchał jej i pozwolił szukać ratunku w małej wiosce na południu, nawet pojechał tam razem z nią.

Poczwała wdzięczność i wzruszenie. Spojrzała na zegarek. Za parę minut odjeżdżał autobus, więc musiała się pospieszyć. Po parunastu metrach odwróciła się, ogarniając wzrokiem szpital i uśmiechając się przez łzy. Jednak odniosła zwycięstwo i wiedziała, komu powinna podziękować. Odruchowo dotknęła medalika ukrytego pod bluzką i pomyślała ciepło o Marii — tajemniczej kobiecie

z Podkarpacia.

Zdecydowała, że na zakupy wybierze się razem z mężem, do sklepiku na rogu. Przecież muszą uczyć jej cudowny powrót do zdrowia. Tak, wspólnie wybiorą jakieś wino na wieczór albo lepiej — szampana. Rozmyślenia przerwał nadjeżdżający autobus linii 42.

Po dwudziestu pięciu minutach Ewelina znalazła się pod biurkiem swojego pracodawcy. O tej porze Warszawę można było przejechać w miarę spokojnie, więc trasa z Wilanowa do Śródmieścia nie zabrała jej wiele czasu. Zadarła głowę do góry, dostrzegając na trzynastym piętrze zapalone światło — tam znajdowało się królestwo prezesa, tam oczekiwał na jej przybycie.

Warszawa w swoim tempie budziła się ze snu — a w redakcji już wrzało. Ruszyła ku windom. W samochodzie nic nie wymyśliła. Miała jakieś mgliste koncepcje, ale wydawały jej się zbyt naciągane, zbyt fantastyczne. Świat nie mógł być aż tak pokręcony. Nadal więc nie wiedziała, co mogło być powodem wezwania jej przez szefa. W radiu leniwy głos spikera również nie zapowiadał żadnych incydentów z udziałem znanych osobistości. Zaniepokojenie Eweliny rosło.

„A może dostanę podwyżkę? Już dawno na nią zasłużyłam — zastanawiała się. — Tylko dlaczego jakoś nie cieszy mnie ta perspektywa?”. Zatrzymała się na moment, bo ta świadomość uderzyła w nią nagle. Nie miałyby z kim podzielić się swoim kolejnym sukcesem. W jednej chwili dopadła ją nostalgia.

Matka nie żyła, z ojcem zerwała kontakt, rodzeństwa nie miała. „Gdybym umarła, to kto wyprawiłby mi pogrzeb?”. Wcisnęła guzik przywołujący windę, jednocześnie odsuwając na bok ponure myśli. Nim wsiadała, wygładziła sukienkę i poprawiła palcami włosy. „Cholera, muszę iść na jogę, odprężyć się, inaczej dorobię się jakiejś depresji albo nerwicy natręctw”. Wcisnęła magiczną trzynastkę, po kryjomu się przeżegnała i wezwała pomocy świętej Rity od spraw beznadziejnych.

Winda bezszelestnie ruszyła w górę. W miarę pokonywania pięter podświetlały się kolejne, coraz wyższe cyfry. Ewelinie wydawało się, że to jeszcze nigdy tak długo nie trwało. Ze wszystkich sił starała się wyciszyć. Bezwiednie zaczęła szukać w torebce papierosów, klnąc w myślach, że głupia paczka gdzieś się schowała, aż przypomniała sobie, że przecież nie pali od paru miesięcy. Próbowała stosować oddechowe techniki relaksacji, ale omal się nie udusiła, zaatakowana przez niespodziewany napad kaszlu. Wreszcie drzwi trzynastego piętra otworzyły się i oczom Eweliny ukazał się czerwony dywan, prowadzący wprost pod mahoniowe, dźwiękoszczelne drzwi z tabliczką „Marcin Szymonowicz — PREZES”. Znowu nerwowym gestem poprawiła fryzurę, po czym wzięła głęboki oddech, przeszła kilka kroków i zapukała.

Po blisko półgodzinie jazdy Marta wysiadła z przepelnionego autobusu, w którym wymieszane zapachy ludzkich ciał tworzyły specyficzny, ostro-kwaśny odór. Opóźnienie na linii wynosiło prawie kwadrans, co irytowało pasażerów i stało się głównym tematem utyskiwań, oczywiście obok narzekania na wysoką temperaturę. A przecież był dopiero ranek — jak gorąco będzie później? Marta z dużą ulgą stanęła na chodniku, łapiąc hausty świeżego powietrza. Żałowała, że nie pojechała samochodem razem z mężem, ale gdy wychodziła z domu, nie chciała litości, niepotrzebnych słów, zamierzała najpierw sama uporać się z oczywistym — zdawało się — wyrokiem. Potem miała pocieszać najbliższych. Pragnęła być dla nich silna.

Pod blok dotarła niecały kwadrans później. Pewnie zaskoczy męża wcześniejszym powrotem — przecież miała jeszcze iść na zakupy. Domofon przy bramie wejściowej znowu nie działał; wygrzebała klucze z torebki, otworzyła zamek i barkiem pchnęła ciężkie drzwi, na których ktoś nabazgrał sprayem wulgarne słowa. Z trudem otwarły się pod naporem jej wątłego ciała.

Mieszkali w czteropiętrowej kamienicy na trzecim piętrze. Trzy przestronne, jasne pokoje. Jedynym mankamentem była konieczność dogrzewania zimą w piecu kaflowym, ale dawało się wytrzymać. Nieczęsto zdarzały się duże mrozy, więc pieca używali sporadycznie, ale lubiła go jako

ozdobę mieszkania. Wspięła się po schodach i weszła do domu, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Krzysztof nie lubił trzasków. Zaniepokojona dziwnymi odgłosami zdjęła niewygodne szpilki i podszła bliżej. Dotknęła zimnej klamki. Znowu usłyszała piski i śmiechy. Nie mogła się mylić. To był śmiech kobiety, chyba nawet wiedziała czyj dokładnie. Serce załomotało gwałtownie. Z impetem otworzyła drzwi i o mało nie zemdlała. Krzysztof trzymał w ramionach Jadwigę odzianą tylko w stanik i kuse majtki. Obejmowała go, piszcząc szaleńczo.

Na jej widok zerwali się gwałtownie. Jadźka — ich niespełna osiemnastoletnia sąsiadka — zaczęła szukać bluzki, a Krzysztof coś bełkotał pod nosem, że to nie tak, głupio wyszło, że to właściwie jej, Marty, wina. Poczowała mdłości. Nie zastanawiając się długo, wparowała do drugiego pokoju i wyciągnęła z szafy dużą zieloną walizkę, do której pośpiesznie wrzuciła to, co znalazła na wierzchu w szufladach. Parę spodni, trzy bluzki, trochę bielizny. Domykając walizkę, zapytała retorycznie:

— Dlaczego ja?

Nie usłyszała odpowiedzi. Nikt za nią nie pobiegł, nikt nie prosił, żeby wróciła. Nikt nawet nie rzucił zdawkowego „przepraszam”. Czuła, że nie może dłużej tu zostać. I wiedziała, że już nie wróci, nigdy. Skończyło się, klapki spadły jej z oczu.

Nie płakała. Wyszła na zewnątrz, opanowując złość i narastającą chęć zemsty. Przed budynkiem po raz ostatni obejrzała się za siebie, patrząc w okna domu, w którym spędziła tyle lat. Faceci zdradzają, ale dlaczego właśnie jej musiało się to przytrafić? Nie wystarczy, że mało nie umarła na chłoniaka? Jakimi zasadami kieruje się ten chory świat? Nagle pojawiła się myśl, że dostała nowe życie, ale jednocześnie straciła bezpowrotnie to poprzednie. Czy żałowała? Zajrzała w głąb siebie i pod powierzchnią złości i oburzenia znalazła spokój i ulgę. Tak, mimo rozczarowania jego zachowaniem — ulżyło jej. Wreszcie wiedziała, na czym stoi. Na pustce.

Zbudowała swój dom, swoje marzenia o szczęściu i rodzinie na ułudzie. Ale koniec z tym. Jego zdrada ją uwolniła. Skorzystała z okazji, jakby podświadomie od dawna na nią czekała. Zdobyła się na odwagę i odeszła. Koniec ustępstw, koniec tego dziwnego układu. Zerwała się ze smyczy chorej lojalności.

W drodze na dworzec wypłaciła jeszcze dzienny limit gotówki z bankomatu — tysiąc złotych — zanim Krzysztof zablokuje konto. Bo że to zrobi, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Co teraz? Dokąd powinna się udać? Istniało jedno takie miejsce — miejsce, od którego wszystko się zaczęło. Ale czy to dobry pomysł? Czy okaże się aż tak odważna? Znała matkę i jej konserwatywny stosunek do małżeństwa. Wciąż słyszała od niej, że miejsce kobiety, niezależnie od okoliczności, znajduje się przy mężu. Marta różniła się od swojej wybuchowej, apodyktycznej matki. Spokojna, cicha, opanowana, zawsze stała z boku, ustępując innym. Chorobliwa nieśmiałość i nazbyt oryginalna uroda zniechęcały amantów, którzy nie palili się, by ustawiać się do niej w kolejce. Na dyskoteki zaczęła chodzić za namową matki, która powtarzała, że jeżeli nie zmieni swojego nastawienia, to zostanie starą panną. Gdy na jednej z takich zabaw spotkała Krzysztofa, od razu poczuła do niego sympatię, która szybko przerodziła się w coś więcej. Nazwała to miłością, chociaż nigdy wcześniej nie doświadczyła tego uczucia. Wystarczyło, że Krzysztof zabiegał o jej względy. Nie zaliczał się do przystojniaków, ale Marcie to nie przeszkadzało, skoro już przy pierwszym spotkaniu zwrócił uwagę właśnie na nią, skoro właśnie ją wybrał. W jej oczach zdecydowanie dodawało mu to atrakcyjności.

Maria mieszkała w malutkiej wiosce Kotań na Podkarpaciu, znajdującej się blisko granicy ze Słowacją. Wieści o tym, że posiada zdolności jasnowidzenia, przepowiada przyszłość z kart, a przede wszystkim leczy nieuleczalne choroby, w tym również nowotwory, szybko obiegły okolicę, przekazywane z ust do ust. Z czasem zaczęto pisać o Marii w gazetach — za sprawą znanego prawnika ze stolicy Bogdana Traczyka. Twierdził z całą stanowczością, że wyleczyła jego synka z padaczki. Ona sama wolałaby raczej zachować anonimowość.

Jasiu — wówczas ośmioletni — bardzo cierpiał, a Traczyk, przebywający w pobliżu z rodziną na wakacjach, postanowił odwiedzić tę „babuchnę”, jak ją nazywali ludzie z wioski, w której mieszkała.

W okolicy krążyły opowieści, że jest czarownicą, rzuca uroki na ludzi i porywa małe dzieci. Każdy, kto ją znał, dodawał coś nowego, aby uatrakcyjnić swoją wersję historii, i w ten sposób powstawała legenda o Marii — czarodziejce, szamance, jasnowidzącej i uzdrowicielce.

Traczyk zabrał żonę, małego Jasia i pojechali właściwie bez żadnej nadziei na uleczenie. A na pewno on nie miał już siły, by wierzyć. Jednak chęć ulżenia synkowi w chorobie była silniejsza od poczucia beznadziei. W końcu nie miał nic do stracenia, a mógł wiele zyskać. Medycyna okazała się bezsilna, a dotąd tylko jej ufali — jak wyroczni, która teraz mówiła, że nic nie można zrobić. Lekarze bezradnie rozkładali ręce, przepisując kolejne leki, które tylko pogarszały stan Jasia. Dziecko stawało się coraz bardziej zamknięte w sobie, a jego rodzice cierpieli, nie mogąc mu pomóc.

Zielarka była niską, przygarbioną kobietą o długich śnieżno-złoty włosach spiętych w koński ogon. Miała inteligentną, łagodnie uśmiechniętą twarz i niski, głęboko brzmiący głos anioła. Uchodziła za samotnicę. Chętnie udzielała porad, ale nigdy nie mówiła nic o sobie, pilnie strzegła swojej przeszłości, jakby stała na straży dawnych sekretów, co dodatkowo pogłębiało zasnutą wokół niej aurę tajemniczości.

Bogdan doskonale pamiętał pierwsze spotkanie, kiedy z trudem trafił do jej wioski. Udało się tylko dlatego, że zadziałał GPS, wskazując kierunek, chociaż sam dojazd okazał się wielce kłopotliwy. Na licznych odcinkach trasy brakowało asfaltu lub choćby utwardzonej nawierzchni. Pomyślał, że dotarł na koniec świata, i wtedy zobaczył domki porzucane w promieniu dwóch kilometrów. Przed chatkami bawiły się dzieci, a gdzieś tam na ganki wychodzili ludzie, których zainteresował nieznaną przybysz. Widocznie tutaj atrakcję stanowił każdy nowy pojazd.

Chatka „babuchny” była tak skromna, że widok nie pasował do sławy, jaką się cieszyła jej mieszkanka. Niepozorna wydała się także witająca ich uzdrowicielka. Koścista twarz i ciało obciążone pergaminem skóry. I tylko te oczy... Była w nich jakaś odwieczna mądrość i dostojność. Gdy patrzyła na prawnika, ten natychmiast spuszczał wzrok.

Podala rękę najpierw jego żonie, potem jemu i zapytała o cel wizyty. Bogdan zdziwił się, bo odniósł wrażenie, że doskonale wiedziała, po co tu przyjechali. Zrozumiał, skąd brały się pogłoski o czytaniu w myślach.

— Państwo z synkiem, zapraszam. — Wskazała niskie drzwi prowadzące do chaty, tak niskie, że Bogdan musiał schylić głowę, aby wejść.

Uwagę mężczyzny zwróciły mocno przybrudzone ściany izby. Zgadywał, że pierwotnie musiały być pomalowane na niebiesko. Wszędzie wisiły pęki pachnących intensywnie ziół, część świeżo ściętych, część zasuszonych. Ceramiczne naczynia stały na podłodze, na prymitywnych stołkach oraz na piecu. Większość służyła za doniczki. Niektóre rośliny rozpoznał: mak, chmiel, melisę i kozłek.

Maria zaproponowała zioła do picia, ale zdecydowanie odmówili. Trochę ich zaniepokoiło, że prawie nie odpowiadała na pytania, za to uporczywie wpatrywała się w Jasia. Chłopiec, z natury nieśmiały i wstydliwy, spuścił smutne oczy. Maria nagle spoważniała, uśmiech zniknął z jej twarzy. Podeszła do chłopca i dotknęła jego dłoni. Prawnikowi wydawało się, że na moment zamknęła oczy, ale nie był pewien, ponieważ przez małe zabrudzone okiennice wpadało niewiele dziennego światła. Nastąpiła cisza, w której wyraźnie słychać było bzyczenie muchy oraz ciężki oddech „babuchny”.

— Jasiu, teraz ci coś powiem, a ty słuchaj uważnie — mówiła powoli, niby do chłopca, ale patrzyła na jego rodziców. Może chciała, by przestali się tak denerwować. Faktycznie, Bogdan odprężył się. Na twarzy swojej żony także zobaczył nieśmiały, nieco nieobecny uśmiech.

— Bardzo panią przepraszam, ale Jasiu jest chyba za mały, aby coś zrozumieć — powiedział cichym głosem prawnik, jakby w obawie, że jeśli odezwie się głośniejszym głosem, to chatka się zawali.

— Ile ma lat? — Maria tym razem skierowała pytanie do milczącej żony, która drgnęła, jakby przebudziła się z letargu.

— Jan... Jasiu ma prawie osiem lat.

— To już zrozumie.

Maria przez parę długich chwil przypatrywała się chłopcu, marszcząc jednocześnie czoło.

— Wyjdźcie! Jasiu niech tylko zostanie — powiedziała nagle głosem nieznoszącym sprzeciwu,

jakby wydawała komendę, przy czym cały czas trzymała chłopca za rękę i wpatrywała się w niego.

Zerknęli niepewnie po sobie, nie wiedząc, jak zareagować. Przecież będą tuż za ścianą. W razie gdyby działo się coś złego, wbiegną tu i zainterweniują. Nie pozwolą go skrzywdzić.

Wyszli powoli, z oporami, walcząc z chęcią oglądania się przez ramię. Stanęli dokładnie za drzwiami, które znachorka zamknęła im przed nosem. Bogdan zobaczył w oczach żony łzy i strach. Przytulił ją mocno. Boże! Kiedy ostatnio ją tak przytulał? Czy dopiero choroba syna musiała ich połączyć na nowo? Ciągła praca, kolejne sprawy... Nie zdawał sobie sprawy, że traci kontrolę nad swoim życiem. A gdy wracał, był zbyt zmęczony na rozmowę, na zabawę z synkiem, który przez cały dzień daremnie czekał na powrót taty. Zresztą gdy Bogdan wreszcie docierał do domu, Jasio zazwyczaj już spał. A on... Szklanka whisky — dla relaksu i żeby szybciej zasnąć.

Nigdy nie dowiedzieli się, co działo się za zamkniętymi drzwiami. Godzinę później Jasiu wyszedł rozpromieniony, przeniknięty kwiatowym zapachem, a rodzice otrzymali mieszanki ziół, które mieli podawać synowi zgodnie z wytycznymi. I tyle.

Przez kolejne lata Jaś nie miał ani jednego napadu padaczki. Prawdziwy cud, o którym Bogdan chętnie opowiadał znajomym, wśród których znajdowali się również dziennikarze. Wierząc mu na słowo, pisali artykuły do prasy. Mit o szamance Marii z Podkarpacia rósł w siłę, choć ludzie z okolicznych wiosek nie zdawali sobie z tego sprawy. Zresztą sama Maria również. Do czasu.

Ewelina zapukała energicznie. Cisza. Zapukała powtórnie, tym razem mocniej. Drzwi otworzył wysoki brunet o atletycznej budowie, ukrytej pod doskonale skrojonym garniturem. Po przeciwległej stronie dużego pokoju zobaczyła prezesa. Skinął zapraszająco. Podeszła do biurka i usiadła na brzegu sofy, skromnie krzyżując nogi i ręce oraz dyskretnie rozglądając się po gabinecie. Zawsze gdy tu była, zastanawiała się, kto go projektował. Niewątpliwie preferował minimalistyczny, geometryczny styl — wyposażenie można byłoby określić jako zestaw trójkątów, prostokątów i kół. Na ścianach współcześni malarze — tylko ci liczący się na rynku — i nic poza tym.

Prezes usiadł przy biurku, a obok niego stanął mężczyzna, który otworzył jej drzwi.

— Napije się pani czegoś?

— Kawy, jeżeli można. Jestem kawoszem. Bez kawy... Zresztą nieważne, przepraszam. — Starła się ukryć zmieszanie i przełknęła nerwowo ślinę.

Prezes nachylił się nad biurkiem, wcisnął guzik interkomu i wydał sekretarce polecenie.

— Dziękuję, że pani przyszła. Pozwoli pani, że przedstawię. To Andrzej Sadowski. Upolowali go nasi łowcy głów i będzie z nami pracował, ha! — Na pucołowatej twarzy prezesa pojawił się wyraz satysfakcji, jakby wygrał milion w Lotto.

Andrzej zbliżył się do Eweliny. Schylił się i musnął wargami jej dłoń w delikatnym, a zarazem dziwnie intymnym pocałunku.

— Andrzej Sadowski. Miło mi panią poznać — powiedział ciepłym, niskim, ale lekko niepokojącym głosem. Ciarki przeszły jej po plecach.

— Ewelina Dąbrowska. — Z jej krtani wydobył się chrobot. „Dobrze, że siedzę, inaczej bym zemdląła, padając u stóp tego przystojniaka, obdarzonego głosem radiowca”. Przynajmniej humor jej nie opuszczał.

Prezes obserwował tę scenkę z zadowoleniem, ale krótko.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale teraz nie pora na flirty. Przejdźmy do meritum — powiedział, biorąc duży haust powietrza. — Niech pan usiądzie obok pani Eweliny. — Wskazał miejsce tłustym palcem, na którym połyskiwał złoty sygnet.

Szef był człowiekiem niskiej postury, łysiejącym, o chytrych oczkach. Na jego temat krążyły legendy, w tym najbardziej znana, głosząca, że jest zamieszany w wiele afer i ma kontakty z warszawską przestępczością zorganizowaną. Plotka tyleż ekscytująca, co niedorzeczna, ponieważ na swój sposób sam walczył z różnymi grupami przestępczymi, opisując na łamach gazety wymierzone przeciw nim akcje policyjne. Z zapałem i bezlitośnie pastwił się nad mafiosami oraz skorumpowanymi przez nich

politykami i urzędnikami. Gdy z jedną aferą skończył, tropił kolejną. W każdym razie Ewelina w jego mafijne powiązania nie wierzyła, zaliczając je do teorii z gatunku fantastycznych i naciąganych. „Świat jest pokręcony — powtarzała sobie często, zwłaszcza ostatnio — ale nie aż tak!”.

— Z pewnością zastanawia się pani, dlaczego wezwałem ją o tak wczesnej porze. I bardzo dobrze! — Zarechotał. — Pozwoli więc pani, że wtajemniczę ją w moje plany.

— Zamieniam się w słuch, panie prezesie — odparła grzecznie Ewelina.

— Chciałbym, abyście wybrali się państwo... — Przerwało mu delikatne pukanie.

— Proszę wejść! — zawołał.

Do gabinetu wsunęła się filigranowa kobieta w ładnej, jasnej garsonce. Ze spuszczoneymi skromnie oczyma postawiła na ławie tacę z filiżanką gorącej kawy, cukiernicą i dzbanuszką na śmietankę. Ewelina rozpoznała producenta porcelanowego serwisu. Seria Witek's Extreme Cream była jej ulubioną linią tej firmy. Uznała to za dobry znak.

Po wyjściu sekretarki prezes kontynuował:

— Pani Ewelino, nie wiem, czy słyszała pani coś o Marii Obuch. Od dawna jest wiele szumu wokół tej kobiety. Zrobiło się o niej głośno, gdy wyleczyła z padaczki syna znanego adwokata, podobno kogoś uzdrowiła z raka, kogoś innego z wrzodów. Niby leczy ziołami, widzi przyszłość, ale podejrzewam, że tak naprawdę sprzedaje ludziom fałszywą nadzieję.

Ewelina chciała coś powiedzieć, ale prezes nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Sprawdziliśmy ją. Mieszka w wiosce Kotań na Podkarpaciu, przy granicy ze Słowacją. Jest zielarką i ichniejszą wizjonerką. Chcę wiedzieć, czy w tych bzdurach tkwi choć ziarenko prawdy. Może to jakaś zbiorowa histeria albo potężny efekt placebo, bo skoro wiara góry przenosi, to i ziółka z padaczki mogłyby wyleczyć, prawda? Pojedź tam pani z nowym partnerem, czyli z panem Andrzejem, będziecie udawać małżeństwo z problemami, szukające porady i leku na bezpłodność, wejdziecie w mentalność tych ludzi, zbierzecie materiały, udowodnicie oszustwo, a po powrocie spodziewam się obszernego i znakomitego reportażu.

— To jakiś żart? — przerwała mu wreszcie, podnosząc się ze skórzanej sofy. — Panie prezesie, ja się nie nadaję do takich misji. Nie uśmiecha mi się wyjazd do dziury na końcu świata, gdzie psy... — Wzruszyła ramionami. — Jestem poważną dziennikarką śledczą, a nie tropicielem wiejskich oszustek. Pan wybaczy, ale od tego jest miejscowa policja i prokuratura — ciągnęła zaciętrzewiona, choć wiedziała, że z prezesem się nie dyskutuje. To była odruchowa i nieco paniczna reakcja na propozycję, która stawiała ją w mocno niezręcznej sytuacji.

— Nie można ot tak sobie wyleczyć nowotworu czy epilepsji — kontynuował prezes, jakby nie usłyszał wyводу Eweliny. — W tym musi być jakiś haczyk. Sama pani doskonale wie, że cudów nie ma. A co do oficjalnego śledztwa, Maria Obuch nie łamie prawa, więc prokuratura ani policja nie mają się w jej przypadku do czego przyczepić.

— Tak, rozumiem... Ale dlaczego pan Andrzej nie może załatwić tego sam? — zapytała, spoglądając podejrzliwie na narzuconego jej siłą partnera.

— Przyczyna jest bardzo prosta. Jako małżeństwo szybciej zdobędziecie zaufanie lokalnej społeczności. Tam przez cały rok kręcą się turyści, więc jako para nie będziecie aż tak rzucać się w oczy. Zarezerwowałem dla was pokoje w ośrodku agroturystycznym w Krempej. Wszystkie dane dostaniecie jutro na biurka. Będziecie odgrywali parę z kilkuletnim stażem, która przeżywa kryzys.

Ewelina westchnęła.

— Zgadzam się, skoro nie mam innego wyjścia, ale musi pan wiedzieć, że nie jestem zachwycona tym pomysłem. — Poprawiła się na sofie. — Kiedy wyjeżdżamy?

— W środę. Dwa dni na przygotowania powinny wystarczyć. Dostaniecie podwójną pensję oraz zwrot wszystkich poniesionych wydatków.

— Panie prezesie, mogę jeszcze o coś zapytać?

— Słucham?

— Dlaczego tak panu zależy na tej sprawie?

Prezes wstał zza biurka, podszedł do niej i spojrzał na nią chłodnym wzrokiem. Pożałowała, że

zadała to pytanie. Po raz drugi poczuła ciarki przechodzące po plecach, ale te były zdecydowanie mniej przyjemne.

— Nie-pani-sprawa! — wycedził. — Do pani obowiązków należy wykonywanie moich poleceń, a nie branie mnie na spytki. — Jego wzrok nieco złagodniał. — Jest pani dobrym fachowcem, z wyrobionym w branży nazwiskiem, cenionym przez zarząd, pani artykuły są klarowne i zawsze na temat. Nie boi się pani wejść do wilczej jamy. I na tym skończmy tę rozmowę.

Ewelina przypomniała sobie o obecności mężczyzny, z którym miała odegrać ten cyrk. Postanowiła spróbować jeszcze jednego.

— A pan Andrzej? Zgodził się? — zapytała, licząc w duchu na jakieś komplikacje ze strony przystojniaka. — Co pan na to, panie Andrzeju? — Przechyliła głowę.

— Jak najbardziej jestem za tym wyjazdem, szczególnie jeżeli ma się odbyć w towarzystwie tak pięknej kobiety — wyrecytował szarmancko i wyszczerzył dwa szeregi lśniących białych zębów w uśmiechu z gatunku „powalających”.

„Ciekawe, czy ma kogoś — pomyślała, mimowolnie odwzajemniając uśmiech. — Obrączki brak. Może to gej? A może zwolennik luźnych związków? Hm...”.

Skoro nie miała już szans na wygraną, zmieniła front.

— W porządku, panie prezesie. Przejrzę dokumenty, gdy tylko je dostanę. Dziękuję za zaufanie.

— Cieszę się, że pani przejrzała na oczy — skwitował. — Aha, jeszcze jedno. Bardzo państwa proszę o całkowitą dyskrecję, to nie może wyjść poza ten gabinet, rozumiemy się? A teraz wracajcie już do swoich obowiązków.

Prezes odprowadził Ewelinę do drzwi. Kątem oka dostrzegła jeszcze dziwnie zacięte spojrzenie, jakim zmierzył ją na odchodnym.

„To wszystko jest grubymi nićmi szyte. Może mnie sprawdza? Może ta sprawa to jakaś mina?” — zastanawiała się, czekając na windę.

Zjechała na siódme piętro, gdzie znajdował się jej dziennikarski boks. Ignorowała spojrzenia kolegów, choć się im nie dziwiła. Przecież paradowała po biurze w stroju wieczorowym. Dałaby sobie głowę uciąć, że pół zespołu uznało, iż przyszła do pracy prosto z wczorajszej imprezy.

Przez resztę dnia ostro stukała w klawiaturę, by udowodnić, że bez względu na ubiór zawsze pracuje na sto procent.

Marta późnym popołudniem wysiadła na dworcu PKP w Bochni. Panowała nieznośna duchota. W powietrzu wyczuwało się napięcie jak przed burzą. Zaspany dyspozytor zapowiadał sennym głosem odjazd pociągu do Krakowa. Nie uprzedziła rodziców o swoim przybyciu, nie umiałaby przez telefon powiedzieć o tym, co teraz czuje. Trudno zwierzać się na odległość, gdy nie widać emocji rysujących się na twarzach rozmówców. Lepiej przyjechać i poskarżyć się... A nuż trafi na podatny grunt, może coś się wreszcie zmieniło od czasów, gdy była dzieckiem.

Ze stacji szła powoli, zgarbiona, myśląc intensywnie o reakcji rodziców. Parominutowa droga zajęła jej ponad kwadrans. W końcu jednak znalazła się przed swoim rodzinnym domem, a właściwie blokiem z odrapanym tynkiem. Targała walizę na czwarte piętro, zastanawiając się, czy dobrze robi.

Wzięła głęboki oddech, wyciszyła emocje i zadzwoniła.

Otworzyła jej matka ubrana w szlafrok. Wyszła za próg i wyciągnęła do niej rękę. Przez chwilę tuliły się bez słowa, potem weszły do środka.

— Rozumiem, że coś się stało, skoro Krzysztof został w Toruniu? — Matka zawiesiła głos, a Marta bez słowa kiwnęła głową. — Chodź do kuchni, porozmawiamy.

Starsza kobieta nalała wody do czajnika i zapytała:

— Co się stało?

— Mamo, daj mi jeszcze chwilę. Muszę złapać oddech.

Matka odwróciła się w kierunku czajnika, ale Marta i tak dostrzegła wyraz rozczarowania i zaciętości na jej twarzy. Dokładnie takiej reakcji się obawiała. „Nawet nie zapytała, jak badania”.

Poczuła, że emocje, które próbowała stłumić, napływają ze zdwojoną siłą.

A jednak parę minut później zwierzała się matce spokojnym tonem. Nie płakała, bo w tym domu nie tolerowano mazgajenia się. Poza tym zwyczajnie nie miała już sił na łzy. Matka słuchała, nie przerywając i nie komentując. Siedziała ze spuszczoneym wzrokiem, oparta o blat stołu, i wpatrywała się w kratkę obrusa. Odezwała się dopiero wtedy, gdy Marta skończyła.

— Jesteś naszym jedynym dzieckiem — mówiła łagodnie, jakby oswajała dzikie zwierzę. Może poskramiała swój gniew? — Sama wiesz, że kiedyś też miałam problemy z twoim ojcem, ale zastosowałam metodę twardej ręki i wybiłam mu z głowy inne kobiety. Różnie się działo, gdy pił. Niby nigdy mnie nie zdradził, tak się przynajmniej zarzekał, ale wiele razy był temu bliski. Domyślam się, że oczekujesz ode mnie jakiejś mądrej rady, wskazówki, ale... To twoje życie i nie mogę cię wyręczać w podejmowaniu decyzji. Wiem, co znaczy być matką i co znaczy mieć złamane serce, wiem, co oznacza lęk przed zdradą i odrzuceniem. Ale wiem też, czym jest małżeństwo. Cokolwiek zrobisz, postaram się to zaakceptować. Mam tylko ciebie. — Wyciągnęła ręce, by przytulić Martę. Ta poddała się tej nieoczekiwanej czułości z lżejszym sercem. Może jednak nie sprawiła matce zawodu. — Wiem, że w naszym domu brakowało okazywania uczuć. Za rzadko cię przytulaliśmy. Przepraszam cię za to, córeczko. Myślę, że czas, abym to wreszcie powiedziała, właśnie teraz. Kocham cię najbardziej na świecie. Przepraszam, że mówię to tak późno.

W jednej minucie Marta usłyszała od matki więcej słów miłości, otuchy i wsparcia niż w ciągu całego swojego życia. Owszem, mówiła wcześniej, że ją kocha, ale zwykle wtedy, gdy ją biła. Trudno uwierzyć w uczucie wyznawane za pomocą paska lub kabła. Dzisiaj po raz pierwszy poczuła, że mama jest jej faktycznie bliska, że troszczy się o nią i naprawdę chce wyłącznie jej dobra. Tak przynajmniej Marta sądziła.

Za oknem słońce nieśmiało przygasało, przygotowując się do pożegnania kolejnego dnia. Marta, zmęczona ostatnimi wydarzeniami, postanowiła położyć się wcześniej. Szykując pościel w swoim dawnym pokoju, cały czas się uśmiechała. Uwierzyła, że może być jeszcze szczęśliwa. Ale najpierw musi zapomnieć o człowieku, który ją skrzywdził, musi zamknąć przeszłość i dopiero wtedy spróbuje zbudować coś nowego i pewnego. Wiedziała, że się uda. To samo powiedziała jej pani Maria. Pamiętała doskonale tamtą rozmowę. Poza tym przecież jest zdrowa. A zdrada? „Coś za coś” — pomyślała, układając się wygodnie na miękkim materacu. Cała ta żenująca sytuacja najlepiej dowodziła, że on nigdy jej nie szanował. Zresztą, nic dziwnego. Jak można poważać kogoś, kto bez oporów daje sobą manipulować? Stanowili parodię małżeństwa. Jak jej rodzice. „Ale skąd taka nagła zmiana w matce?”. Tyle wrażeń w ciągu jednego dnia. O zdradzie, prawdopodobnie nie pierwszej, dowiedziała się tuż po tym, jak okazało się, że wyzdrowiała. Która informacja miała dla niej większe znaczenie? Jej świat zawałił się w dniu, kiedy dostała od życia kolejną szansę. Niesamowite to wszystko.

Zamknęła oczy i zasnęła kamiennym snem.

O trzeciej nad ranem Marię obudziło warczenie psa. Otworzyła oczy i powoli wysunęła nogi spod kołdry, próbując zlokalizować pantofle na zimnej podłodze. Włożyła w nie spuchnięte stopy i na tyle bezszelestnie, na ile pozwalała skrzypiąca podłoga, podeszła do okna. Pies nie szczekał, ale warczał, co oznaczało, że po posesji najprawdopodobniej kręci się intruz. Maria uchodziła za odważną, nigdy nie bała się ciemności ani bandytów i mimo swej mizernej postury uważała się za silną kobietę. Wyjrzała przez okno, ale niewiele udało jej się zobaczyć, toteż ostrożnie odchyliła skobel blokujący wejście do domu.

— Jest tam kto? — zawołała. Nikt się nie odezwał, chociaż mogła przysiąc, że za stodołą coś się poruszyło.

Wyszła z chałupy, nie zamykając za sobą drzwi. Mamrocząc cicho pod nosem, skierowała się w stronę tylnej części chatki, która lata temu służyła jako obora dla krów. Pożałowała przerwane snu, ale zwyciężyła ciekawość — czego ktoś mógłby tutaj szukać? Przecież każdy wiedział, że jest biedna, nie ma pieniędzy ani niczego wartościowego. Za rogiem zobaczyła niskiego mężczyznę, który leżał

zwinięty w kłębek i szeptał coś niewyraźnie pod nosem. Gdyby nie jasna koszula, pewnie by go nie zauważyła. Przedstawiał sobą żaloszny widok. Maria rozpoznała w nim Mariana, sąsiada, który zbyt często zaglądał do kieliszka.

— Maniek, co ty tu robisz?

Odpowiedział jej bełkot.

— Idź do domu, a nie rzygej mi pod chałupą, pijoku jeden. Dzieci głodne, a ty mosz za co chłoc?

Kto to posprząta?! — krzyknęła.

— Obuchowo... Zoroz ide, dojcie mi chwile. — Marian starał się załagodzić sytuację.

Próbował powoli wstać, a odór, który od niego bił, nie pozwalał Marii normalnie oddychać. Nie znosiła zapachu alkoholu.

— Idź do chałupy, Maniek, do baby, do dziecisków.

Po tych słowach odwróciła się i, lekko zgarbiona, weszła do chaty.

Wsuwając się pod ciepłą pościel, przypomniała sobie o swojej tajemnicy. Poprosiła Boga, by pozwolił jej jeszcze raz go zobaczyć, choć jeden raz, potem może umrzeć. Podkręciła lampę naftową i spojrzała na stolik, na którym obok paprotki stało wypłowiałe czarno-białe zdjęcie w plastikowej zielonej ramce. Na nim młody mężczyzna stał obok kobiety, która trzymała dziecko na rękach. Zasnęła z uśmiechem na twarzy, mając przecucie, że wkrótce go odnajdzie. Albo on ją.

Ewelina usiłowała skupić się na artykule, w którym analizowała zarzut o molestowanie seksualne podwładnej, wysunięty pod adresem pewnego znanego posła. Czowała przez skórę, że to może być czubek góry lodowej — że poseł zamieszany jest w aferę sięgającą głębiej niż za dekolt sekretarki. Mimo to nie mogła zebrać myśli. Przeszkadzał jej hałas drukarek i gwar rozmów. Czowała, że zaraz dostanie migreny, doskonale знаła sygnały ostrzegawcze. Postanowiła zrobić sobie przerwę i zejść do redakcyjnego baru na herbatę. W drodze ściagał ją wzrok zazdrosnych koleżanek i pożądlive spojrzenia mężczyzn. Nawet sprawiało jej to przyjemność — była kobietą i lubiła czuć się seksowna. Miała ku temu podstawy, jako wysportowana blondynka o pięknych kształtach i silnej osobowości, która przejawiała się w sposobie poruszania się, trzymania głowy, mówienia, patrzenia w oczy. Zawsze chciała być najlepsza, zawsze chciała wygrywać, porażki nie brała w ogóle pod uwagę. Pierwsza w liceum, potem prymuska na uczelni, studia skończyła z wyróżnieniem.

Na parterze przy stoliku zobaczyła mężczyznę, którego poznała wczoraj u prezesa. Czytał gazetę. Stanęła z boku i zaczęła go obserwować. Pomyślała, że nawet fajny „mąż” jej się trafił. Postanowiła podejść i zagadać.

— Można? — rzuciła od niechcienia.

— Tak, zapraszam panią. Może przejdźmy na ty — zaproponował, uśmiechając się. — U prezesa nie było okazji.

— Ewelina.

— Andrzej — odpowiedział, muskając wargami jej policzek.

Poczuła delikatny zapach markowej wody toaletowej. „No, to teraz się dopiero zaczniesz — pomyślała. — Ale co tam. Niech sobie gadają”.

— Czego się napijesz? Kawa, herbata? — zapytał, jednocześnie gestem przywołując kelnerkę.

— Poproszę herbatę jaśminową — powiedziała, odgarniając grzywkę z czoła i nerwowo poprawiając przykrótką sukienkę, która ciut za dużo pokazywała. — Jak to się stało, że do nas trafiłeś?

— Długa historia... A co do tego wspólnego wyjazdu — to nie mój pomysł. Chcę, żebyś to wiedziała — rzucił nagle.

— Świetnie. Ja też lubię jasne sytuacje i ostrzegam, że naprawdę nie jestem zachwycona wyjazdem do tej dziury. Nie czuję się komfortowo, kiedy wiem, że wokoło czają się pająki, a brud i smród towarzyszą mi na każdym kroku.

— Byłaś tam kiedyś? Dlaczego wydajesz oceny, nie znając tego miejsca? Tak się zachowuje profesjonalistka? — W jego aksamitnym głosie zadźwięczał kpiący ton. Na to Ewelina nie była

przygotowana.

— Daruj sobie, bo nigdzie z tobą nie pojedę! — prychnęła, ale efekt był odwrotny, niż się spodziewała. Wstał z miejsca.

— Jeżeli coś ci nie pasuje, reklamacje składaj u prezesa... zoneczko — rzucił ironicznie, po czym skierował się w stronę wyjścia. Tyle wyszło z ich integracji.

Poirytowana Ewelina zmeła w ustach przekleństwo. Okej, może palnęła głupstwo, jako dziennikarka nie powinna się uprzedzać z góry, ale on zdecydowanie przesadził, pouczając ją. W tym układzie to on był żółtodziobem, a ona starym wyjadaczem.

— Niech sobie na zbyt wiele nie pozwala, dziennikarzyna od siedmiu boleści, bo pożałuje — mruknęła, zostawiając na stole dziesięć złotych za herbatę, której nawet nie tknęła. Wróciła na górę i zajęła się nudną sprawą potencjalnego molestowania podwładnej przez posła.

Pod wieczór na biurku Eweliny wylądowała żółta koperta, w której znalazła dokumenty od prezesa. Ich kopię przypuszczalnie otrzymał również Andrzej. Coś jej się w tych papierach nie zgadzało. Przede wszystkim było ich niewiele. Kilka artykułów na krzyż, parę wyblakłych niewyraźnych kart pacjentów, ponoć oszukanych przez tę znachorkę. Dane medyczne wyglądały podejrzanie, jakby zostały podrobione, a przynajmniej skserowane o jeden raz za dużo. Ale nie mogła się teraz wycofać, nie zwykła rejterować, niezależnie od okoliczności. Poza tym było w tej sprawie coś intrygującego. Obudził się w niej dziennikarski instynkt i poczuła, jak wstępują w nią nowe siły. Zawsze tak się działo, kiedy dostawała zlecenie, które ją zaciekawiło.

Następnego dnia Marta wstała po jedenastej. Otworzyła oczy, słysząc jakiś szelest. Na widok matki uśmiechnęła się nieśmiało.

— Oj, chyba za długo spałam.

Matka stała w otwartych drzwiach. To ich skrzypnięcie wybiło Martę ze snu.

— Dzwonił twój mąż. Ale powiedziałam, żeby zadzwonił później. Co się właściwie stało, Marto? Przedstawił mi inną wersję wydarzeń, z której wynika, że nawet nie dałaś mu szansy się wytłumaczyć, po prostu uciekłaś. O co tu chodzi?

— Wczoraj wszystko ci powiedziałam — odparła Marta.

— Ale dziś odpoczęłaś i patrzysz na to trzeźwiej. Nie możesz ot tak po siedmiu latach małżeństwa odejść. Co z mieszkaniem, co z oszczędnościami? Nie chcę cię krytykować ani oceniać, ale... zawiodłam się na tobie. Gdzie będziesz mieszkać, za co zamierzasz żyć? — Jak zwykle, gdy walczyła z ogarniającą ją złością, ściągnęła usta, a jej powieka drgnęła nerwowo.

Marta zamknęła oczy i opadła na poduszkę. Zatem nic się nie zmieniło... Chciała wierzyć, że ma dobrych rodziców, a przynajmniej nie gorszych niż jej koleżanki. Fakt, że się ich bała, zwłaszcza matki, traktowała jak coś oczywistego. Dzieci powinny czuć respekt przed rodzicami. Jednak mogliby ją czasem pochwalić, przytulić, pocałować. Ale widać na to nie zasłużyła. To z domu wyniosła kompleksy i nieufność. Nawet wobec bliskich zachowywała dystans. Nie mogła winić za rozpad swojego małżeństwa wyłącznie Krzysztofa, któremu ustępowała trochę z wygody, a trochę ze strachu. Gdyby się postawiła, może wszystko skończyłoby się rozwodem o wiele wcześniej... A może dopiero wtedy naprawdę by się zaczęło.

Niestety, zimny chów nie mógł pozostać bez wpływu na jej psychikę — miała ogromne problemy z wyrażaniem uczuć, okazywaniem emocji oraz z empatią. Nie dopuszczała do siebie określeń typu „patologiczny dom”, „przemoc fizyczna i psychiczna w rodzinie”. Chciała kochać swoich rodziców. Innych nie miała. Wierzyła, że oni też ją kochają. Zdawała sobie jednak sprawę, że coś z nią jest nie tak, a jej chorobliwa nieufność nie wzięła się znikąd. Nie umiała odnaleźć się w towarzystwie ludzi, którzy byli dla siebie zbyt mili. Uważała, że są nieszczerzy. Zwyczajnie nie potrafiła uwierzyć w ich dobre intencje. Aż taka podejrzliwość nie była normalna, nic jednak nie mogła na to poradzić. Również wobec matki pozostawała ostrożna.

Dobrze pamiętała dzień, w którym oberwała kablem. Matka biła ją już wcześniej, ale to lanie

było wyjątkowe. Nigdy go nie zapomni. Szukała dzienniczka do bierzmowania, bo tego dnia miała spotkanie w kościele, i odruchowo zapytała matkę, czy go nie widziała. A ta wpadła w szal! Zaczęła ją bić po głowie kablem od grzałki. Schowała się pod stare łóżko, ale matka ukłękła i dalej zadawała ciosy. Ojciec stał gdzieś z tyłu. Bez ruchu, bez emocji, jak posąg. Jakoś wydostała się spod łóżka i uciekła, inaczej nie wiadomo, jak by się to skończyło.

Matka nigdy więcej jej nie uderzyła, nigdy też nie poruszyła tego tematu. Marta również do niego nie wracała. Wybaczyła mamie już dawno, a przynajmniej w to wierzyła, bo... tak było łatwiej. A ojciec? Nie było go przy niej. Pozbawiony własnego zdania, bez osobowości, zrezygnowany, schorowany, mający pretensje do całego świata, wolał stać z tyłu. Wysoki, wychudzony, ledwo wydobywał z gardła dźwięki, które z trudem formował w słowa. Kiedyś praktykujący nałogowiec, a teraz wycofany z życia trzeźwy alkoholik.

— Więc jaki masz plan? Wrócisz do męża, jak pan Bóg przykazał, czy zachowasz się jak tchórz?
Marta usiadła na łóżku.

— Nie wrócę. Nigdy do niego nie wrócę — odparła twardo.

— W takim razie z czego będziesz żyć, gdzie będziesz mieszkać?

— Nie chcę się teraz nad tym zastanawiać. Naprawdę muszę podejmować decyzję od razu? Nie mogę tutaj zamieszkać? Chociaż na jakiś czas. Proszę, mamó...

— Sama nie wiem. — Matka ściągnęła usta.

Marta też poczuła nagły przypływ złości, której wyjątkowo nie stłumiła.

— Rozumiem, że po wczorajszej chwili słabości ostatecznie doszłaś do wniosku, że ważniejsze jest dla ciebie, co ludzie powiedzą, niż szczęście własnej córki! — rzuciła oskarżenie w stężałą twarz matki. Naraz odnalazła w sobie siłę, by jej odpyskować, jak krnąbrna nastolatka, którą przecież nigdy nie była. Najtrudniej zrobić pierwszy krok na drodze buntu, potem jest już łatwiej. — Jeszcze dzisiaj wyjadę, skoro tak ci przeszkadzam! — Wybiegła z pokoju, chwyciła walizkę, wróciła i zaczęła się pakować. — Nie będę stała wam na drodze, psuła waszego idealnego świata, a to swoją niestosowną chorobą, a to skandalicznym rozwodem — kpiała. Zarazem ciągle miała nadzieję, że matka coś powie. I powiedziała.

— Twoje miejsce jest przy mężu. Ślubowałaś.

— Co ty wiesz o moim małżeństwie? Od dawna nam się nie układało, właściwie nigdy nie było nam razem dobrze, podobnie jak wam. Ale ja nie zamierzam ci burzyć pięknego, fałszywego obrazu rzeczywistości. Nie martw się, wkrótce zniknę.

Nawet nie zauważyła, kiedy w progu stanął ojciec, milczący jak zwykle. Spojrzała na niego. Boże, ile zmarszczek mu przybyło!

— Cześć, tato. Przepraszam cię, ale wpadłam tylko na chwilę, zaraz znowu wyjeżdżam. Muszę się ubrać, bo w samych majtkach i koszulce daleko nie zajadę — pytowała nerwowo, szukając wzrokiem swoich rzeczy.

— Nie! — krótkie słowo zabrzmiało jak wystrzał.

Marta stanęła jak wryta. Czy dobrze usłyszała? Czy ojciec miał odwagę przeciwstawić się matce? Czyżby stała się świadkiem kolejnego cudu?

— Powiedziałem: nie. Jesteś naszą córką i zostaniesz z nami. Ja chyba też mam coś do powiedzenia w tym domu. Siadaj! — Wskazał chudym palcem rozgrzebane łóżko. — A teraz opowiedz mi wszystko jeszcze raz, od początku. Koniec z niedomówieniami. Wiem od twojej matki, że jesteś zdrowa, i bardzo się cieszę. Bardzo. Nie mogłem się pogodzić z tym, że więdniesz, mój kwiatuszku... A ty, kobieto — zwrócił się do żony — zrób nam herbatę, a potem zabierz się za śniadanie.

Marta nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Matka posłusznie i bez słowa opuściła pokój, a ojciec podniósł głowę wysoko. Zobaczyła w jego oczach coś, czego nigdy nie widziała, a za czym tak tęskniła. Miłość, tęsknotę, ale też łzy i wyrzuty sumienia. Nie był dobrym aktorem. Dużo kosztował go ten akt buntu. Po długiej, trudnej walce pokonał problem alkoholowy — podobno to jej narodziny skłoniły go do zerwania z nałogiem — ale stał się pantoflarzem, prym w tym związku wiodła jej matka. Jego też czasem biła, okładała pięściami, gdzie tylko mogła dosięgnąć. A on stał jak sparaliżowany, bez

ruchu, bez słowa protestu. Jako dziecko nie potrafiła tego zrozumieć, ale jednocześnie kochała ojca za to, że w ogóle był. Nawet cichy i wycofany, zostawiający sobie coraz mniej przestrzeni na oddech, na samodzielną myśl. Nie mogła na niego liczyć, ale mogła mieć nadzieję, że kiedyś się obudzi. No i stało się, choć musiała czekać bardzo długo, by to usłyszeć.

— Kocham cię, córeczko, i nie pozwolę nikomu więcej cię skrzywdzić. Zostaniesz z nami. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

— Dziękuję, tato. I przepraszam. To jest takie... sama nie wiem, co myśleć... — Łzy, które wypłakała, na które nie miała już siły, popłynęły znów obfitym strumieniem. Szlochała w objęciach ojca, po raz pierwszy tuląc się tak do niego.

— To ja przepraszam, córeczko. Obiecuję, że od dzisiaj wszystko się zmieni.

Matka Marty stała za ścianą, słuchając ich rozmowy. Z jej oczu również płynęły łzy. W dłoniach ścisnęła niebieską ścierkę. Chciała tam wejść, dzielić z nimi tę intymną chwilę, przeprosić za wszystko — a miała za co — ale wrodzony upór jej na to nie pozwalał. Złapała się za serce. Za dużo emocji naraz. Wczoraj, gdy ujrzała Martę, taką niepewną, zagubioną na progu rodzinnego domu, nie wytrzymała, wyciągnęła do niej ręce. Sądziła, że ją straciła, że jej jedyne dziecko umiera i już nie będą mieć czasu... Ucieszyła się bardzo, niemal zapłakała z ulgi, usłyszawszy nowinę o remisji, ale potem przyszła refleksja i strach, że za bardzo się odsłoniła, okazała słabość. Krzysztof był silny, cwany, szybko zaczął izolować od niej Martę, by tym skuteczniej sterować młodą, uległą żoną. Nie podobało się jej to, ale rozumiała taką taktykę doskonale. Nie, Marta nie powinna od niego odchodzić, każdy musi sam dźwigać swój krzyż, nie powinna też tu wracać. Już są tego efekty. Jej własny mąż, ojciec Marty, okazał sprzeciw, podniósł głos! Znowu poczuła ukłucie za mostkiem.

Sięgnęła do szafki w kuchni, z tyłu górnej półki wyciągnęła pastylki, połknęła jedną i usiadła przy stole. Ból mijał, powoli powracał spokój i pewność siebie. Musi się opanować, sytuacja za bardzo wymykała jej się spod kontroli, a do tego nie mogła dopuścić.

Nowakowa dzisiejszego ranka sprzątała wyjątkowo dokładnie. Letnicy przejeżdżali. Nawet poranną kawę z Kowalową, sąsiadką zza płotu, skróciła do minimum, zresztą tego dnia nie miały zbyt wielu plotek z wioski do omówienia. Każdego ranka po wyprowadzeniu krów na pastwiska spotykały się na kawie, przekazując sobie najnowsze wieści: komu koza zdechła, kto sprzedał motor, kto się upił w sztok, a kto wyjechał za granicę do roboty.

Dla ludzi z miasta, którzy przyjeżdżali tu na wypoczynek, ich nieciekawa codzienność stanowiła dodatkową folklorystyczną atrakcję. Wioska od lat się nie rozwijała, a wśród mieszkańców przeważali głównie ludzie starsi, którzy szanowali tradycję i przeszłość. Odporni na zdobycze cywilizacji, zatrzymali się w rozwoju w połowie XX wieku i wszelkie nowinki techniczne przyjmowali z oporem, a nawet pewną wrogością. Nie chcieli niczego, co przynosił zewnętrzny, bardziej rozwinięty świat. Bywali w mieście na zakupach. Jeździli do Jasła, głównie w piątki, kiedy odbywał się targ, lub do tamtejszej Biedronki, tylko niektórzy instalowali na dachach anteny satelitarne. Ta część Podkarpacia sprawiała czasem wrażenie jednego wielkiego skansenu. Odkąd upadły Państwowe Gospodarstwa Rolne, ludzie zubożeli, a bez wykształcenia nie mieli szans na stałą pracę. Mężczyźni zaczęli pić, chociaż żony zachodziły w głowę, za co kupują alkohol, skoro nie pracują. Pozostawało to ich słodką, a właściwie gorzką tajemnicą.

Młodzież bez wykształcenia i bez ambicji życiowych szła w ślady rodziców, zasilając szeregi bezrobotnych. Kultura i moralność w kolejnym pokoleniu ulegały degradacji. Jeszcze parę lat temu nie do pomyslenia były tutaj rozwody albo życie w konkubinacie, ale teraz młodzi patrzyli na to inaczej, zabijając ewentualne wyrzuty sumienia w barze, gdzie w weekendy grajek amator bez słuchu muzycznego dawał koncerty na syntetyzatorze, głośno fałszując szlagiery disco polo. I nikomu to nie przeszkadzało. Nie mając porównania z innym życiem, nawet nie wiedzieli, że może być inaczej, i na swój sposób byli szczęśliwi w tej zamkniętej enklawie. Niewielu młodych decydowało się na dojazdy do Jasła, do odległej o blisko czterdzieści kilometrów szkoły średniej, by zdobywać tam wykształcenie.

Brak pieniędzy na bilet stał się symbolem zaprzepaszczenia drogi do lepszego startu życiowego.

Liczyło się tu i teraz. Dla chłopaków — wódka i weekendowe uciechy cielesne w trakcie wiejskich zabaw. Dla dziewczyn — stroje z kiermaszu, na którym można było dostać marne podróbki markowych ciuchów z poprzednich sezonów. Chwałyły się nimi potem na sobotnich potańcówkach albo na niedzielnej mszy. Oto tutejsze wybiegi: dyskoteka i kościół. Prawie wszystkie dziewczyny „przebierały się” obecnie za Dodę i wierzyły, że gdy chłopak wyznaje miłość, to na zawsze, a nie dla seksu. A jednak seksu nie odmawiały.

W latach osiemdziesiątych utworzono na tych terenach Magurski Park Narodowy. Miejscowych to nie ucieszyło, a nawet trochę im przeszkadzało, bo pojawili się turyści. Wcześniej samochód jechał drogą dwa, trzy razy w ciągu dnia, a teraz z każdym rokiem ich przybywało. Zaczęły powstawać domki kempingowe, a w Krempnej wyrosły nowe sklepy, komisariat oraz apteka. Większości tutejszych to nie odpowiadało. W przeciwieństwie do turystów, którzy byli zachwyceni powietrzem, wodą, krajobrazem oraz architekturą. Drewniane chatki z bali, kryte słomianymi dachami, przyciągały zwiedzających. A czas, który płynął tu jakby wolniej, fascynował. Miejscowi rolnicy myśleli jednak wciąż innymi kategoriami, aczkolwiek nie wszyscy.

— Wreszcie skończyłam — odsapnęła Nowakowa, odstawiając miotłę przy drzwiach wejściowych i ogarniając wzrokiem podwórze. Dysząc ciężko, podeszła do furki i sprawdziła stan rdzy na taniej siatce. Zdawała sobie sprawę z faktu, że znowu musi zainwestować parędziesiąt złotych w farby, aby zamalować korozję, bo inaczej pies z kulawą nogą nie zatrzyma się u niej. Jeszcze raz zerknęła na napis przy wejściu: „U NOWAKOWEJ. GOSPODARSTWO AGROTURYSTYCZNE. POKOJE DO WYNAJĘCIA”. Odkąd jej mąż zapił się na śmierć wiele lat temu, musiała radzić sobie sama. Mały Sławek wyrósł na dobrego człowieka, w szkole był ambitny i pracowity, w gospodarstwie również pomagał, choć nie był to materiał na typowego rolnika. Nowakowa trochę się martwiła, że był taki cichy, spokojny, na dyskoteki nie chodził. Przecież miał już trzydzieści lat. Zawsze powtarzał, że jest mu dobrze, jak jest, a na babę przyjdzie czas. Tylko kiedy? Miała nadzieję, że syn wie, co robi. Przecież był inteligentny, wieczorami czytał książki wypożyczone z biblioteki, a do alkoholu go nie ciągnęło ani trochę, za co w każdej modlitwie dziękowała Bogu. W ojca na szczęście jej Sławuś się nie wdał. Była z syna taka dumna.

I w wiosce go lubiano. Nie wdawał się w bójki ani niepotrzebne dyskusje, wolał stać z boku, niż oceniać. Nowakowa myślała nawet, że może księdzem zostanie, bo proboszcz zawsze go chwalił jako wzorowego ministranta. Sama próbowała go w tej kwestii podpytać, ale bez skutku. Milczał uparcie. A Nowakowa czuła, że został na gospodarce dla niej, by wynagrodzić matce grzechy swego zmarłego ojca. Bo przecież mógłby wyjechać. Nikt by nie poznał, że pochodzi ze wsi, doskonale się dogadywał po „pańsku” z miastowymi, w ogóle nie wtrącając gwarowych określeń.

Nowakowa czasem zastanawiała się, czy w szpitalu po porodzie nie podmienili jej dziecka. Sławek tak bardzo wyróżniał się na tle tutejszych chłopaków. Nic dziwnego, że dziewczyny o niego zabiegały — traktował je z szacunkiem, choć z dystansem, lecz to miejscowych dziewczuch nie zniechęcało, wręcz przeciwnie.

Zdecydowanie nie był też zwykłym chłopem. Pomagał matce w gospodarstwie agroturystycznym, które Nowakowa założyła za jego namową i przy jego wsparciu. To właśnie Sławek napisał biznesplan, dzięki któremu dostali na ten cel pieniądze z Unii Europejskiej. Niedowiarkowie pukali się w głowę, ale Nowakowa zaufała synowi i jego wizji. Wieczorami opowiadał, jak to zaczną wkrótce zjeżdżać do nich miastowi, których będzie częstowała chlebem domowej roboty, mlekiem prosto od krowy i prawdziwą kielbasą. Nie pomylił się.

Kobieta pomyślała o nowych letnikach z Warszawy. Wczoraj ktoś zadzwonił i zarezerwował dwa pokoje na dłużej. Podobno małżeństwo, a jednak będą spać osobno? Coś tu nie pasowało.

— Jak to, chłop śpi bez swojej baby? — Nie omieszkała podzielić się refleksją z Kowalową.

Lubiła wiedzieć, kogo gości pod swoim dachem. Trudno jej było uwierzyć w historię o ratowaniu małżeństwa. Bo jak tak można, żeby mąż i żona nocowali w dwóch pokojach? A może to nie katolicy? Nowakowa przeżegnała się ukradkiem i westchnęła.

Ewelina umówiła się z Andrzejem nazajutrz wczesnym rankiem. Podała mu swój adres i punktualnie o szóstej mężczyzna zajechał przed jej blok swoim błyszczącym BMW.

— Cześć, mogę wejść? — zapytał przez wideodomofon.

— Proszę. — Wcisnęła przycisk odblokowujący drzwi wejściowe. — Siódme piętro. Weź windę. Tych słów już nie słyszał. Wbiegł wcześniej.

Otworzyła drzwi, jak tylko usłyszała odgłos szybkich kroków. Była pewna, że to Andrzej. A nawet gdyby się pomyliła, nie miała się czego bać, w końcu mieszkała na chronionym osiedlu, całodobowy monitoring oraz ochrona zapewniały jej bezpieczeństwo.

Wpuściła go.

— Gotowa? Pięknie wyglądasz. — Oceniał z uznaniem wzrokiem jej upięte w kok jasne włosy, sportową koszulkę oraz szorty.

— Dziękuję. Tobie też niczego nie brakuje. — Odwzajemniła jego lustrujące spojrzenie. Opalony, niezłe się prezentował ubrany na biało, w koszulkę polo, spodenki oraz adidasy. Choć jak na jej gust może nieco zbyt szpanersko.

— Słuchaj... — Mimo wszystko postanowiła coś wyjaśnić. — Nie myśl sobie, że jestem jakąś byle dziunią, która płacze z powodu złamanego paznokcia i piszczy na widok myszy lub pająka.

— Daj spokój, nie wracajmy do tego. Zbieramy się? — Zerknął na zegarek. — Chciałbym wyjechać z Warszawy jak najwcześniej, żeby uniknąć korków.

— Jasne. Tylko zabiorę swój bagaż. — Wskazała na dużą walizkę przy drzwiach wejściowych. Jak na prawdziwego dżentelmena przystało, chwycił za bagaż i aż sapnął.

— Co ty tam włożyłaś? Kamienie?

— Takie tam babskie rzeczy, wszystko potrzebne.

— Bez komentarza.

Andrzej wyszedł za próg i czekał na Ewelinę szukającą nerwowo kluczy.

— Cholera, gdzie ja je podziałam?

— Nie chcę się wtrącać, ale jakieś widziałem na stoliku w przedpokoju.

Spojrzała na niego z irytacją, czując, że ta podróż nie będzie należała do najłatwiejszych. Teraz już koniecznie musi mu pokazać, że nie jest blondynką z prostackich dowcipów.

Czterdzieści minut później wyjechali z miasta, kierując się na południowy wschód. GPS w Warszawie pokazał, że trasa liczy trzysta siedemdziesiąt jeden kilometrów, więc powinni dotrzeć na miejsce po południu, z przerwami na toaletę i posiłki. Ewelina wiedziała, że będą to dwa trudne tygodnie w jej życiu — tyle dali sobie czasu na rozwiązanie i zamknięcie sprawy. Po drodze poczyniła pewne postanowienia. Po pierwsze, nie pozwoli na robienie z siebie kretynki, zwłaszcza przez takiego pozera, za jakiego uważała Andrzeja, od kiedy zobaczyła jego wypasione BMW. I on śmiał jej wytykać, że brzydzi się robalami i brudem! Co nie zmienia faktu, że i tak wzbudzał w niej jakąś mimowolną sympatię. Dlatego — po drugie — zamierzała odkryć, co on naprawdę o niej sądzi. A po trzecie, ponieważ była zawodowcem, bez względu na przyjazne fluidy nie pozwoli się wciągnąć w żadne jego sprytne gierki.

— Gdzie zatrzymamy się na lunch, kochanie? — zapytał, jakby naprawdę była jego słodką blond zoneczką. No i nić porozumienia diabli wzięli. Nie cierpiała takiego spoufalania się. Andrzej idealnie trafił w jej czuły punkt. Przypadkiem czy z rozmysłem? Mniejsza z tym.

— Nie mów do mnie „kochanie”. Nie życzę sobie. Mam imię! — wycedziła, co rozbawiło Andrzeja.

— Nie denerwuj się tak, zmarszczki ci się porobią, skarbie — ciągnął rozmowę w lekko protekcyjnym tonie.

Ewelina, uczulona na taki ton, była bliska wybuchu.

— Posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę się powtarzała. Nie jestem twoją lalunią, kochaniem, skarbem, żabcią, żonką. Żadnych takich! Nie życzę sobie, abys zwracał się do mnie w tak impertynencki

sposób. Daruj sobie seksistowskie komentarze! Jeżeli jeszcze raz usłyszę takie określenia, to wracam do Warszawy, chociażby stopem. Czy to jest jasne?! — wykrzyzczała mu prosto do ucha.

— Jak słońce — sapnął. — Rany, bardzo przepraszam. Nie chciałem cię urazić, nie miałem niczego złego na myśli. Zażartowałem, bo się trochę denerwuję, to moje pierwsze zadanie — przypomniał jej ściszone głosem. — Jeszcze raz cię przepraszam.

Zaskoczył ją. Przeprasiny zabrzmiały szczerze.

— No dobrze, może za ostro zareagowałam, ale mam alergię na palantów. Jeżeli się do nich nie zaliczasz, wybacz. — Wiedziała, że przesadziła, ale on też nie był bez winy. Ciekawe, czy uznałby za coś oczywistego i na miejscu, gdyby zaczęła się do niego zwracać *per* „misiu” lub „przystojniaczku”. Wątpliwe. Za to faceci, widząc ładną blondynkę, natychmiast włączali tryb flirciarsko-lekceważący. — Może kiedyś ci opowiem coś o sobie, ale na razie właściwie się nie znamy, więc nie oczekuj od razu jakichś głębokich wyznań.

— Rozumiem. — Andrzej przystanął na skrzyżowaniu, by przepuścić inne samochody.

— Co powiesz na lunch w Krakowie? — zaproponowała na zgodę, kiedy wrzucił jedynekę i włączył się do ruchu.

— Oczywiście, ko... to znaczy — Ewelino.

Uśmiechnęła się. Może nie będzie tak źle. Ta wspólna wyprawa miała szansę nie okazać się totalną katastrofą. Przecież nawet na tym wygwizdowie muszą mieszkać jacyś cywilizowani ludzie. A jeżeli nie, zawsze pozostaje Andrzej. Będzie do kogo usta otworzyć i na kogo popatrzeć. Nie mogła zaprzeczyć, że podobał jej się fizycznie oraz że na swój arogancki sposób był uroczy. Z drugiej strony, przeżyła dość, by wiedzieć, że dla własnego dobra musi tę kiełkującą fascynację zdusić w zarodku. Nie знаła, ale czuła, że nie pasowaliby do siebie. Pociąg fizyczny to zdecydowanie za mało, aby mogło się narodzić coś więcej.

Pierwszy od dawna wspólny obiad z matką i ojcem. Gdy przyjechała powiedzieć im o chorobie, wpadła jak po ogień. Zachowali się typowo. Ojciec milczał, matka powiedziała z naganą w głosie i pretensją w spojrzeniu coś w stylu: „Czemu wcześniej nie zrobiłaś tych badań?”. Nawet jeżeli ich to obeszło, nie umieli jej okazać swojej troski, swojego współczucia, odczuwanego żalu. Chora rodzina, nie ma co się oszukiwać. W każdym razie straciła apetyt i nie została wtedy na obiedzie.

Krzysztof nigdy oficjalnie nie zabronił jej kontaktów z rodzicami, ale nie znosił przyjeżdżać do tej, jak mówił, lodowni. Patrząc na teścia, zaczynał się ponoć bać o swoją przyszłość. Nie chciała bywać tu bez niego, bo nie lubił, gdy gdziekolwiek pojawiała się sama, więc rzadko odwiedzała rodziców. Przykre, ale niezbyt za nimi tęskniła.

A teraz była tu z nimi, sama, racząc się pierwszym daniem i uśmiechając się do siebie.

Jedli powoli, w prawie całkowitym milczeniu. Wrażenie sielanki nie trwało długo. Ojciec zmagał się ze swoimi myślami, matka łypała spod oka, nerwowo siorbiąc gorący rosół. Rosół latem? Jeżeli gotując go, chciała dokuczyć reszcie rodziny, to sobie przy okazji też dopiekła. Myśli Marty pobiegły wstecz i poczuła zdenerwowanie. Z pewnością dzwonił, przecież matka się wygadała, że telefonował. Może chciał się wytłumaczyć? W końcu kiedyś musi to zrobić. Pod pretekstem udania się do toalety wymknęła się do swojego pokoju, zabierając ze sobą komórkę. Zalogowała się do sieci z bijącym sercem. Szybciej! Niecierpliwie czekała na znajomy sygnał. „Masz sześć nowych wiadomości”. Nie, jednak nie była jeszcze gotowa. Wrzuciła telefon pod poduszkę, wcześniej wyłączywszy dźwięk, i wróciła do stołu. Rodzice siedzieli jak zawieszani w próżni, bez słowa podnosząc do ust kolejne łyżki zupy. Zamknięci każde w swoim świecie, już dawno przestali coś do siebie czuć. Byli razem wyłącznie z przyzwyczajenia i wygody. Mieli dwie emerytury, mieszkanie i trzydzieści sześć lat wspólnego życia za sobą. To im wystarczało, aby trwać, nic nie zmieniając, pomimo ciągłych napięć i przeciągającego się milczenia.

— Martuniu, pomyślałem, że najlepszym lekarstwem na troski mogłaby być dla ciebie praca, czyż nie tak?

Ojciec wyraźnie czekał na odpowiedź, więc Marta kiwnęła głową.

— Choć od wielu lat jestem na emeryturze, wciąż mam koneksje w banku. Mogę ci coś załatwić. Chyba zostaniesz z nami? — Zerknął niepewnie na żonę.

— Może to i lepiej — przytaknęła. — Skoro będziesz pracować, zostań. W końcu robimy się starzy, będziemy potrzebowali opieki.

Matka znalazła sposób na przejście władzy. Zgodziła się na powrót marnotrawnej córki do domu, w zamian robiąc z niej służącą. A tata? Uśmiechał się. Widać nie połapał się jeszcze, w czym rzecz, albo mu nie przeszkadzało, że jego Martunia zamieni jednego tyrana na drugiego. A może zatęsknił za towarzystwem w tym swoim życiu pod pantoflem?

O, nie! Nie po to uciekła od męża, by znowu ktoś nią dyrygował. Wolałaby już zamieszkać w przytułku.

— Wiecie... Nie spieszmy się tak z tą przeprowadzką. Muszę powtórzyć badania, potwierdzić, że na sto procent jestem zdrowa. A potem... Sama jeszcze nie wiem. — Myślała intensywnie nad jakąś wymówką. — Chciałabym wyjechać na jakieś małe wakacje.

Pytanie tylko — dokąd? Najpierw i tak trzeba zrobić badania, bo wyniki mogą zawsze okazać się inne, gorsze. Lekarz chce się upewnić, że nic nie zostało pomyłone. A nuż ciągle jestem chora?

— A w ogóle... jak ty się czujesz? — zapytała cicho matka.

— Dobrze, czuję się dobrze, nie mam żadnych objawów, od kiedy... — urwała, bo nagle uświadomiła sobie, gdzie powinna się udać i komu podziękować za okazaną dobroć i... za cud.

Pod wieczór, gdy zakończyła obrządek przy domu, zobaczyła na drodze samochód, który zwolnił przed sztydem i powoli wjechał na utwardzony żwirowymi kamykami grunt. Postanowiła zaczekać za drzwiami i wyjść w odpowiednim momencie, udając zaskoczenie. Przez małe okno w kuchni obserwowała szczupłą blondynkę oraz bruneta, którzy wysiedli, głośno trzaskając drzwiami samochodu. Sama nie wiedziała, dlaczego się denerwuje. Powoli odsłoniła kotarę, otworzyła drzwi i wyszła ze splecionymi na brzuchu rękami, by się przywitać. Ubrana była w niebieską podomkę, siwe włosy skryła pod chustką zawiązaną na karku, a na stopy wzięła domowe pantofle z kozuszkami, mimo cieplej pogody. Nowakowa od lat cierpiała na cukrzycę i zaburzenia krążenia, tak że stawy dawały się jej we znaki. Od wczesnego dzieciństwa ciężko pracowała, w trudnych warunkach, nie zważając na mróz, wilgoć, deszcz ani błoto. Jej spracowane, poorane bruzdami dłonie i twarz pokryta siateczką zmarszczek miały jednak w sobie pewien surowy urok.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — krzyknęła do pary stojącej przed samochodem. — Szarik, cichoj! — odgoniła psa, który skulił się i uciekł do budy.

— Dzień dobry! Mamy u pani rezerwację — wyrwała się Ewelina. Andrzejka to rozbawiło.

— Dzień dobry pięknej pani. — Mężczyzna podszedł i z rewerencją pocałował dłoń Nowakowej. Zmieszało ją to, bo nie nawykła do takich szarmanckich gestów.

— Nie trzeba. — Wyrwała dłoń. — Pokoje gotowe. Dzwonił ktoś od was, chyba ojciec, ja nie wiem, ale chciał dwa pokoje, to som dwa dlo vos. Panie, weź pan żone i chodź — rzuciła Nowakowa rozkazującym tonem i skierowała się ku wąskiemu przejściu na piętro.

„Zaraz mnie szlag trafi” — pomyślała Ewelina, oglądając się za siebie. Ledwo wysiadła, a już chciała wracać. Nadzieje, że jakoś to będzie, w jednym momencie wyparowały. Czuli narastającą złość, że dała się wmanewrować w coś takiego. Szukała jakichkolwiek dobrych stron wylądowania w tej zabitej dechami dziurze, ale nie potrafiła ich znaleźć.

Gospodyni pokazała gościom dwa pokoje na piętrze i wspólną łazienkę, udając, że nie widzi niezadowolenia Eweliny, za to uśmiechając się do Andrzeja. Po paru minutach pyłowania i wdzięknięcia się do mężczyzny, który wyraźnie skradł jej serce, wróciła do siebie na parter, na odchodnym zapewniając, że gdyby mieli jakieś życzenia, to jej syn i ona są do ich usług. Ewelina, aby się jej pozbyć, zamówiła jajecznicę na boczku.

— Brawo, gratuluję! Jeszcze dobrze nie wysiedliśmy, a ty już podrywasz starszą panią — burczała, gdy gospodyni podreptała na dół. W tym samym momencie pojęła, że jej wyrzuty są

niedorzeczne.

— Po prostu jestem miły, więc bardzo cię proszę, nie zachowuj się jak zazdrosna, marudna żona.

— Jak kto?! — syknęła.

— Jak dziecko, jeżeli to cię mniej obraża. Albo się dąsasz, albo robisz mi awantury, albo sugerujesz jakieś absurdy. Ciągłe masz jakieś „ale”. Ile można przepraszać? Sądziłem, że się dogadaliśmy. Uwierz, ja też nie przyjechałem tutaj dla przyjemności. Idź do siebie, rozpakuj się, ochłoń. Zobaczymy się na kolacji.

Ewelina wparowała do swojego pokoju, głośno trzaskając drzwiami, czego Nowakowa na pewno nie omieszka później skomentować.

Pokoje były do siebie podobne. Prosty stolik, krzesło, łóżko i szafa z trzema wieszakami. Na ścianach święte obrazy. Ewelina stwierdziła, że taki minimalizm dał nawet ciekawy efekt. Ale ta cisza... Przydałby się telewizor albo chociaż radio.

Z zewnątrz dobiegał jakiś miarowy odgłos. Podeszła do okna i zobaczyła mężczyznę rąbiącego drwa. Umieśniony, dobrze zbudowany — miał w sobie coś intrygująco dostojnego. Wbił siekiere w pień, by ustawić porąbane drewno w zgrabny stos pod ścianą domu. Nagle uniósł wzrok i dostrzegł w oknie młodą kobietę. Uśmiechnął się, po czym pomachał do niej dłonią w geście przyjaznego powitania. Ewelina mimowolnie odwzajemniła uśmiech i również podniosła dłoń, myśląc o tym, że może jednak będą tutaj jakieś atrakcje.

W dobrym humorze zbiegła na kolację. W kuchni czekał już Andrzej, czytając zakupioną po drodze prasę.

— Witam pięknie — zaczęła.

— Może być z kurkami? — przerwała jej bezceremonialnie Nowakowa. Andrzej, dostrzegłszy znad gazety zdziwienie w oczach Eweliny, wyjaśnił:

— Pani Nowakowa pyta, czy jajecznicą może być z kurkami.

Pani Nowakowa? Jej imię pewnie też już zna. Nieźle, musiała mu to przyznać. Umiejętność szybkiego wchodzenia w komitwę z tubylcami mogła im się przydać.

— Naturalnie, może być z kurkami. — Spojrzała na stół, gdzie obok chlebaka na serwetce leżały dwa zestawy sztuczków oraz dwa białe kubki z napisem „Orbis”.

Dziennikarskim, uważnym wzrokiem zarejestrowała, że jeden z talerzy był wyszczerbiony, co odebrało jej apetyt. Wstała od stołu i zasłaniając się zmęczeniem wróciła do siebie. Po blisko kwadransie ktoś zapukał do drzwi jej pokoju.

— Proszę wejść — mruknęła, gapiąc się na zacieki szpecące biały sufit. „Ciekawe, skąd się wzięły”.

— To ja. Mogę? — Andrzej wsunął do pokoju głowę, a za nią całą ponętą resztę swojego ciała i, nie czekając na odpowiedź, delikatnie zamknął za sobą drzwi.

— Już wlałeś — odburknęła. — Pytałeś ją o Marię Obuch?

— Nie, ale od jutra rana zacznę wypytywać, nie chciałem, żeby coś podejrzewała. Twoja jajecznicą już dawno wystygła. Znowu wysłaś obrażona. Zdradzisz powód?

— Jakie plany na wieczór? — Nie zamierzała mu się tłumaczyć.

— Chyba wybiorę się na mały rekonesans. Mapy nie mam, ale tutaj raczej trudno się zgubić. Przyłączysz się?

— Dziękuję, coś poczytam i spróbuję uruchomić Internet.

— Dobrze, więc życzę udanego wieczoru. Zobaczymy się jutro.

— Mam prośbę. Gdy będziesz wracał, to staraj się zachowywać w miarę cicho. Podłogi w tym domu skrzypią jak nieszczęście. Umarłego by obudziły, a ja na nocne koszmary nie mam ochoty.

Andrzej stanął w otwartych drzwiach.

— Dobranoc, kochanie — powiedział głośno, zwracając się w stronę korytarza, tak aby usłyszała go również Nowakowa. Jej cień rzucany na podłogę u podnóża schodów był doskonale widoczny.

Marta czuła rozpiekającą ją radość. Zrobiła to, przyjechała do Kotani. Od podjęcia decyzji do jej realizacji minęło kilka godzin. W jej dotychczasowym świecie, doskonale poukładanym, nie było miejsca na spontaniczność, na błędy. Liczyły się obowiązki i zasady, żadnych szaleństw. Tak było do tej pory, a co będzie dalej? Tego nie wiedziała i w ogóle jej to nie przeszkadzało.

Podeszła do od dawna niemalowanych, mocno nadszarpiętych zębem czasu drzwi i zapukała delikatnie. Wydawało się jej, że usłyszała szmer, ale poza tym nic więcej się nie wydarzyło. Zapukała znowu, tym razem bardziej zdecydowanie, jakby domagała się, aby wpuszczono ją do środka. Coś zaszurało po podłodze i po długiej chwili usłyszała ciężki, astmatyczny oddech, a potem oczekiwane skrzypnięcie otwieranych drzwi. Za progiem ujrzała znajomą postać pani Marii. Kobieta uśmiechała się. Właśnie taką ją zapamiętała — z uśmiechem, który kołował ból duszy.

— Dzień dobry, pani Mario. Przepraszam, że nachodzę panią bez uprzedzenia, i to tak późno, ale chciałabym porozmawiać. Poznaje mnie pani?

Kobieta patrzyła na Martę, nie mówiąc ani słowa. Po chwili obróciła się w stronę izby i gestem zaprosiła ją do zaciemnionego pokoju, w którym panował orzeźwiający chłód.

— Napijesz się, dziecko, herbaty, a może zjesz kluski gotowane na parze? — zapytała gospodyni.

Marta teraz dopiero zdała sobie sprawę, że od obiadu, na który zjadła ledwie pół talerza zupy, nic nie miała w ustach. Nagle poczuła silny głód.

— Jeżeli to nie sprawi pani problemu, to poproszę — odparła bez skrępowania. Choć Maria była dla niej właściwie obcą kobietą, czuła się przy niej swobodnie.

Wkrótce na okrągłym stole przykrytym poplamionym obrusem pojawiła się kawa w szklance z grubym uchwytem (który już po paru sekundach parzył w palce), a na wyszczerbionym talerzu — pięknie pachnące, świeże i jeszcze gorące parowańce. Maria podała jej łyżkę, jakby zapomniawszy o istnieniu noża i widelca. Wróciła do kuchni, gdy tymczasem Marta raz dwa spałaszowała kolację. Gotowa była przysiąc, że w życiu nie jadła lepszych klusków. Poprosiła Marię o przepis, nieco odwracając rozmowę na temat przyczyn swojego przyjazdu. Stara kobieta podała jej gotowy wydruk.

— Ktoś mi to spisał z internatu — powiedziała.

— Z Internetu — sprostowała odruchowo Marta, zerkając na poplamioną kartkę, na której staruszka miała wydrukowany przepis.

— Zwał, jak zwał... ja się na tych nowinkach nie znam. Stara już jestem. — Pani Maria zakasała rękawy. — Chcesz dokładkę? — Gdy Marta podziękowała, gospodyni zabrała pusty talerz i zaniósła go do kuchni.

— Z pewnością zastanawia się pani, co ja tutaj robię — zaczęła Marta, gdy zielarka wróciła do pokoju. — Szczerze mówiąc, sama tego do końca nie wiem. Uratowała mnie pani i... zrobiła pani dla mnie przez parę chwil więcej, niż moja rodzina przez całe moje życie.

Marta nagle straciła opory i zaczęła, nieco bez ładu i składu, wyrzucać z siebie fragmenty swojej historii. Opowiedziała o zdradzie męża, o wizycie u rodziców, o tym, że nowotwór zniknął, o ojcu, który się wycofywał i nie miał nigdy nic do powiedzenia, aż nagle przemówił. Maria nie przerywała, pozwoliła jej się wygadać, a na koniec podeszła i przytuliła ją mocno. I dopiero zaczęła mówić, a Marta zapamiętała każde jej słowo.

— Żyję bardzo długo i znam ludzi. Wiem, jacy są — że potrafią sprzedać własną matkę jak Judasz Jezusa za trzydzieści srebrników. Gdy byłam mała, przygarnęła mnie zielarka, która nauczyła mnie tego, co umiem. Życia mnie uczyła. Sama nie miała dzieci ani męża, więc mnie wzięła na wychowanie, wtedy nie było to jakimś problemem. Była mi jak matka. Wkrótce formalnie uznano mnie za jej córkę, tym bardziej że byliśmy tu obce, przybyliśmy na te tereny z Nowego Sącza. W czterdziestym szóstym roku grasowały tutaj bandy UPA. Ja dojrzywałam, stawałam się młodą i podobno atrakcyjną dziewczyną, a młodzi żołnierze gwałcili kobiety i mordowali chłopów oraz dzieci z okolicznych wiosek.

Zrobiła przerwę, łapiąc spazmatycznie powietrze, jakby starała się przygotować do walki z tajemnicami przeszłości. Po chwili kontynuowała:

— Pewnego zimowego wieczoru ktoś załomotał w drzwi naszej chaty. Wiedziałyśmy, że to

żołnierze, a pomocy nie mogliśmy wezwać. Przybrana matka ukryła mnie w głębokim rowie, skrytym pod słomianym klepiskiem w przejściu do stajni. Po raz ostatni wyszeptwała, że cokolwiek się stanie, mam nie wychodzić. Jak będzie bezpiecznie, ona sama po mnie przyjdzie. Słyszałam tylko strzępki rozmów, nie wiem, ilu ich było...

Nasiliły się świsty przy każdym jej oddechu, z oczu staruszki pociekły łzy. Silniej objęła Martę, potrzebowała jej fizycznego wsparcia.

— Nigdy po mnie nie wróciła. Sama nie wiem, jak długo tam czekałam, sparaliżowana strachem, bez wody i jedzenia. Kiedy wyszłam, zobaczyłam ją przed domem z rozprutym brzuchem, pociętymi wnętrznościami. Nawet nie płakałam. Nie umiałam już płakać, ale wtedy pękło mi serce. Mimo zakazu pochowałam ciało. Groziła za to śmierć, ale mnie nie zależało na życiu. Straciłam jedyną osobę, która obdarzyła mnie miłością i którą pokochałam. Była mi matką, przyjaciółką, siostrą. Rozumiesz to? Ale wiesz co, kochana? Nauczyłam się wybaczać, nie potrafiłabym żyć inaczej. Przecież człowiek rodzi się dobry i nie zawsze wie, dlaczego wybiera zło. Jeżeli nie przebaczymy, staniemy się tak samo źli jak nasi krzywdziciele. A ja nie chciałam taka być.

Marta poczuła wilgoć łez na swojej twarzy. Była dumna, że stara kobieta mówi jej o czymś tak osobistym i bolesnym. Nigdy wcześniej nie doświadczyła równie silnego uczucia empatii. Jakby sama kryła się w tamtym rowie, jakby razem z młodziutką Marią dojrzała rozerwane ciało jej matki. Kiwnęła kilka razy głową i mocno objęła staruszkę. Dopiero w ramionach tej kobiety zrozumiała, czym jest autentyczny spokój. Zwykły gest, którego tak bardzo potrzebowała, dał jej zgubione dawno poczucie bezpieczeństwa. Nie wątpiła, że właśnie tutaj otrzyma pomoc, choć nie rozumiała, skąd ta pewność. Do tej pory tak mało miłości i życzliwości zaznała w życiu. Nikt nigdy nie był dla niej taki dobry jak ta obca kobieta — Maria, tajemnicza zielarka z małej wioski na Podkarpaciu.

Mało tego, Marta otrzymała od życzliwej gospodyni swój własny kawałek świata. Zamieszkała razem z Marią, w drugiej, mniejszej izbie, gdzie oprócz starego rozklekotanego łóżka znajdował się jeszcze tylko kredens, pamiętający zapewne czasy przedwojenne. Był pokryty kilkoma warstwami farby olejnej, niechlujnie nakładanej, co zaowocowało mnóstwem zacieków i nierówności na powierzchni mebla. Ściany pomalowano, a raczej pochłapano na kolor wrzosowy, ze wzorami kwiatowymi nakładanymi wałkiem. Na środku izby z sufitu zwieszał się duży papierowy pajak z regionalnym motywem, a w kątach na podłodze i kredensie zalegały zioła, wszystkie zasuszone, niektóre pokryte grubą warstwą kurzu. W pajaka wkomponowana została żarówka, która przy dłuższym używaniu groziła zapaleniem się bibuły. Łóżko samo w sobie było dziełem sztuki ludowej — ani za duże, ani za szerokie, leżał na nim materac, wyżej piernat, dwie pierzyny, narzuta, kilka jaśków, a na samej górze tego stosu siedziała stara lalka bez jednego oka.

Na ścianach umieszczono obrazy przedstawiające świętych. Były to głównie stare, wyblakłe już reprodukcje, ujęte w stylowe ciemne ramy, z których od lat nikt nie zdejmował kurzu. Za obrazy powtykano sztuczne kwiaty oraz imitacje liści paproci. Pokoik, niski i ciemny, sprawiałby wrażenie pomieszczenia więziennego, gdyby nie te malunki i kolorowe dodatki, które wносиły w jego ciasną przestrzeń trochę ciepła. Marta zdjęła pierzyny i zgodnie z zaleceniem Marii przeniosła je na noc do sieni, znajdując dla nich w miarę czyste miejsce. Rano miały wrócić do izdebki.

Przed pójściem spać Marta otworzyła swoją torebkę i z galimatiasu mniej lub bardziej potrzebnych rzeczy, które powinny się znajdować w torebce każdej szanującej się kobiety, wygrzebała telefon komórkowy. Włączyła go z drżącym sercem. Nie zamierzała wysłuchiwać ewentualnych przeprosin męża, nawet jego głosu nie chciała słuchać. Zdażyła już znienawidzić beznamiętny, kostyczny ton, jakim zwykł się z nią komunikować. Telefon wydał sygnał zalogowania do sieci, a na ekranie ukazała się jedna, krótka kreska zasięgu.

Po chwili aparat zadzwonił, a automatyczna sekretarka poinformowała o kolejnej nieodebranej wiadomości w skrzynce głosowej. Marta wykasowała ją bez odsłuchiwania. Doskonale wiedziała, kto się nagrał. Włożyła komórkę pod poduszkę i pomyślała, że musi zmienić numer albo... Nie zdążyła dokończyć myśli — zasnęła.

Postanowiła, że jutro odwiedzą Marię. Ale na razie wypadałoby sprawdzić, co się w międzyczasie wydarzyło w prawdziwym świecie. Włączyła laptop i uruchomiła telefon satelitarny, by połączyć się z Internetem. Trwało to i trwało. Ewelina zakłęta pod nosem i podeszła do okna.

Wciąż tam był. Intrygujący drwal. Siedział na ławeczce, zapatrzonej, w coś zasłuchany. Fakt, noc była piękna i ciepła. A może by tak zasięgnąć języka? Pomysł wydał się jej genialny. Zeszła po schodach na palcach, cichutko, by nie ściągnąć sobie na głowę ciekawskiej gospodyni. Nie ją chciała ciągnąć za język.

O dziwo, nie było lekko. Jej urok nie działał na Sławka, bo tak miał na imię tajemniczy drwal, który okazał się synem Nowakowej, a przy okazji bardzo inteligentnym mężczyzną. Wypytywała go o znachorkę, delikatnie, aby nie wzbudzać podejrzeń, ale Sławek za każdym razem sprytnie kierował rozmowę na inne tory. Co gorsza, zachowywał wobec Eweliny duży dystans. Widać, że miał swoje zasady — wiedział, że przyjechała tu z mężem.

Szybko zorientowała się, że Sławek Nowak jest nie tylko osobą o mocnym kręgosłupie moralnym, ale także czytana. Choć jego wykształcenie zakończyło się na maturze, interesował się filozofią, psychologią i socjologią, do tego znał się trochę na sztuce współczesnej, no i śledził wydarzenia ze świata. Kogoś takiego nie spodziewała się spotkać w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

— Panie Sławku, bardzo przepraszam, ale jestem z natury szczerą. Tak już mam.

Młody mężczyzna popatrzył na nią swoimi mądrymi oczami i uśmiechnął się. Ewelina nabrała powietrza głęboko w płuca.

— Czy nie odczuwa pan czasami potrzeby ucieczki w inny, lepszy świat? Wie pan, o czym mówię: kina, teatry, filharmonie, nocne kluby.

— Pani Ewelino, ja wcale nie muszę wyjeżdżać, żeby znaleźć się w tym „lepszym świecie”, jak go pani nazywa. Tutaj jest mój lepszy świat. Dla mnie nie ma piękniejszej muzyki nad wieczorny śpiew cykad i rechot żab. Cenię sobie spokój, ciszę, która pozwala dostrzec to, co najważniejsze. Sama pani to zauważy, o ile się pani otworzy i pozwoli, żeby wielkomiejskie przyzwyczajenia nie przesłaniały tego, co piękne i ważne. To takie moje życzenia dla pani.

— Rozumiem... — odpowiedziała nieco zbity z tropu. — Czy mogę zadać pytanie z innej beczki? Tylko proszę mi odpowiedzieć szczerze, bez wykrętów. Zna pan w końcu tę Marię Obuch czy nie?

— Państwo przyjechali do niej?

— No cóż... — zawahała się, nie wiedząc, co Andrzej powiedział gospodyni.

— Znam panią Marię, ale ta kobieta tyle przeszła w życiu, że wolałbym, żebyście jej nie niepokoili bez potrzeby. Nie mam też ochoty ani prawa rozmawiać o niej. Słowo wróblem wyleci, a wołem powraca. Dziennikarze jak hieny zjechali się tutaj, kiedy podobno uzdrowiła jakiegoś małego chłopca z miasta, no i zaczęło się. Jesteśmy prostymi ludźmi, pani Maria również nigdy nie chciała rozgłosu, choć zawsze była oddana biednym. Zrobiono z niej czarownicę i szarlatankę, sam czytałem, ilu ludzi przez nią podobno pożegnało się z życiem. A ona nigdy na nikogo nie powiedziała złego słowa. Ludziom pomaga bezinteresownie. Sama żyje jak nędzarka. Tylko ona, stary pies i zioła. I ta waląca się chatka, w której marznie zimą. Ale nie chce pomocy od nikogo, nie korzysta ze wsparcia opieki społecznej. Sam nie wiem, dlaczego ta kobieta jeszcze ufa ludziom, dlaczego się ich nie boi. Chce pani ją poznać, prawda? Nie wiem, czego od niej chcecie, ale proszę, nie skrzywdźcie jej.

Wygadana zazwyczaj Ewelina nagle nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przelknęła nerwowo ślinę, dziękując intuicji, że nie zdradziła przed Sławkiem swojej profesji. Po paru chwilach, udając ból głowy, wróciła do pokoju. Andrzeja ciągle nie było. Za to w międzyczasie pojawiło się wreszcie połączenie z Internetem. Ewelina zalogowała się do swojej firmowej skrzynki pocztowej, żeby ściągnąć nowe wiadomości. Wkrótce z jej pokoju dochodziły już tylko dźwięki uderzania w klawiaturę. Napisała list do szefa i wysłała go na adres, który jej podał. Zaznaczył, że jest to jego prywatny e-mail, miała zachować dyskrecję.

Panie Prezesie,

dojechaliśmy w miarę bez przeszkód. Jutro rozpoczniemy rekonesans i spróbujemy porozmawiać z tutejszymi mieszkańcami na temat wiadomej sprawy. Odwiedzimy też panią M. Mam wrażenie, że tubylcy są zamknięci na rozmowy o pewnych ludziach, boją się wychylić i obnażyć. Ale postaram się wszystko dokładnie zbadać i przedstawię Panu Prezesowi swój raport w ciągu paru dni. Zgodnie z przewidywaniami działa tutaj wyłącznie połączenie satelitarne, ale Internet chodzi bez zarzutu.

Serdecznie pozdrawiam

Ewelina Dąbrowska

Wcisnęła przycisk „Wyślij”, następnie przejrzała informacje z kraju i ze świata, a potem — zajrzała na chwilę do kącika mody. Zdażyła już zauważyć, że w tych okolicach jej markowe, wyszukane stroje na nikim nie robią wrażenia. Nawet gdyby włożyła worek na kartofle, nikt by nie zareagował, sądząc, że to jakaś dziwna moda z miasta. Takie podejście bardzo ją irytowało. Czuła się niewidzialna, a nie przywykła do tego. Nawet Andrzej ją ignorował, choć to akurat było jej na rękę, ale ten Sławek... Co taki człowiek w ogóle tutaj robił? Może trzeba mu jakoś pomóc rozwinąć skrzydła? Nie był pospolitym samcem, ale zadbanym, inteligentnym, a przy tym niebywale męskim facetem. Absolutnie nie spodziewała się trafić w tej dziurze na kogoś takiego.

Okolo jedenastej zasnęła, otulona ciszą. Tylko koniki polne delikatnie cykały za oknem. Nie słyszała już, jak po północy Andrzej wrócił ze swojej nocnej eskapady. Zatrzymał się nawet pod pokojem Eweliny, ale gdy nie zauważył żadnego światła w szparze pod drzwiami, udał się do siebie. Po chwili zszedł na dół, żeby wziąć prysznic i umyć zęby, po czym wrócił do łóżka. Choć był zmęczony, długo jeszcze nie mógł zasnąć...

Budzik Eweliny zerwał ich z łóżek o siódmej rano.

Przyjęli z ulgą, że droga prowadząca do wioski, w której mieszkała uzdrowicielka, była asfaltowa. Mieli dosyć kamienistych traktów, na które tutaj natykali się nazbyt często. Po zaledwie paru minutach dojechali na miejsce. Nowakowa dokładnie opisała im trasę, więc trafili bez problemu. Po przyjeździe przez moment siedzieli nieruchomo w samochodzie, pogrążeni w milczeniu. Andrzej miał wrażenie, że przeżywa *déjà vu*, ale szybko odgonił tę niepokojącą myśl. Ewelina patrzyła przed siebie, na małą, drewnianą chatę. Mogła przysiąc, że widziała podobne w skansenach. Spojrzała na Andrzeja i jednocześnie otworzyli drzwi samochodu. Gdy wysiedli, tuż przy ich nogach rozległo się ujadanie psa. Ignorując go, skierowali się w stronę domku, usiłując iść wąską, wydeptaną ścieżką. Pies powłókł się za nimi. Nie był uwiązany na łańcuchu, za to wyglądał na starego i raczej bezzębnego. Głównym jego zadaniem było pewnie robienie hałasu. A jednak, mimo ostrzegawczego szczekania, gospodyni się nie pojawiła.

— Może jej nie ma? — zwątpiła Ewelina.

— Skąd mam wiedzieć? — Andrzej wzruszył ramionami. — Rozejrzyjmy się.

Ruszył do przodu, rozglądając się czujnie wokół i próbując sobie przypomnieć, skąd zna te okolice. Pewnie z folderów, które kiedyś przeglądał. Miał fotograficzną pamięć, więc doszedł do wniosku, że to zdjęcia z prospektów utworzyły w jego głowie niepokojące złudzenie, że już tu kiedyś był.

Za budynkiem odkryli dzikie kępy wysokiej trawy porastającej coś w rodzaju ogródka. Już na

pierwszy rzut oka widać było brak męskiej ręki w gospodarstwie. Posesja znajdowała się w opłakanym stanie. Stare, zardzewiałe sprzęty rolnicze, nijak niezabezpieczone przed korozją, leżały porozrzucane w dziwnych miejscach, jakby przypadkowo je tam zostawiono. Grunt był nierówny, pełen wyrw w ziemi i osoba nieznająca terenu musiała bardzo uważać, żeby nie złamać nogi. Nikt tu niczego nie pilnował. Nawet pies, mieszaniec, który początkowo patrzył na nich uważnie swymi starymi oczami, szybko przestał oszczekiwać intruzów, którzy po obejściu chaty stanęli bezradnie na ścieżce.

Gdy przebudziła się następnego dnia, była gotowa stawić czoła kolejnym życiowym wyzwaniom. W chatce brakowało łazienki, jednak prymitywne warunki jej nie przeszkadzały. Pomyślała, że szczęście jest ukryte w małych okrucinach codzienności, właśnie w tym zwykłym życiu w siermiężnych warunkach. Cieszyła się, że mogła umyć twarz szarym mydłem w zimnej wodzie. Dzisiaj czekała ją kolejna rozmowa z Marią, ale była spokojna. Wiedziała, że bez względu na wszystko staruszka jej nie wyrzuci, po wczorajszych zwierzeniach połączyła je więź sympatii i zrozumienia.

Weszła do kuchni, gdzie Maria zaparzała w garnkach jakieś zioła. Patrząc na jej skupioną twarz, wdychając mnogość zapachów unoszących się w ciemnym pomieszczeniu, zrozumiała, że te zioła to jej całe szczęście.

— Wyspana? — Maria przywitała ją serdecznym uśmiechem.

— Tak, dziękuję. Dzień dobry, pani Mario!

— Martusiu, córuniu, tam masz kielbasę i chleb, częstuj się.

„Nazwała mnie córunią?” — Marcie zrobiło się ciepło na sercu. Czuła się szczęśliwa w tym świecie, w tym domu, w którym ludzie nie krzywdzą się nawzajem, ale są dla siebie zwyczajnie mili.

— Jedz, kochana — zachęcała Maria, marszcząc czoło i przyglądając się lodydze zasuszonego nagietka. — Pójdiesz ze mną dzisiaj po zioła? Pokażę ci moje tajemne miejsca — Maria ściszyła głos, jakby wyjawiała wielką tajemnicę.

Tajemne miejsca? Czym Marta zasłużyła sobie na takie zaufanie? Pojawiła się tu nagle, parę miesięcy temu, kiedy dowiedziała się, że ma nowotwór. Była zdesperowana, by szukać pomocy gdziekolwiek, nawet u wioskowej zielarki, chociaż nie do końca wierzyła w jej metody. Ale miała nadzieję, i to ona trzymała ją przy życiu. Otrzymała od Marii mieszankę ziół, a później regularnie piła robiony z nich napar, nie zastanawiając się nad jego skutecznością, nie licząc na zbyt wiele. Teraz, po paru miesiącach, pojawiła się tu znowu. „I Maria mnie pamięta, i jest dla mnie taka dobra. Czym sobie na to zasłużyłam? Nawet nie zapytała, po co przyjechałam, ugościła mnie, dała schronienie, taka miła...”.

W dzieciństwie Marta miała swoje tajemne miejsca, do których wracała, gdy było jej smutno, kiedy świat stawał się zbyt okrutny i nie potrafiła sobie z nim poradzić. Właśnie tam, w tych sekretnych miejscach, pisała swoje wymyślone przepisy kulinarne, tworzyła rymowane receptury, dawała upust wyobraźni. Nigdy nikomu nie mówiła o tych tajemnych zakątkach, które teraz pewnie już nie istniały, ale pozostały na zawsze w jej pamięci. Podobnie jak dziecięce przepisy, które może dałoby się wcielić w życie, zamieniając anielskie łyzy na coś bardziej dostępnego. Tylko dla kogo miałyby gotować? Matka nie wpuszczała jej do kuchni, a Krzysztof nie lubił innowacji — miało być po bożemu, czyli według przepisów teściowej.

— Naturalnie, z przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa. Dziękuję za zaufanie, pani Mario, i za nocleg — dodała niepewnie. — Nie dziwi pani moje nagłe przybycie? Nie pyta pani nawet, po co przyjechałam.

— Mnie, moje dziecko, nie dziwi już nic, czego doświadczam na tym świecie. Jestem stara, wiele widziałam, nie skończyłam szkół, ale uczyłam się od ludzi, roślin i natury. Pamiętam, że przyjechałaś do mnie po zioła na nowotwór, pamiętam, że byłaś z jakimś mężczyzną. Pamiętam jego wzrok. To nie jest dobry człowiek, córeńko. Przepraszam, że tak mówię, ale...

— To mój mąż — wyszeptała Marta nagle bliska płaczu.

— Ten człowiek nie potrafi kochać, chciałby, ale jest za słaby. Ciągłe czegoś szuka, i tak już zostanie. Nigdy nie będzie szczęśliwy. A ty, Martuniu, kochasz go jeszcze?

Marta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy kiedykolwiek go kochała? Może zakochała się w samej myśli o miłości? Może to było tylko przyzwyczajenie i nadzieja, że prawdziwe uczucie nadejdzie, chociażby na starość? Może obydwoje nie dojrżeli do tego związku?

Pełną zadumy ciszę przerwała Maria.

— Nie wiń go za to, niektóre chłopcy tak mają — powiedziała spokojnie.

— Co ja mam teraz zrobić? Dlaczego mnie pani przygarnęła? Dlaczego pani mnie w ogóle lubi? Słyszałam, że wiele zła panią spotkało, ludzie wybijali okna, wyzywali od czarownic, podobno parę lat temu proboszcz z ambony powiedział, że ma pani koneksje z diabłem. Skąd w pani ciągle tyle ufności?

— Podejdź do mnie, kochana, i usiądź obok, proszę.

Marta posłusznie spełniła polecenie, siadając na skraju zbitej z desek podłużnej ławki.

— Co widzisz przed sobą? — zapytała Maria.

— Widzę zioła, garnki, wodę...

— Właśnie, a wiesz, co ja widzę?

— Coś innego?

— Ja widzę szansę na to, by ludzie uwierzyli, że wyzdrowieją, również na duszy, że ich choroby miną, chociaż lekarze załamują ręce i każą się żegnać z życiem. Największą tragedią jest brak nadziei. Jeżeli masz nadzieję, to już wygrałaś. Nawet zwykły mały mlecze, który śmiało wyrosnąć na ścieżce, walczy o istnienie, jest sam, ale się nie poddaje. Szuka słońca, szuka ciepła, światła i liczy, że uda mu się przetrwać.

— Uważa pani, że rośliny też czują i myślą? — zapytała zdumiona Marta. Pies zaczął szczekać, ale nie zwrócił na to uwagi, zajęte rozmową.

— Świat roślin rządzi się swoimi prawami, które dla nas, ludzi, często są niepojęte. Ale możemy się od niego uczyć. Dotknij tej babki lancetowatej. Co czujesz? Jej liście są delikatne, soczystozielone, a jednocześnie szorstkie. Zbieram ją, ponieważ ma właściwości napotne, działa dezynfekująco, jest pomocna przy mokrym kaszlu. Ale wiesz co, słodziutka? Wczesnym popołudniem pójdziemy na łąki zbierać zioła i wtedy opowiem ci więcej o ziołach. Zgoda?

— Naturalnie. Dziękuję pani... — odrzekła Marta.

— Nie mów mi na pani, tutaj nikt tak się do mnie nie zwraca. Nazywają mnie Marią albo „babuchną”. A ty możesz mówić do mnie... Może „ciociu”? — zapytała z nutą nieśmiałości w głosie. Marta odniosła wrażenie, jakby rośliny w ogródku i przy domu zadrżały, chociaż nie poczuła nawet delikatnego powiewu wiatru.

— Oczywiście, jestem pani... przepraszam... jestem cioci wdzięczna za wszystko. Dziękuję.

— Oj, kochana, nie dziękuj, po prostu bądź. Póki nie umrę, a to już niedługo.

— Ciociu, nie mów tak, proszę...

Obie wzruszone zamyśliły się przez moment. W zapadłej ciszy czegoś brakowało, jakiegoś dźwięku. To pies przestał szczekać. Maria podeszła do okna.

— Chyba mamy gości — powiedziała.

Marta spojrzała w stronę asfaltowej drogi, gdzie na poboczu zatrzymał się samochód. Bliżej, na ścieżce stali jacyś ludzie, widziała tylko ich głowy. Zerknęła na stojącą nieopodal Marię i zobaczyła w jej oczach łzy. A może tylko jej się wydawało.

— Dzień dobry! — krzyknęła Ewelina, klnąc w myślach, że ubrała tak niewygodne buty na tę wyprawę. — Szukamy pani Marii Obuch. — Skierowała te słowa w stronę dwóch kobiet, które wyszły na ganek.

— Zapraszam. — Maria wytarła ręce w fartuch, czekając, aż goście podejną bliżej. — Słucham państwa, o co chodzi? — zapytała, przyglądając się bacznie mężczyźnie, który stał za nieznaną.

— Droga pani, przepraszam za obcesowość, ale przyjechaliśmy do pani, by zasięgnąć porady. Chodzi o to, że nie potrafimy poradzić sobie z kryzysem małżeńskim...

Ewelina ciągle mówiła, ale Maria, z miejsca wyczuwając fałsz, przestała słuchać i skupiła się na

mężczyźnie, który pod naporem jej spojrzenia spuścił wzrok. Kobiecie szybciej zabiło serce. Wpatrywała się zachłannie w jego rysy twarzy, ten nos, brwi, wysokie czoło. Czyżby instynkt i tym razem jej nie zawiodł? Wierzyła, że kiedyś się znajdzie, ale... przecież to prawie niemożliwe! I dlaczego właśnie teraz?

— Czy pani mnie słucha? Halo! — Ewelina nieco podniosła głos.

— Przepraszam panią, ale źle się poczułam. Zapraszam do domu. Kochanie, zrób, proszę, kawy — powiedziała do Marty i dopiero wtedy goście zwrócili uwagę na dziewczynę.

Grzecznie podziękowali za kawę, a Ewelina dokładnie zlustrowała cały pokój. Jej spojrzenie niczym rentgen prześwietliło wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku i mogło pomóc w wykryciu oszustwa. Niczego takiego nie znalazła, ale była głęboko przekonana, że takie dowody istnieją, są jedynie dobrze ukryte. Ta druga, młoda kobieta z pewnością była współniczką i adeptką sprytnej szarlatanki. Ewelina sama nie wiedziała, czego konkretnie powinna szukać, gdzie znajdzie jakiś punkt zaczepienia, od którego będzie mogła zacząć śledztwo.

Rozmowa się nie kleiła, ale Ewelina nie dawała za wygraną. Irytowała się tylko w duchu, że Andrzej milczy jak zaklęty i ona musi wykonywać całą robotę sama. Choć musiała przyznać, że właśnie czegoś takiego się spodziewała po narzuconym jej na siłę partnerze.

— A pani to córka? — zwróciła się do młodszej z kobiet, przerywając niezręczną ciszę.

— Ja? Ja jestem... — Marta zawahała się.

— To moja siostrzenica — wyręczyła ją Maria. — A pan, kim pan jest dla tej pani? — zapytała Andrzeja, wskazując brodą elegancką paniusią.

— Jestem mężem Eweliny. Przyjechaliśmy do pani z prośbą o pomoc. Tak się składa, że mamy problemy z płodnością, to znaczy... ja mam i wierzymy, że pani nam pomoże.

Maria słuchała jego niskiego, ciepłego, radiowego głosu, nabierając coraz większej pewności. Jej serce nie mogło się mylić. Ale mogło pęknąć. Zachwiała się nagle i Andrzej musiał chwycić ją pod ramię. Zobaczyła przerażenie na twarzy Marty i zdumienie w oczach drugiej kobiety, a później zemdlą... .

Zabrali ją samochodem do lekarza w Krempej. W ośrodku zdrowia wezwano karetkę reanimacyjną i nieprzytomną kobietę odwieziono do najbliższego szpitala.

Marta cicho płakała. Ewelinę rozsadzała dziwna złość i tylko na niej była w stanie się teraz skupić. Czuli się z nią bezpiecznie, bo nie pozwalała jej na wyrzuty sumienia. Andrzej, dziwnie oziębiały, okazał się jednak na tyle przytomny, aby zaproponować jazdę do szpitala. Wy tłumaczył poirytowanej partnerce, że tak po prostu wypada. Wzięli ze sobą Martę, która cały czas cicho łkała w samochodzie.

Ewelina i Andrzej milczeli przez całą drogę. Nim dojechali na miejsce, nim znaleźli kogoś, kto wyjaśnił im sytuację, okazało się, że Maria jest już po operacji, a rokowania są obiecujące. Lekarz z oddziału kardiochirurgii stwierdził, że mimo zaawansowanego wieku starsza pani ma silny organizm i z pewnością wszystko będzie dobrze. Sam wydawał się zaskoczony, że tak wiekowa osoba ma aż tak dobre wyniki, wysnuł również teorię, iż zawał był skutkiem nagłego, traumatycznego przeżycia. Andrzej i Ewelina na przemian zapewniali, że nic takiego się nie wydarzyło, ot, normalnie, spokojnie rozmawiali.

A jednak coś było nie tak i cała trójka doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Ale zgodnie nie poruszali tego tematu. Późnym wieczorem, gdy wracali do wioski, atmosfera trochę się rozluźniła. Grunt, że wszystko dobrze się skończyło, przekonywali samych siebie. Poczuli się lepiej i nawet zjedli posiłek w przydrożnym barze, racząc się regionalnymi przysmakami na mocno spóźniony obiad.

Andrzej zamówił golonkę podkarpacką z Pilzna, Ewelina kielbasę głogowską, a Marta, która długo wzbraniała się, twierdząc, że nie jest głodna, skusiła się wreszcie na kiszkę pasztetową dukielską. Potrawy tak im smakowały, że Marta poprosiła o przepisy, ponieważ zamierzała przyrządzić je dla pani Marii — oczywiście gdy ta już wyzdrowieje. Skromne to podziękowanie za uratowanie życia, ale zawsze. Sam szef kuchni przyniósł jej ręcznie napisane receptury, a Marta obdarzyła go najcieplejszym pod słońcem uśmiechem.

W drodze powrotnej mieli okazję poznać się lepiej. Marta powiedziała, że zamierzała zamieszkać w gospodarstwie agroturystycznym, ale ciocia nalegała, by wprowadziła się do niej. Andrzej co jakiś czas zerkał w lusterko, potakując głową. Ewelina trzymała się wersji o problemach małżeńskich.

Najpierw odwieźli Martę pod dom, a gdy wrócili, zastali Nowakową siedzącą na ławeczce przed domem. Towarzyszyła jej leciwa sąsiadka o haczykowatym nosie i skrzypiącym tembrze głosu.

Ewelina i Andrzej pokrótce zrelacjonowali kobietom, co się stało. Nowakowa od razu stwierdziła, że to się musiało tak skończyć, bo ta biedna kobieta nie ma żadnej opieki, na dokładkę źle się odżywia i nie chce pomocy z gminy.

— A wy nie wiecie, że Łona ni mo nikogo? — zdziwiła się sąsiadka Nowakowej.

— Jak to? Przecież jest u niej siostrzenica. Sami widzieliśmy. Prawda, Andrzeju?

— Tak, zgadza się, to pani Marta. Nawet pojechała z nami do szpitala.

Kobiety popatrzyły na siebie, robiąc takie miny, jakby usłyszały kiepski żart. Nowakowa odezwała się pierwsza.

— Jok to? Łona ni mo rodziny. Jo wim dobrze, bo znom jom od dawna. Wiem jeno, że miała dziecko, ale doła jakimś panoszkom, chyba miastowym prawnikom. Jej chłop umarł i nie miała co do garka włożyć. Łono sama podobno się potem truła, bo żalowała tego dziecioka. Ale za późno już było, tamci przepadli, szukaj wiatru w polu.

— Jak to, oddała dziecko? Jest pani pewna? Więc kim w takim razie jest Marta? Wydaje się serdeczną, uczciwą kobietą. Pani Maria sama przedstawiła ją nam jako swoją siostrzenicę.

— Może Maryśka zwariowała i jakaś oszustka wmówiła jej, że są rodziną? — Nowakowa snuła swoje teorie, a Ewelina i Andrzej zaczęli się obawiać, że do rana usłyszy o nich cała okolica.

— Spokojnie — mitygował Andrzej. — Pojadę jeszcze dzisiaj do pani Marty i wypytam co i jak. W razie czego jutro i tak zamierzaliśmy pojechać do Marii, więc nie ma co wygłaszać teorii spiskowych na wyrost.

W trakcie rozmowy podszedł do nich Sławek, ale nie wdawał się w dyskusję. Kręcił się po podwórku, raz po raz dyskretnie zerkając w stronę Eweliny.

— Pojadę i się wszystkiego dowiem. Proszę na mnie nie czekać z kolacją. Wrócę późno — Andrzej ruszył w stronę furtki.

— Ale gdzie pon idzie sam, bez żony? Pani zostaje?

— Tak, żona zostanie. Jest zmęczona — uciał Andrzej, nie dopuszczając Eweliny do głosu.

Andrzej, zbliżywszy się do chatki Marii, spotkał przed wejściem zasmuconą Martę.

— Dzień dobry. Spokojnie, nic się nie stało — zaczął, gdy zobaczył strach w jej oczach. — Pani Marto, przepraszam, nie lubię się wtrącać do cudzych spraw, ale czasami muszę to robić. Rozmawiałem z gospodynią, panią Nowakową, od której wynajmujemy pokoje, i chciałbym coś wyjaśnić. Ona twierdzi, że pani Maria nie ma żadnej rodziny. Proszę wybaczyć, ale skąd w takim razie pani obecność w jej domu? Ludzie twierdzą, że Maria jest odludkiem i mieszka samotnie. Ale przecież to sama pani Obuch wspomniała o waszym pokrewieństwie, więc chyba pani rozumie...

— Naturalnie, rozumiem — westchnęła. — Powiem panu wszystko jak na spowiedzi. Samą mnie męczy to kłamstwo. Zapraszam do środka, zaparzę dziurawiec.

Andrzej patrzył, jak Marta krząta się przy garnkach. Zwrócił uwagę na jej alabastrową skórę i nieco zbyt szczupłą figurę. Czarne, długie włosy, opadające na smukłe ramiona, domagały się wizyty u fryzjera. Zauważył, że jest piękną kobietą, choć jej uroda nie rzucała się w oczy. Poza tym całą jej postać przepełniał jakiś ból. Nie znał jego przyczyny, ale jej współczuł. Nie chciał, by cierpiała, pragnął, żeby była szczęśliwa. Może to dziwne, bo dopiero co się poznali. Niemniej poczuł do niej instynktowną sympatię i nie wierzył, by ta kobieta mogła być oszustką. Właściwie przyjechał tutaj, żeby ochronić Martę przed wścibstwem redakcyjnej koleżanki. Nie przyznawał się do tego przed samym sobą, ale chciał także znowu ją zobaczyć.

Dlaczego wciąż odnosił wrażenie, że zna to miejsce, chociaż nigdy wcześniej nie odwiedzał Podkarpacia? Był typowym mieszczuchem. Ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz dziennikarstwo w Londynie, aktualnie mieszkał w Warszawie. Posiadał wyjątkową zdolność przystosowywania się do nowych miejsc i okoliczności. Robił to na zasadzie odruchu, instynktu

przetrwania. Brylował w każdym ze środowisk, w jakich przyszło mu żyć, chociaż jednocześnie czuł się wyalienowany i cały czas poszukiwał swojego miejsca na ziemi. Miał dosyć przelotnych związków, kobiet, które stawiały na grubość portfela i liczbę kart kredytowych. Miał dosyć romansów, które napełniały go coraz większą odrazą do samego siebie. Tęsknił za prawdziwą, bezinteresowną miłością, za autentycznym porywem serca i choć nigdy by się do tego nie przyznał, ciągle wierzył, że taka miłość jest możliwa. Dlatego właśnie rzucił dotychczasową pracę i przyjął robotę w redakcji, wymagającą częstych wyjazdów służbowych. Jakby to mogło przytłumić jego tęsknotę. Sam nie potrafił sobie odpowiedzieć, co konkretnie miałyby to zmienić w jego życiu, ale wierzył, że jakaś zmiana nastąpi. Właściwie — to już się działo. Czuł się dziwnie błogo. W ciągu tych dwóch dni, z dala od fałszu wielkomiejskiej aglomeracji, odnalazł w sobie spokój.

Marta snuła smutną historię swojego życia. Nie przerywał jej, popijając dziurawiec. Momentami dostrzegał w jej oczach łzy, ale po chwili słabości głos Marty stawał się mocniejszy i bardziej dźwięczny. Na dworze już dawno się ściemniło, a on ciągle słuchał i jeszcze nie chciał się stąd ruszać. Mógłby tu zostać na zawsze. To miejsce i ta kobieta — czuł, że właśnie dzięki nim jest taki spokojny i szczęśliwy.

— Pani Marto, mam prośbę.

— Tak? — Podniosła oczy.

— Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Andrzej. — Wyciągnął rękę.

— Marta. — Podała mu dłoń, którą ujął, a potem delikatnie musnął ustami jej policzek.

— Teraz wszystko rozumiem i przepraszam za moje podejrzenia. Cieszę się... to znaczy... — Spąsował, zaskoczony własnymi uczuciami, ale odważnie dokończył: — Cieszę się, że odeszłaś od tego faceta i że pokonałaś chorobę.

— Miły jesteś. Twoja żona nawet nie wie, jaki skarb jej się trafił.

Andrzej nic nie odpowiedział, nie chciał brnąć w kłamstwo. Przypomniawszy sobie, że Ewelina pewnie czeka na jego raport. Całkiem możliwe, że wraz z nią czeka także Nowakowa i jej wścibska sąsiadka. Miał opory, by zostawić Martę samą na noc w tej chacie, więc zaproponował jej nocleg w domu Nowakowej.

— Nie, dziękuję, ale nie mogę — odparła, bezwiednie odginając prawą dłońią palce lewej, jakby zamierzała je sobie wyłamać. — Już i tak bardzo mi pomogłeś, dziękuję ci za to. Ale może wpadniecie jutro? Miałabym jeszcze jedną prośbę.

— Tak, Marto? — zapytał.

— Nie chcę się narzucać i wiem, że macie własne problemy, ale gdybyście jutro jechali do Jasła, czy mogę zabrać się z wami? — zapytała.

— Przecież ustaliliśmy, że jutro pojedziemy do pani Marii. O dziesiątej ci pasuje?

— Jak najbardziej! Jeszcze raz dziękuję.

Rozległ się przeciągły, przejmujący dźwięk, rodem z horrorów, który przyprawił go o gęsią skórę.

— Rany, co to było? — zapytał.

— Nie bój się, to tylko wilki. — Machnęła lekceważąco ręką. — Nie są groźne dla człowieka, póki ten ich nie zaatakuje. Albo ich potomstwa. No, chyba że są bardzo głodne, ale i tak ludzi prawie nie atakują, nawet zimą, a przecież teraz mamy lato, więc bez obaw. Zresztą, obronimy cię, ja i Lepi. — Złapała za stojącą w rogu miotłę.

— Lepi? Aaa... pies!

Oboje wybuchnęli śmiechem. Kundel, gdy usłyszał swoje imię, skupił wzrok na nich, zamachał ogonem, po czym zajął się tym, co lubił robić najbardziej, czyli spaniem.

— Odważna jesteś.

— Bez przesady. — Zarumieniła się leciutko i szybko zmieniła temat. Za bardzo jej się podobał, troskliwy, miły, obdarzony ciepłym, głębokim głosem, tak różnym od oschłego tonu jej męża. — W każdym razie cieszę się, że mogłam ci o wszystkim opowiedzieć. Ale teraz wracaj już do żony, z pewnością umiera z niepokoju.

Chciał jej powiedzieć, że to nie tak, że wcale nie ma żony, ale wtedy musiałby przyznać się do

kłamstwa. Poczul się podle, że zgodził się wejść z butami w świat tych serdecznych, choć tak ciężko doświadczonych przez los kobiet. I to po co? Dla jakiegoś szczytnego celu? Nie, wyłącznie w pogoni za sensacją. Nie powinien był się na to godzić, to było nieetyczne. Ale jak przekonać do zmiany zdania Ewelinę? Podejrzewał, że ona tak łatwo nie odpuści.

Tymczasem Ewelina wdała się w ploteczki ze starszymi kobietami, które w największej tajemnicy zdradziły jej, kto z kim romansuje, które panienki są puszczałskie, a które mają już dzieciaki bez mężów.

Mówiły w miejscowej gwarze. Ewelinie przestał przeszkadzać ten język, polubiła go. Przyzwyczała się nawet do czegoś, o co sama siebie nigdy nie podejrzewała — do kumkania żab i cykania świerszczy. Co nie znaczy, że stała się aż taką fanką tutejszej natury, by samopas zapuszczać się nocą w leśny gąszcz, ryzykując spotkanie ze żmiją, dzikiem lub niedźwiedziem. Takie atrakcje czekały tu na wędrowców.

Nowakowa pożegnała się i poszła spać przed dwudziestą drugą, a Ewelina została jeszcze na ławeczce z kubkiem herbaty i swoimi myślami. Co powinna teraz zrobić? Muszą z Andrzejem podjąć jakieś decyzje. Wszystko się skomplikowało. Dlaczego ta stara kobieta tak przyglądała się Andrzejowi? Kim naprawdę była Marta i czego tu szukała? Nie powinien jechać tam sam, przecież mogła go otruć albo jakoś inaczej mu zaszkodzić. Kobiety potrafią być niebezpieczne.

Po chwili usłyszała szmer i podniosła oczy. Przed nią stał Sławek, odświeżony po prysznicu. Jego przydługie słomiane włosy doskonale komponowały się z czarną koszulą. Zauważyła, że ten zaskakujący facet ma także własny styl ubierania się, będący kwintesencją prostoty i dopasowania do sytuacji.

— Można? — zapytał, wskazując na ławeczkę. — Słyszałem, co się stało. Niech się pani nie martwi, mężowi nic nie grozi. Znam Marię od wielu lat, nie przygarnełaby pod swój dach nikogo złego.

No tak, znowu będzie wysłuchiwała, jaka to dobra i mądra kobieta, ilu ludziom pomogła, jak wiele zasług miała w oczach Boga.

— Ja się nie martwię o Andrzeja, po prostu to wszystko mnie przerasta. Nie widział pan całej sytuacji, ale... ta kobieta zachowywała się dziwnie, jakby była niespełna rozumu. Mówiłam do niej, a ona wcale nie słuchała, tylko gapiała się na Andrzeja, wręcz pochłaniała go wzrokiem. Potem jeszcze ten zawał. Jakby go zaplanowała.

— Bardzo proszę, niech pani tak nie mówi, nawet nie myśli. Nie zna jej pani — wyszeptał z przejęciem Sławek.

— Jak dobrze ją pan zna? Może tylko na tyle, na ile ona panu pozwoliła? A jeżeli okaże się, że oszukuje całą wioskę? — Przestraszyła się własnych słów. — Przepraszam, przepraszam bardzo... — zaczęła się wycofywać. — Przykro mi, nie chciałam...

— Dobranoc. — Sławek po prostu wstał i odszedł, zostawiając Ewelinę samą.

Wróciła do siebie na górę z zamiarem zrelacjonowania w liście do prezesa wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło. „Ale z drugiej strony — pomyślała — przecież nic takiego się nie stało. W każdym razie nic, co mogłoby mieć znaczenie dla gazety”. Zdawała sobie sprawę, że jej lojalność względem pracodawcy zanika, a ona jako dziennikarka traci grunt pod nogami. Tutaj nie musiała nikomu niczego udowadniać, nie musiała walczyć o kolejną szpaltę w gazecie ani o kolejny szczebelek w karierze, nie musiała udawać, że kogoś lubi albo szanuje. Ni z tego, ni z owego zafundowano jej przymusowe wakacje, które nawet jej się podobały, co zaskoczyło ją samą. Czuła się tutaj inaczej — w tym miejscu, gdzie nikt oprócz niej nie przywiązywał wagi do metki na koszuli. Większość tych ludzi martwiła się raczej, skąd wziąć pieniądze na wykarmienie dzieci następnego dnia. Dla niej to była kompletna nowość. Wychowywała się w bogatej rodzinie. Jako jedynaczka miała wszystko, o czym zamarzyła — wakacje w tropikach, drogie ubrania z kolekcji najlepszych projektantów, buty sprowadzane prosto z Włoch lub Paryża.

Teraz ona sama stanowiła markę w pewnych środowiskach, więc nie mogła zadawać się z byle kim. Jej koleżanki były równie jak ona bogate, zepsute i... nieszczęśliwe. Chowały swoje lęki

i niepewność za fasadą kosmetyków, drogich strojów oraz partnerów na pokaz, których często zmieniały, a po rozstaniach z lubością skupiały się na publicznym wytykaniu ich niedoskonałości. Dlaczego dopiero teraz to wszystko dostrzegła? Może z oddali łatwiej o odpowiednią perspektywę.

Przypomniała sobie, że jutro jest piątek, a w niedzielę planowała wybrać się do kościoła. Chciała przyjrzeć się mieszkańcom tej wioski, przy okazji nawiązać nowe znajomości, chociaż to akurat mogło okazać się trudne. A może wybierze się tam ze Sławkiem? Nie, to zły pomysł, przecież udają z Andrzejem małżeństwo, które walczy z kryzysem w związku. Cholera, gdzie on jest?

Przez otwarte okno delikatnie wpadało świeże, wilgotne powietrze. Gdzieś z oddali dobiegał niski pomruk burzy. Zobaczyła pierwsze błyskawice. Bardzo bała się burzy, a przez skórę czuła, że na tych terenach wygląda jeszcze gorzej niż w mieście.

W końcu wrócił Andrzej — zdążył przed deszczem. Opowiedział jej o tym, co usłyszał od Marty, ale była przekonana, że nie mówi jej całej prawdy. Teraz miała jednak większy problem niż jego sekrety. Wiatr się wzmagał, deszcz zacinął, uderzając w okiennice z niespotykaną siłą, grzmoty robiły się coraz głośniejsze, a Ewelina coraz bardziej się bała.

Andrzej, nim zasnął, pomyślał tylko, że nazajutrz też muszą wstać o siódmej. Pojadą do Jasła, Ewelina zrobi zakupy, a on z Martą odwiedzi panią Marię.

Burza trwała przez większą część nocy. Ewelina zasnęła dopiero nad ranem.

Andrzej jak zwykle nie poczekał na nią ze śniadaniem. Rozmawiał właśnie ze Sławkiem, kiedy zobaczyli ją potarganą, skrzywioną, w pogniecionej piżamie. Zerknęli na siebie i parsknęli śmiechem.

— Bardzo śmieszne. Nie spałam całą noc przez tę cholerną burzę — burknęła, ziewając. Miała w nosie, jak wygląda. — A tak w ogóle nie chce mi się nigdzie ruszać. Muszę to odespać. Jedź sam albo z tą oszukańczą panną — rzuciła. Uśmiech zniknął z twarzy Andrzeja.

Sławek, widząc, na co się zanoszą, udał się do stodoły, tłumacząc się nagłą potrzebą naprawy kosiarki.

— Nie nazywaj jej tak, nic o niej nie wiesz. Znowu z góry się uprzedziłaś i już ją wsadziłaś do któregoś ze swoich szufladek.

— Rozumiem, że ty zdążyłaś poznać ją lepiej? Ale właściwie to nie moja sprawa. Słuchaj... — ściszyła głos, rozglądając się wokół, by sprawdzić, czy Nowakowa przypadkiem nie podsłuchuje. — Co dalej? Muszę napisać raport dla prezesa i jestem w kropce. Tu nie jest wcale tak źle. Odpoczywam, trochę leniuchuję, ale... nie za to mi płacą.

— A za co? Za szukanie haków na starą, samotną i schorowaną kobietę, która żyje jak nędzarka, bo za pomoc udzielaną ludziom nie bierze ani grosza? No to zostań i napisz list do szefa. Napisz mu, co chcesz! Ja jadę do Marii. Czuję się odpowiedzialny za jej stan zdrowia.

— Niby dlaczego? To przypadek, że pikawka jej siadła akurat w czasie naszej wizyty. No chyba że celowo tak dramatycznie padła u twych stóp. Może chciała, żebyś się przejął? Albo ta cała Marta maczała w tym palce? Dlaczego tak jej ufasz? Wybacz, ale to jest nieprofesjonalne. A może zakochałeś się w tej paniencie? Byłbyś aż taki głupi? Ledwie zobaczysz wychudzoną bladą nieszczęśnicę, złaknioną męskiego wsparcia, i już tracisz głowę?

Andrzej w sekundę przeskoczył dwa dzielące ich metry, stając tuż przy Ewelinie, bardzo blisko, za blisko.

— Ostrzegam cię. Jeszcze raz tak się o niej wyrazisz, a przestanę być miły. Nie żartuję. Nie lubisz obraźliwych epitetów, to czemu sama nimi szafujesz? Zapamiętaj sobie raz na zawsze, rozpieszczona lalczko — nie jesteś pępkiem świata, nie jesteś żadnym guru ani wyrocznią. Nie masz błędnego pojęcia o problemach prawdziwych ludzi. Nie wiesz wszystkiego najlepiej, coś ci się tylko wydaje — cedził powoli. — Nigdy nie mów przy mnie źle o tych kobietach. Proszę grzecznie po raz ostatni — zakończył.

Ewelina stała jak słup soli. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wydobyła z siebie tylko ciche „przepraszam”, po czym uciekła do swojego pokoju. Po chwili usłyszała delikatne pukanie do drzwi, ale nie odpowiedziała. Domyśliła się, że to Andrzej. Nie chciała go teraz widzieć.

Wkrótce dobiegł ją dźwięk zapalnego silnika i zobaczyła przez okno, że jej przybrany mąż wyjeżdża z podwórka, kierując się w lewo. Do Marty.

Ewelina otworzyła laptop, włączyła telefon i zastygła w bezruchu. Zmieniła zdanie, nic nie napisze. Położyła się do łóżka, by odespać zarwaną noc, i po kilku godzinach zeszła do kuchni. Poinformowała gotującą obiad Nowakową, że wychodzi pozwiedzać okolicę. Przy wejściu minęła Sławka, który wracał ze stodoły, ale ona tym razem nie miała ochoty na rozmowy.

— Niech pani na siebie uważa — rzucił.

— Dziękuję, może jak wrócę, to po obiedzie zagramy w karty?

— Z przyjemnością... — Chciał coś dodać, ale zrezygnował i wrócił do swojej roboty.

Do miasta dojechali w trzydzieści minut, co można było uznać za rekord. W drodze ukradkowo zerkali na siebie, siłąc się na naturalność. Wstydzieli się swoich świeżych uczuć. Jednak mimo pewnego skrepowania Marta była tego dnia nieco weselsza i Andrzej odniósł wrażenie, że na poprawę jej humoru wpłynęła nieobecność Eweliny. Rozmawiali bardziej swobodnie. Marta w niczym nie przypominała kobiet, z którymi zwykle się spotykał. Nie była modelką, aktorką, tancerką czy choćby celebrytką, a jednak robiła na nim niesamowite wrażenie. Ubrana w zwykłe ciemne jeansy i białą bluzkę wyglądała znakomicie. Zauważył, że się nie malowała. Nie musiała. Miała to coś, nieokreślony urok, który zawsze mu imponował — wewnętrzne piękno. I te ciemne oczy... Wielkie, nieco smutne i przestraszone, zupełnie bezbronne. Gdy w nie patrzył, miał ochotę ją przytulić, ochronić przed całym złem świata. Mógł bez końca słuchać jej melodyjnego, cichego głosu. Od samego początku sprawiała, że pragnął na nią patrzeć, pragnął jej słuchać. Ale przede wszystkim chciał być blisko niej. Czuł się wtedy lepszym człowiekiem.

A teraz siedziała w jego samochodzie, tak blisko. To wprawiało go w radosną ekscytację, którą starał się ukrywać, żeby jej nie odstraszyć. Przecież Marta uważała go za żonatego faceta. Ustalili, że po wizycie u Marii i rozmowie z lekarzami zabierze ją na obiad.

W szpitalu okazało się, że stan Marii się poprawił i została przeniesiona z OIOM-u do ogólnej, czteroosobowej sali. Kiedy tam weszli, rozmawiała z otyłą sąsiadką, leżącą z podkurczonymi nogami na łóżku obok. Kobieta prawą ręką podpierała głowę i przytakiwała Marii, która o czymś opowiadała, żywo gestykulując. Słuchaczka nagle spojrzała w stronę drzwi i rzekła głośno:

— Chyba ktoś tu ma gości.

Maria odwróciła się i na jej twarzy pojawił się serdeczny uśmiech. Marcie wydało się, że odmłodziła o dziesięć lat.

— Proszę, zapraszam, kochaniutcy. To do mnie, pani Basiu — powiedziała do sąsiadki, która zaczęła jeść jabłko, ryzykując w tej pozycji zadławienie się. — Cieszę się, że jesteście. — Maria nie przestawała serdecznie się uśmiechać. — To pani Basia, z Dębowca. Marcu, córuniu, mam do ciebie prośbę. Możesz mi następnym razem, gdy przyjedziesz, przywieźć różaniec? Bo przyjedziesz, prawda?

— Naturalnie, ciociu, a jak się ciocia czuje?

— No właśnie, lepiej już? — dopytywał Andrzej.

— Dużo lepiej. Nie martwcie się, złych diabli nie biorą. Będę żyła! — Zachichotała cicho. — Czy już wiadomo, kiedy stąd wyjdę?

— Lekarze niczego konkretnego nie mówili, ale nie ma co się spieszyć, lepiej dmuchać na zimne. Nie pozwolimy pani znowu na taki numer. — Mężczyzna pogroził starszej kobiecie palcem.

Maria spojrzała mu głęboko w oczy.

— Szczęście w nieszczęściu, że pan tam był, panie Andrzeju. A jak żona? — spytała nieoczekiwanie, choć mógłby przysiąc, że doskonale знаła odpowiedź. Widział to w jej oczach, co sprawiło, że poczuł się nieswojo.

— Żona została na kwaterze, miała inne plany, ale pozdrawia ciepło i życzy zdrowia — wyrecytował szybko.

Maria zamyśliła się, ale szybko wróciła do zadawania pytań. Czy pies nakarmiony, czy rośliny

w ogrodzie podlane, czy Marta daje sobie sama radę? Na wszystko otrzymała odpowiedzi twierdzące.

Gdy panie zajęły się ploteczkami, Andrzej oddalił się, by poszukać lekarza. Zapytał o zdrowie Marii, jednocześnie dyskretnie wkładając do kieszeni jego fartucha banknot dwustuzłotowy.

— Tak nie można, to niepotrzebne — zaproponował lekarz, ale bez przekonania.

— Niech się pan nią opiekuje. To dla mnie bardzo ważne.

— Naturalnie, pani Maria będzie traktowana jak królowa.

— Traktujcie ją po prostu jak człowieka — powiedział z przekąsem Andrzej. — W razie czego proszę telefonować. Pozwolę sobie zostawić numer telefonu. — Podał lekarzowi wizytówkę.

— Zrobimy wszystko, co trzeba. Zresztą, myślę, że pana matka wkrótce wyjdzie do domu.

— Moja matka? To nie jest moja matka. To tylko znajoma.

— Nie? Bardzo przepraszam, ale jest pan do niej taki podobny.

Ta rozmowa zaczynała Andrzeja drażnić, więc szybko się pożegnał. Zobaczył je z daleka, gdy opuszczały salę. Marta pchała wózek, na którym siedziała starsza pani. Andrzej przyglądał się młodej kobiecie i nie znalazł w niej śladu udawanej troski. Ona naprawdę taka była: dobra, opiekuńcza, piękna. Choć nadal pozostawało dla niego tajemnicą, dlaczego Maria ją przygarnęła, przecież Marta była dla niej obcym człowiekiem. I dlaczego odnosił wrażenie, że on z kolei bardzo dobrze zna i tę chatkę, i zielarkę?

— A gdzie to się piękne panie wybierają? Czy to rozsądne? Pani Maria musi odpoczywać. — Przejął od Marty rączki wózka i zawrócił do pokoju. — Czegoś pani potrzebuje? Jakaś gazetę, książkę? Ja przyniosę, na dole jest kiosk. Do jedzenia niczego nie załatwię, bo pewnie musi pani trzymać dietę — urwał. — Przepraszam. Za dużo mówię.

— Dziękuję, niczego mi nie brakuje. Oprócz moich ziół, chętnie bym się dziurawca napiła.

Wpatrywała się w Andrzeja tym swoim przenikliwym wzrokiem, którego zaczynał się bać. Czuł narastające napięcie, powietrze niemal odczuwalnie zgęstniało. W końcu Maria przerwała krępujące milczenie:

— Mam prośbę, Martuniu. Zostawisz mnie na parę chwil z panem Andrzejem? Bardzo cię o to proszę — dodała z naciskiem w głosie, zanim Marta zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Andrzej niespokojnie się poruszył. Mina Marty wskazywała, że jest równie zaskoczona jak on. Spodziewał się krępującej rozmowy, choć nie miał pojęcia, czego mogłaby dotyczyć. Otyła sąsiadka już jakiś czas temu wyszła pospacerować po korytarzu, twierdząc, że chce zażyć trochę ruchu. Niezbyt to do niej pasowało, więc Andrzej zaczął podejrzewać, że ona także spełnia prośbę pani Marii o chwilę intymności.

— Niech pan usiądzie. — Starsza pani wskazała metalowe szpitalne krzesło, z którego schodziła farba.

Dzień był wyjątkowo upalny. Ewelina założyła białą bluzkę na ramiączkach i modne w tym sezonie jasne jeansy, doskonale dopasowane do jej zgrabnej figury. Szła powoli, zastanawiając się nad tym, co zostawiła za sobą, daleko w Warszawie. Analizowała swoje życie, swoją przeszłość. Uznała, że musi przeprosić Andrzeja. Znowu się zagalopowała, ale tym razem wynikało to z troski — zmieniał się na jej oczach. Od początku budził w niej mieszane uczucia, sympatię i niechęć, bo dostrzegала w nim własne wady. Na ewentualnego partnera na pewno się nie nadawał. Podobał się jej, ale dwoje butnych, zarozumiałych, wręcz aroganckich ludzi nie stworzy szczęśliwej pary, choć w łóżku mogłoby być ciekawie... Rozmyślała o Andrzeju, Sławku, o Marii i jej fałszywej siostrzenicy, a także o prezesie i powierzonym im zadaniu. Czy podołają? Czuła, że może być trudno, a nie znosiła porażek. Dlatego prezes wybrał właśnie ją. No ale co z Andrzejem? Wyraźnie polubił obie kobiety.

Niespiesznym krokiem dotarła do jednego z nielicznych tutaj sklepów. Rzuciła okiem na mężczyzn stojących pod ścianą. Nieogoleni, ponurzy, ubrani w robocze spodnie, podniszczone koszule i gumki, leniwie sączyli piwo. Minęła ich bez słowa i weszła do środka. Twarz młodej sprzedawczyni szpeciły okulary w niemodnych oprawkach. Na widok klientki dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i odłożyła czytana książkę na ladę.

„Pewnie romans” — pomyślała Ewelina i poprosiła o coś zimnego do picia. Dostała oranżadę prosto z lodówki. Zapłaciła, ale nie spieszyło się jej zbytnio, więc z dziennikarskiego obowiązku zapytała, czy wolno tak pić alkohol pod sklepem, przecież to miejsce publiczne. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Wychować ich nie wychowam. Życie mają ciężkie, rozrywki niewybredne, brak nadziei inwencją zabija, a z nudy to tylko głupoty do głowy przychodzą. Więc z dwojga złego wolę, żeby robili za kiepską reklamę sklepu, niż gdyby mieli się tu awanturować i szyby wybijać — odpowiedziała, zaskakując Ewelinę swoją elokwencją i spostrzeżeniami. Dziennikarka spojrzała uważniej na okładkę książki leżącej na ladzie. Musiała czytać do góry nogami, więc chwilę jej zajęło odcyfrowanie autora i tytułu. *Ulisses* — no, teraz to była w autentycznym szoku! Wiejska sprzedawczyni czytająca Joyce’a? Chciała ją wypytać o Marię, poszukać na zielarkę jakichś haków, w końcu kto jest lepszym źródłem plotek i informacji niż tubylcza sklepikarka? Ale młoda, uśmiechająca się serdecznie dziewczyna nie była zwykłą autochtonką i Ewelina zwątpiła, czy jej sprytny plan się powiedzie.

— Jest tutaj coś godnego obejrzenia? — spytała, wybierając neutralny temat.

— A co panią interesuje? Jeżeli natura, mamy tutaj szlaki piesze i rowerowe. Do zwiedzania mogę zaproponować Muzeum Magurskie. A jeżeli lubi pani tragiczne historie i nie odstrasza ją cmentarze, proszę się przespacerować na górę, w lesie są groby z pierwszej wojny światowej...

I znowu sprzedawczyni zbiła warszawską dziennikarkę z pantafelku. Przestała słuchać, musiała zadać to pytanie:

— Czyta pani Joyce’a? I rozumie pani coś z tego?! Ja raz spróbowałam, z trudem przebrnęłam przez pierwsze strony i odpuściłam sobie. Proszę się nie obrazić, ale czy to dla pani jakaś kara, a może przegrała pani zakład?

Dziewczyna zaśmiała się głośno.

— Nie, prowadzę bloga czytelniczego. Co miesiąc wyznaczam sobie ambitną lekturę do przeczytania, a potem piszę recenzję. Tym razem padło na *Ulisses*.

„Oprawki ma niemodne, ale bloga prowadzi. Jak to pozory mogą mylić” — pomyślała Ewelina. Spędziła w sklepie godzinę, rozmawiając z wiejską ekspedientką o książkach. Nim się pożegnała, dla porządku zapytała też o zielarkę.

— Anioł, nie kobieta! — usłyszała. — Los jej nie rozpieszczał ani ludzie, a ona wciąż dobroć ma w sobie i cierpliwość, i nadzieję. Wspaniała kobieta. I naprawdę ludziom pomaga, nie zważając, że niektórzy nazywają ją czarownicą, znachorką, a nawet oszustką. Tak już jest, że jak komuś źle w życiu, to humor sobie poprawia kosztem innych i błotem ich obrzuca. Ale to błoto koniec końców najbardziej się do rzucającego przyklei.

Ewelina poczuła się nieswojo, jakby miała kieszenie pełne gliniastej ziemi. Kupiła jeszcze jedną butelkę oranżady, zapłaciła, pożegnała miłą, czytającą ekspedientkę-filozofkę i wyszła na zewnątrz. Słońce uderzyło w nią żarem i blaskiem. Widoczny w oddali las wabił przyjemnym cieniem, więc postanowiła się przejść. W końcu prócz spacerowania i zwiedzania nic innego nie miała do roboty. Pani Maria w szpitalu, a Andrzej i Marta? Czy już go sobie owinęła wokół palca? Tyle czasu wczoraj z nią spędził.

Wędrując przez wieś, rozglądała się wokół i uderzyło ją, jak wiele tu kontrastów. Ludzie żyli spokojnie, jakby w uśpieniu, ale i do ich świata wdzierала się technika. Na niektórych domach widziała talerze do odbioru telewizji satelitarnej, po drogach jeździło coraz więcej samochodów. Już wcześniej, gdy przejeżdżali przez Krempną, zauważyła nowe domki sezonowe i całoroczne. Zaczęła się moda na życie blisko natury, więc tutejsi młodzi ludzie sprzedawali za bezcen ojcowiznę i wyprowadzali się do miasta. Zostawali starsi oraz ci, którzy kochali wieś, a było ich coraz mniej. Słyszała od Nowakowej, że wraz z turystami pojawiły się pieniądze, owszem, ale także problemy. A to żmija ukąsiła niedoświadczonego wędrowca, który nadepnął na wygrzewającego się na kamieniu gada, a to pszczoły pożądliły pijanego turystę, który zakradł się nocą do prywatnej pasieki, bo — jak potem zeznawał — chciał spróbować smaku prawdziwego miodu.

Minęła Muzeum Przyrodnicze — okazały, przestronny budynek z dużymi szybami. Obiekt

ufundowany przez Unię Europejską miał przyciągać zwiedzających, ale nie cieszył się dużym zainteresowaniem.

Dostrzegła ścieżkę wiodącą na pagórek porośnięty rzadkim laskiem. Postanowiła się tam udać. Gdy wspięła się na szczyt, znalazła kawałek wolnej przestrzeni, coś w rodzaju naturalnej platformy widokowej, i po raz pierwszy od przyjazdu prawdziwie zachwyciła się panoramą Krempnej. Od lesistych, pagórkowatych terenów, poprzecinanych kwadratami pól i wstęgami dróg, tchnęło ciszą i spokojem. Mogłaby tu zostać. Boże! Pomyślała, że chyba się starzeje, skoro przedkłada krajobraz podkarpackiej wsi nad huczne imprezy ze znajomymi na Ibizie. To tam planowała pojechać na urlop. O dziwo, wcale nie żałowała, że pomysł nie wypalił. Nie tęskniła za pokręconymi znajomościami ani za balangami do rana. Czy naprawdę doskonale się na nich bawiła, czy tylko równie doskonale udawała? Od kilku dni nie telefonowała do nikogo ani nikt jej nie szukał. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle to porównuje. Wyprawa na zakupy do Paryża lub Londynu kontra piesza wędrówka do małego wiejskiego sklepiku? A jednak to tutaj poczuła się wolna, swobodna. Szkoda tylko, że nie miała z kim o tym porozmawiać, z kim podzielić się przemyśleniami. Jej myśli powędrowały ku Sławkowi.

Gdy Andrzej usiadł na krześle obok łóżka zielarki, serce zaczęło mu bić szybciej. Intuicja podpowiadała, że czeka go trudna rozmowa. Jeszcze się nie zaczęła, a już miał ochotę wyjść. Zawsze tak reagował na szpital, na ten specyficzny zapach przesiąkający wszystko, woń leków z domieszką ludzkiego moczu, potu i strachu. Ale nie mógł uciec. Skoro już usiadł, chciał się dowiedzieć, co takiego miała mu do powiedzenia ta stara kobieta, która prawdopodobnie domyślała się, po co przyjechali tu z Ewelina. O tym chciała porozmawiać? O tym, jak bardzo pobłądził?

W ciągu tych trzech dni zdążył się przekonać, jaką osobą jest Maria Obuch. Mógłby tu siedzieć miesiąc, rok i nie zmieniłby o niej zdania. Zobaczył w niej kobietę ciepłą, niezwykle inteligentną i dziwnie mu bliską. Od razu ją polubił. Wyczuwał istniejącą między nimi tajemniczą, silną więź, jakby kiedyś, w innym życiu łączył ich nierozzerwalny węzeł. Ale to jakiś absurd, sentymentalne brednie.

Poruszył się nerwowo. Z korytarza dolatywały stłumione odgłosy. Maria milczała, wpatrując się w niego z łagodnym uśmiechem.

— Słucham panią — powiedział cicho, unikając jej wzroku.

— Mogę ci mówić po imieniu? — zapytała.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Opowiedz mi coś o sobie, Jędrusiu...

Po imieniu nie znaczy drobiaza, jak do kogoś z rodziny. Jędrusiu? Czemu akurat w ten sposób? I czemu zabrzmiało to znajomo, choć nikt inny tak się do niego nie zwracał? Polubił Marię, miał wrażenie, jakby znali się od dawna, ale mimo wszystko była dla niego obcą kobietą. Nie miała prawa traktować go z taką niestosowną zażyłością! W Andrzeju wzbierała irytacja, której towarzyszył narastający niepokój. Znał siebie i czuł, że zaraz wybuchnie. Był cholerykiem, kiepsko radził sobie z emocjami. Spróbował przełknąć ślinę, ale w gardle mu zaschło. „Cholera, dlaczego tutaj nie ma wody?”. Nadal unikając patrzenia jej prosto w oczy, zaczął:

— No cóż, mam czterdzieści sześć lat, pochodzę z Warszawy, nazywam się Andrzej Sadowski, jestem prawnikiem z wykształcenia, dziennikarzem z wyboru... — zawahał się. — A właściwie, co pani chce o mnie wiedzieć?

— Jak wyglądało twoje dzieciństwo, Jędrusiu? — spytała, skubiąc nerwowo brzeg kołdry chudą, zylastą dłonią.

— Moje dzieciństwo? — powtórzył z nutą paniki w głosie.

— Jesteś adoptowany, prawda?

Skąd to wiedziała?! Nikt tutaj nie miał pojęcia o jego pochodzeniu, nawet Ewelina. No chyba że przed wyjazdem prześwieciła jego życia prywatne, w co szczerze wątpił. Widać plotki o jasnowidztwie Marii nie kłamały. Ale co ją to mogło obchodzić? Dlaczego włączyła z butami w jego życie? Z zemsty? Przecież to jakiś nonsens.

Andrzej nabrał głęboko powietrza i powoli wypuścił je z płuc.

— Tak, to prawda. Ale skąd pani o tym wie? Użyła pani „trzeciego oka”? — zakpił.

— Wiem, ponieważ patrzę sercem i wierzę, że ty również to czujesz — wyszeptwała wzruszonym głosem.

— Co mam czuć? — Wrażenie niepokoju nasiliło się.

— Po prostu wierzę, że wyczuwasz między nami więź, synku...

— Synku? Chyba coś się pani pomyliło! — rzucił nieco zbyt głośno. — Czy wezwać pielęgniarkę, żeby włączyła pani kroplówkę? — dodał łagodniejszym tonem, chcąc za wszelką cenę zmienić temat.

— Zdenerwowałam cię, przepraszam. Ale to dodaje mi pewności, że wiesz, o czym mówię. Masz znamię na lewej łopatce?

Andrzejowi na moment zapało dech. Skąd, do licha, o tym wiedziała?! Widziała go bez ubrania? Kiedy?!

— Jędrusiu, kochanie, pojedziesz teraz do mojego domu, w izbie, obok paprotki, stoi twoje zdjęcie z dzieciństwa, Marta ci je pokaże. Oddałam cię tym ludziom, bo nie miałam innego wyjścia, nie było warunków... Tak płakałam, tak bardzo płakałam... Ale oni obiecali, że dadzą ci wszystko, miłość, wykształcenie, prawdziwy dom — szeptała gorączkowo. — A ja przecież często nie miałam cię nawet czym nakarmić! Dlatego cię oddałam, z miłości, żebyś miał lepsze życie, uwierz mi. Kochałam cię, wciąż kocham, nigdy nie przestałam. Jesteś moim synkiem, moim Jędrusiem.

— Nie nazywaj mnie tak! Zabraniam ci! Jak pani śmie wmawiać mi takie rzeczy! — Zerwał się z krzesła, które upadło z hukiem na ziemię. Patrzył na nią z oburzeniem i wściekłością. Ale jej oczy... nie kłamały. Ona w to wierzyła. Sam też od jakiegoś czasu przeczuwał, że naprawdę mogłaby być... — To nieprawda! Nienawidzę cię! — wykrzyczał i wybiegł na korytarz. Nie oglądał się i nie słuchał wołającej za nim Marty. Biegł prosto przed siebie.

Z oczu płynęły mu łzy, ale z serca zsuwała się powoli jakaś niewidzialna obręcz. Nie czuł jej uścisku aż do tej chwili, kiedy zaczęła znikać. Jak mantrę obracał w myślach jedno zdanie: „Jesteś moim synkiem, moim Jędrusiem”.

W dzieciństwie został adoptowany, wiedział o tym, ale nie miał pojęcia, kim byli jego biologiczni rodzice. W swojej przybranej rodzinie zaznał wiele dobra i miłości, matka i ojciec nie szczędzili funduszy na najlepsze szkoły dla niego, ale nigdy nie rozmawiali o jego pochodzeniu, to był temat tabu. Gdyby się dało, rodzice przypuszczalnie w ogóle nie powiedzieliby mu o adopcji, ale byli dość bystrzy, by wiedzieć, że pewnych rzeczy ukryć się nie da. Chłopiec o ciemnych włosach i oczach nie mógł być rodzonym synem jasnowłosych, niebieskookich małżonków. Przyznali, że choć go nie spłodzili, jest ich dzieckiem wybranym sercem. Ledwie go zobaczyli, a już pokochali. I na tym koniec. Więcej szczegółów nie chcieli zdradzić. Póki żyli, nie naciskał, widać mieli swoje powody, żeby milczeć. Ale kiedy zginęli w wypadku samochodowym, wziął na spytki bliższą i dalszą rodzinę. Jedna z ciotek wygadała się, że pewnego lata jego rodzice pojechali na wakacje we dwójkę, a wrócili we troje, z małym chłopczykiem.

— Przejeżdżali obok jakiegoś domu, zobaczyli cię z auta, w brudnej koszulinie, usmarkanego, bawiłeś się patykami w błocie. Po prostu musieli się zatrzymać. Od dawna myśleli o adopcji i gdy cię ujrzeli, od razu wiedzieli, że to ty! Jak w filmie! A ty się ich wcale nie bałeś. Pozwoliłeś się wziąć na rękę, zjadłeś batona. Tak musiało być, Bóg tak zdecydował — opowiadała ciotka. — Nie zawsze ta, co urodzi, musi wychowywać. Czasem nie chce, czasem nie może.

Tak podobno było w tym przypadku, choć przy okazji świetnie zatarto ślady. Szukał jakichkolwiek danych na temat swoich biologicznych rodziców, jakiegoś nazwiska, adresu, choćby nazwy miasta — i niczego nie znalazł. A potrafił być naprawdę dociekliwy i nieustępliwy. Musiał jednak przyznać, że lepiej trafić nie mógł. Po śmierci przybranych rodziców odziedziczył duży dom na Pradze i udział w firmie consultingowej, które odsprzedał z dużym zyskiem. Mógłby nie pracować w ogóle i... umrzeć z nudów. Zatrudnił się w renomowanym wydawnictwie jako radca prawny, świetnie zarabiał, kobiety o niego zabiegały, ale ciągle coś było nie tak.

Zaczął chodzić do wróżbitek, jasnowidzów, różdżkarzy, masażyстів oraz do różnej maści

psychologów i terapeutów, ale dopiero wróżka Samanta podała mu konkretną receptę na szczęście. Powiedziała, że musi zmienić pracę, zacząć nowe życie. Mówiła, że widzi w kartach, jak ktoś umiera, ale nie powiedziała kto. Uspokajała, że nie powinien bać się zmian, że musi je tylko zaakceptować, a w nagrodę znajdzie rozwiązanie zagadek z przeszłości. Dlatego gdy nieoczekiwanie zwrócili się do niego „łowcy głów”, nie wahał się. Przyjął ofertę pracy jako dziennikarz śledczy w jednej z większych gazet w kraju. Nowa posada, nowe życie, jak w przepowiedni. Czuł, że robi dobrze, bo w poprzedniej pracy tylko się wypalał.

Chciała już wracać, kiedy zobaczyła między drzewami zarys jakichś monumentów. Zaciekawiona weszła głębiej w las i aż westchnęła z wrażenia. Trafiła na stary powojenny cmentarz, o którym wspomniała sprzedawczyni, a może chodziło o zbiorową mogiłę? Musi to sprawdzić w internecie po powrocie do domu. Tablica była starta, litery trudne do odszyfrowania. Przyjrzała się bliżej tekstowi, ale został napisany w dziwnym języku, którego nie знаła. Przez głowę przebiegła jej myśl, że może to cmentarz żydowski, ale nie miała co do tego pewności. Wiedziała od Nowakowej, że w okolicach znajdują się zbiorowe mogiły noworodków, dzieci oraz kobiet mordowanych w czasie okupacji przez Niemców. Wrzucano ich, czasem jeszcze w półżywych, do wspólnego rowu, który zasypywano gaszonym wapnem. Wydało jej się, że niemal słyszy jęki unoszące się nad tym miejscem. Wzdrygnęła się, ale dziennikarska natura nie pozwoliła jej się cofnąć. Szybko przezwyciężyła lęk. W samym lesie było dziwnie cicho, nawet ptaki delikatniej nuciły swoje melodie, jakby nie chciały zakłócać radosnymi trelami powagi leśnej nekropolii. Ewelinę otaczały drzewa i soczysta zieleń. Po raz pierwszy w życiu dotknęła leśnego runa, wzięła do ręki garść opadłych liści i zbliżyła je do nosa, wdychając ziemisty, wilgotny zapach.

Skoncentrowała się na mogile i przestała obserwować otoczenie. Nie miała pojęcia, że czyjeś oczy pilnie ją śledzą. Opuściła cmentarz i powoli weszła w głąb lasu, aby po paru chwilach stracić z oczu punkt orientacyjny, jakim był grobowiec. Nie przejęła się tym. Wierzyła, że sobie poradzi i będzie wiedziała, jak wrócić. Do tej pory nigdy nigdzie się nie zgubiła, nawet w obcych zagranicznych miastach. Teraz przyglądała się drzewom, kontemplowała naturę, na każdym kroku odkrywała nowe, nieznane sobie wcześniej rośliny, zachwycała się kwiatami. Przypuszczała, że większość tutejszych gatunków była pod ochroną. Poczula się tak, jakby odnalazła coś, co przez całe życie znajdowało się w zasięgu ręki, ale nie umiała tego dostrzec.

Straciła poczucie czasu, a zegarka ze sobą nie zabrała. Nie zdawała sobie sprawy, że w lesie czas płynie wolniej, ale ciemność zapada szybciej. Dopiero gdy otoczyła ją szarówka, zrozumiała, że popełniła duży błąd, zapuszczając się sama w głąb nieznanego gąszczu. Zawróciła, usiłując trafić w okolice cmentarza, ale teraz wszystkie drzewa wyglądały tak samo i miała wrażenie, że kręci się w kółko. Strach przyspieszył bicie jej serca. Panika zaczęła jeżyć włosy na całym ciele.

I wtedy jakiś jasny kształt mignął między drzewami — sylwetka człowieka.

— Ratunku! — zawołała, ale zawtórowało jej tylko echo. Czyżby się pomyliła? Ale jeśli to nie był człowiek, to co?

Teraz była już pewna, że się zgubiła. Las to nie miasto. Gorączkowo zastanawiała się, co należy zrobić w takiej sytuacji. Pomyślała, że przecież w końcu zauważą jej nieobecność, a wtedy zaczną poszukiwania.

Zapadał zmierzch. Temperatura wyraźnie się obniżyła, a ptaki kompletnie ucichły. Każdy trzask gałęzi budził w niej nadzieję i strach jednocześnie. Bo może nadchodziła pomoc, a może zbliżał się wilk lub niedźwiedź. Parokrotnie upadła, z kolana ciekła jej strużka krwi. Poczula silne pragnienie — dawno już wypita oranżadę, którą kupiła w sklepiku. Znowu trzasnęła gałąź! Prawie przestała oddychać, zamierając w bezruchu. W ułamku sekundy jej żyły nabrzmiały, a słuch usiłował wyłapać najcichsze dźwięki.

Usłyszała czyjś oddech. Była gotowa przysiąc, że nieopodal stał człowiek, mężczyzna. Instynkt podpowiadał jej, że nie jest to człowiek przyjaźnie nastawiony. Chęć przetrwania sprawiła, że nagle

skoczyła przed siebie. Biegła, potykając się w ciemności o korzenie, obijając o pnie i gałęzie. Parokrotnie upadała, ale zaraz podrywała się na nogi i pędziła dalej. Wiedziała jedno: musi uciekać!

Prawie czuła oddech prześladowcy na karku. Była pewna, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Zaczęła się gra w chowanego w ciemnym lesie. Ewelina pomyślała o Sławku. Wspomniała go ciepło, wysyłając mu mentalnie sygnał SOS. Zdecydowanie bardziej wolałaby być teraz przy nim niż w tym strasznym lesie, na dodatek z szaleńcem za plecami. Gnając na ślepo, wpadła w jakiś lej, może rów, nie widziała dokładnie po ciemku. Upadając, uderzyła się w głowę, niemal tracąc przytomność. W oczach jej się zaćmiło. Przeszywający ból lewej nogi nie pomagał zachować spokoju. Spojrzała w górę, wytężając wzrok. Wydawało jej się, że widzi postać mężczyzny trzymającego w dłoni jakiś pręt lub kij. Ale może to tylko złudzenie? Może strach podpowiadał najgorsze scenariusze? Głowa jej pękała, a noga rwała pulsującym bólem. Pragnęła snu, odpoczynku.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że umiera. A miała przecież tyle planów, tyle niespełnionych marzeń. To będzie dziwna śmierć, tajemnicza. Bała się. Nie chciała umierać, zwłaszcza w samotności lub w obecności milczącego oprawcy. Dlaczego ją śledził, gonił, czego od niej chciał? To już nieważne, była taka zmęczona...

Powoli urywał się jej kontakt z rzeczywistością. Stawała się coraz bardziej senna i obojętna na to, co się stanie. Po chwili straciła przytomność.

Atmosfera w aucie była trudna do zniesienia. Marta niepokoiła się coraz bardziej. Co takiego się stało? O czym rozmawiał z Marią, że aż tak wytrąciło go to z równowagi? W czasie ponad półgodzinnej jazdy nie odezwał się ani razu. Ona też milczała z obawy, że jedno słowo sprowokuje wybuch, a tego chciała uniknąć. Widziała, że płakał. Zastanawiała się nawet, czy powinni wracać razem. Może lepiej by było, gdyby został sam, doszedł do ładu z emocjami bez krępujących świadków. Ale jak wtedy wróciłaby do domu Marii?

Było dopiero wczesne popołudnie, a ona chciała, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Marzyła o drzemce, była wyczerpana i głodna. Minęli dom Nowakowej, kierując się w stronę chaty Marii. Marta odliczała sekundy do momentu, gdy będzie mogła wysiąść.

— Jeżeli pozwolisz, wejdę razem z tobą — odezwał się w końcu Andrzej. — Muszę coś sprawdzić.

Marta nie zaprotestowała. Mimo zmęczenia zaciekawilo ją, co takiego Andrzej może tu szukać. Wciąż też powracało pytanie, o czym rozmawiał z Marią.

— Przepraszam cię, nie jesteś niczemu winna...

— Rozumiem — odpowiedziała, choć tak naprawdę nie miała pojęcia, o czym mówi.

Mężczyzna gwałtownie zatrzymał samochód, niemal wyszarpując kluczyki ze stacyjki. Ostro zaciągnięty ręczny hamulec aż zgrzytnął. Marta darowała sobie komentarz. Znała go krótko, ale wiedziała, co robić, by nie potęgować nerwowej atmosfery, mąż dobrze ją wytresował. Nie odzywać się bez pytania, schodzić z drogi, unikać patrzenia w oczy. Z czarnej torebki wygrzebała prosty metalowy klucz, nieco zardzewiały. Widać Maria rzadko go używała, zazwyczaj drzwi jej chaty zostawały otwarte. Gdy weszli do środka, w ich nozdrza wdarł się zapach stęchlizny, łagodzony aromatem mieszanek ziołowych.

— Gdzie jest sypialnia Marii?

Wskazała drzwi na lewo.

Andrzej, nie czekając na pozwolenie, wszedł do izdebki. Niewiele tu było sprzętów. Łóżko, na którym leżała pierzyna nakryta jakąś starą narzutą, a na niej jaśki oraz lalka bez jednego oka, mały okrągły stolik pośrodku, na ścianach obrazy ze świętymi. Na stole stała duża paprotka, a obok niej dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawiało młodego mężczyznę w stroju wojskowym, a drugie — Marię z dzieckiem na ręku, obok niej ten sam mężczyzna, ale w garniturze. Andrzej sięgnął po rodzinną fotografię. Gdy jej dotknął, z oczu popłynęły mu łzy. Zrozumiał, że Maria nie zmyślała, nic jej się nie uroiło w starczej głowie. Powiedziała prawdę, której on nie chciał przyjąć do wiadomości, choć w głębi

serca czuł, że nie kłamie.

Obrócił się i spojrział na Martę stojącą bezradnie w drzwiach i nierozumiejącą nic z obserwowanej sceny.

— Marto... — Wyciągnął do niej rękę.

Zbliżyła się parę kroków i zerknęła na trzymaną przez niego fotografię.

— Zobacz, to ja, a to moja mama i ojciec. — Andrzej głaskał zdjęcie opuszkami palców, a po jego twarzy płynęły łzy. — Czy mogłabyś mnie teraz objąć? Bardzo tego potrzebuję...

Wtuliła się w jego gorące, wstrząsane spazmami szlochu ciało.

— Płacz, płacz — szeptała.

W nagłym przyptywie śmiałości pocałował ją delikatnie w usta, po czym — jakby przestraszony swoją reakcją — wybiegł, zostawiając ją oszołomioną na środku izby.

Nie wiedziała, co myśleć. Przecież miał piękną żonę... Czy powinna go gonić? I czy dobrze usłyszała — był synem Marii? Może właśnie to kobieta wyznała mu podczas rozmowy w szpitalu? Ale dlaczego go porzuciła i jakim cudem trafił z powrotem do chaty matki, której najwyraźniej nie znał?

Za dużo pytań bez odpowiedzi. Poza tym jak mógł powiedzieć, że ją kocha, a potem tak zwyczajnie sobie pójść?! Poczula narastającą frustrację. Już lepiej było, kiedy milczał. Nie żałowała, że przyjechała do Marii, tak widocznie miało być. Choć ta sytuacja zaczęła ją nieco przerastać — za dużo, za szybko się działo. Andrzej od pierwszej chwili wprowadził zamęt do jej serca. Nie miała prawa go oceniać, ale ona sama też coś do niego poczuła, od pierwszego wejrzenia — i co z tego? Nie pozwalała sobie na romantyczne mrzonki. Miał przecież żonę. Nie weźmie na swoje sumienie rozbicia czyjegós małżeństwa, nawet z problemami, i to tuż po tym, jak jej własne się rozpadło. Zresztą Andrzej mógł mówić pod wpływem chwili, ochłonie, otrze łzy i zawstydzi się niewczesnych wyznań. Wciąż czuła ciepło jego ramion i mocne bicie jego serca. To było prawdziwe, ale ta chwila już minęła. Nigdy nie będą razem, nie jest im to pisane.

Raz jeszcze spojrzała na zdjęcie. Miało chyba z pół wieku. Rozpoznała na nim Marię jako bardzo młodą kobietę. Fotografii zrobiono na tle jakiegoś kościółka, być może w trakcie chrztu. Andrzej synem Marii? I spotkali się po tylu latach? Czy to naprawdę możliwe?

Poszła do swojej izby i położyła się, żeby trochę odpocząć. Nie zamierzała zasypiać, a nuż Andrzej wróci, ale sen przyszedł sam, nie wiedzieć kiedy...

Sławek jadł kolację u siebie, czytając gazetę. Od rana nie miał czasu, żeby przejrzeć prasę. Po posiłku wstąpił do kuchni i zapytał matkę, gdzie podziali się goście.

— No wisz, łon pojechał do Jasła, do babuchny, z tą młodą babką, a ta Ewelina gdzieś poszła. Nie wiem gdzie, na obiad nie wróciła. — Nowakowa nie wyglądała na przejętą. — Wybierasz się dziś na disco, Sławuś? — zapytała.

— Muszę odpocząć, mam, więc raczej nie — odpowiedział, zastanawiając się, co mogło się stać z Eweliną. Przeszawał powoli udawać, że jest mu obojętna. Nigdy dotąd żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Ledwie ją poznał, a już za nią tęsknił. Do tej pory podchodził do kobiet z dystansem, teraz było inaczej. Tylko dlaczego jeszcze nie wróciła? Niepokoił się. Przecież umówili się na grę w karty.

By zająć czymś myśli, zaproponował matce partyjkę w tysiąca. Jednak nie mógł się skupić na grze. Wciąż zerkał w stronę drzwi wejściowych, nasłuchując kroków. Po godzinie błysnęła mu myśl, że może Ewelina wybrała się na dyskotekę. A zdawał sobie sprawę, że tutejsi mężczyźni nie grzeszą uprzejmością w stosunku do kobiet.

— Mamo, jednak pójdę na ten festyn. Może wypiję jakieś piwo z kumplami.

— Dobrze, synku, tylko ciepło się ubierz, noce potrafią być chłodne — pouczyła go, jak zwykle zapominając, że od dawna nie jest już małym chłopcem.

Za ogrodzeniem, już poza zasięgiem wzroku matki, zapalił papierosa. Wczoraj kupił paczkę. Palił rzadko, ale ostatnio tyle się działo... No a teraz cholernie się martwił o tę kobietę, której prawie nie znał.

Jednocześnie marzył o niej, chociaż nie powinien. Była mężatką, jej związek przechodził kryzys, ale ona chciała go ratować. I ten jej facet... Fajny nawet, tylko jakiś skryty. Obserwując ich, odnosił wrażenie, że są sobie obcy, jakby dopiero co się poznali, ale odrzucał te absurdalne przypuszczenia. Przecież musieli być razem od dawna, po prostu oddalili się od siebie, stąd ten chłód.

Usłyszał muzykę płynącą z placu przy urzędzie gminy. Większość ludzi, których mijał, była już na rauszu. Skąpo ubrane dziewczyny stały w grupkach, śmiejąc się głośno i zerkając na podpitych albo kompletnie pijanych facetów. Na scenie produkował się zespół ze Słowacji, podobno jakaś gwiazda. Sławek nigdy o nich nie słyszał. Posługiwali się dziwną angielszczyzną, ale tutaj nikomu to nie przeszkadzało. Nawet gdyby śpiewali po chińsku, i tak mało kto by się zorientował, że to nie angielski. Muzycy wyginali się w przód i w tył jak w transie, a wytatuowany wokalista usiłował trafić w melodię *Believe* Cher. Tłum mu wtórował, część gwizdała, a część stała, gapiąc się obojętnie. Starsi przyszli tu chyba wyłącznie po to, by obserwować zachowania młodszych, a potem mieć o czym plotkować, jak to ten się upił, a tamta się puściła. Sławka brzydziła coraz powszechniejsza na takich zabawach rozwiąłość. Nie potrafił zrozumieć, jak można iść do łóżka bez miłości. A nawet nie do łóżka, ale w krzaki, gdzie facet zrobił swoje, po czym zwykle zostawiał dziewczynę na pastwę losu i kolejnego samca. Często zaliczało ją kilku partnerów w ciągu jednej nocy.

— Po Ewelinie ani śladu — stwierdził, rozglądając się. Poczul ulgę i niepokój zarazem. Gdzie ona się podziała?

Dochodziła dwudziesta druga, postanowił więc wrócić do domu. Dwie dziewczyny stojące nieopodal piły piwo i patrzyły na niego wyzywająco. Sławek odwrócił wzrok, czując większy wstręt niż zwykle. Przyspieszył kroku. Może Ewelina już wróciła i czeka na niego, by zagrał w te obiecane karty. Niestety, w domu nie paliły się żadne światła. Wszedł cicho i skierował się do kuchni. Postanowił jeszcze zaparzyć sobie herbatę. To był jego rytuał od lat. Nie musiał pić herbaty, ale musiał mieć ją w nocy przy łóżku. Inaczej nie mógł zasnąć.

Kiedy wlewał wrzątek do kubka, w drzwiach pojawił się Andrzej. „Chyba coś się stało” — pomyślał Sławek, spoglądając na zdenerwowanego mężczyznę. Mimo słabego światła zauważył, że płakał. Pokłócił się z żoną?

— Gdzie ona jest!? U siebie!? — wrzasnął Andrzej. Sławek poczuł woń alkoholu.

— Ciszej, matka śpi — upomniał go spokojnie Sławek. — Czy pan nie jest czasem pijany?

— Owszem, piłem. Kupiłem ćwiartkę w sklepie, choć nie lubię wódki, wypilem w aucie, ale nadal mnie nosiło, więc przeszedłem się po okolicy. Też nie pomogło.

— Coś się stało?

— Niby ty też nic nie wiesz? Zresztą, skąd miałbyś wiedzieć... — Zreflektował się. — Tak czy siak, koniec tego cyrku. Wyjeżdżamy.

Wbiegł na górę i zaczął walić w drzwi pokoju Eweliny, zza których nie dobiegał żaden szmer. To go nie powstrzymało.

— Wstawaj! Wyjeżdżamy! A jak nie, to wyjeżdżam sam. Wybieraj!

Darł się tak, że umarłego by obudził. Nowakową z łóżka też wyciągnął.

— Co się stało? Uspokój się pan, bo policję wezwiemy! — zagroziła. — Co robisz, chłopie? Po pijaku auto chcesz prowadzić? Oszalałeś?! Jak chcesz, ponie, robić hałas, to idź se do lasu!

— Ewelina! Otwórz albo wyjadę sam, ostrzegam cię! Boże! — Andrzej nieoczekiwanie zaszlochał. Po chwili uspokoił się, otarł oczy i nieco trzeźwiejszym wzrokiem spojrzął na Nowakową.

— Nie ma jej? Gdzieś poszła?

— Wyszła przed obiadem i wciąż jej ni mo. Na festynie jej nie spotkałeś? — zwróciła się do syna.

— Nie, nie widziałem jej, ale późno przyszedłem, może się znudziła i poszła się przejść.

Ustalili, że wyszła z domu przed trzynastą, więc minęło już wiele godzin. Zbyt wiele... Naraz dotarło od nich, że coś musiało się stać.

Andrzej wstał, zataczając się bardziej ze zmęczenia i wrażeń niż z powodu nadmiaru alkoholu. Sławek czujnie złapał go, chroniąc przed upadkiem.

— Bardzo państwa przepraszam za ten kłopot, ale byłem u Marii i tam... A teraz jeszcze Ewelina... Mogłem zabrać ją ze sobą. Co powie szef, jeżeli coś jej się stanie?

Nowakowa z synem spojrzeli na siebie zdziwieni. Szef? Biedaczek bredzi ze zmartwienia.

— Proszę, niech pan to wypije. — Sławek podał mu kubek świeżo zaparzonej herbaty. Andrzej wypił napor jednym haustem.

— Czy mogę poprosić o kawę? — zapytał. — Przepraszam, że tak zatruwam państwu życie, ale wygląda na to, że Ewelina się zgubiła. Chryste, ja muszę na policję! — Zerwał się z krzesła.

— Spokojnie, pójdziemy razem. Zaprowadzę pana i zaczniemy poszukiwania.

— Dziękuję. Mam na imię Andrzej, żaden tam ze mnie pan. — Wyciągnął dłoń.

— Sławek. — Gospodarz odwzajemnił silny uścisk dłoni.

We trójkę usiedli przy stole. Nowakowa zaparzyła dla wszystkich mocnej kawy. Plan był taki: mężczyźni pójdą na policję, a Nowakowa zostanie w domu i w razie powrotu Eweliny zawiadomi ich telefonicznie. Andrzej przekazał kobiecie telefon satelitarny, długo tłumacząc, jak się go używa. Nowakowa patrzyła na aparat, w milczeniu kiwając głową i marszcząc brwi. Sławek był przekonany, że nie zrozumiała z instrukcji ani słowa.

Za zakrętem zobaczyli patrol policyjny. Pilnowali festynu. Sławek przedstawił sytuację dwóm zaspanym funkcjonariuszom. Obaj pokręcili głowami, nie zamierzając nawet kiwnąć palcem. Zasłaniaли się przepisami — musiała minąć doba od zaginięcia, żeby mogli zacząć szukać. Żadne argumenty do nich nie trafiały. Dopiero gdy dowiedzieli się, że Andrzej i zaginiona są dziennikarzami, którzy nie omieszkają opisać, jak to podkarpacka policja wspiera turystów w potrzebie — nagle zmienili taktykę i wyrazili chęć pomocy.

Sławek słuchał i patrzył na Andrzeja w osłupieniu. Dziennikarze? Przyjechali tu prywatnie czy służbowo? Jeżeli nie mieli niczego do ukrycia, dlaczego nie wspomnieli, czym się zajmują?

— Potem ci wszystko wytłumaczę, przysięgam — zarzekął się Andrzej. — Ale teraz szukajmy jej, błagam! — Zacisnął pięści w geście bezsilności.

— Jasne — odrzekł Sławek. Dziennikarka czy nie, martwił się jej zniknięciem coraz bardziej.

Jeden z policjantów podsunął pomysł, by ogłosić ze sceny, że zaginęła kobieta, i podać jej rysopis. A nuż ktoś z bawiącego się na festynie tłumu widział ją i zapamiętał? Upojenie zebranych rodziło obawy co do stanu ich pamięci, ale nie szkodziło spróbować. Zwłaszcza że policjanci zaoferowali się eskortować ich pod samą scenę. Obecność mundurowych powinna ułatwić sprawę. Nic bardziej mylnego...

Po drodze mijali ludzi zbitych w grupki, które nagle pojawiały się w snopie światła policyjnego radiowozu. Tubylcy, wyłowieni z ciemności i oślepieni reflektorami, spoglądali ponuro, niechętnie ustępując na bok. Pijani zataczali się, a na widok przejeżdżającego patrolu rzucali przekleństwami.

Policjanci nie reagowali, a w radiowozie nikt się nie odzywał. Andrzej miał na dzisiaj dosyć kłopotów. Najpierw ta historia z Marią, a teraz jeszcze Ewelina. Gdzie ona jest? Znał ją krótko, ale domyślał się, że potrafi być wścibska, co wynikało z charakteru jej pracy. Czyżby zobaczyła coś, czego nie powinna? Może weszła komuś w paradę, wmieszała się w jakąś miejscową aferę?

Samochód podjechał blisko estrady, co wywołało kolejną falę zamieszania i niezadowolenia. Ludzie zaczęli się tłoczyć, kłąć, a chwilę później pojawiła się główna organizatorka z przerażoną miną. Policjanci uspokoili ją, że nikt nie naruszył prawa, a przynajmniej im nic o tym nie wiadomo, muszą natomiast nadać pilny komunikat o zaginięciu kobiety. Organizatorka nie wyglądała na zachwyconą przerywaniem zabawy, ale nie odważyła się odmówić. Czy to ze względu na obecność policji, czy — nieco zionącej alkoholem prasy.

Gdy wyszła na podest, aby ogłosić informację przez źle wyskalowany mikrofon, na jej twarzy widniał już sztuczny uśmiech.

— Proszę państwa, zaginęła młoda kobieta. Ubrana była...

Śmiechy i rozmowy przycichły. Andrzej przypatrywał się twarzom ludzi, którzy mniej lub bardziej uważnie słuchali słów organizatorki. Szukał wśród tłumu jakiegoś znaku, jakiegoś punktu zaczepienia. Kątem oka zauważył, że Sławek gdzieś zniknął, ale nie przejął się tym. Pewnie spotkał

znajomych i odszedł na chwilę. Może wypyta ich o Ewelinę.

— Jeżeli ktoś z państwa miał z nią styczność albo posiada jakieś informacje na jej temat, to bardzo proszę o podejście do sceny, do tego — wskazała Andrzeja — wysokiego pana, jej męża, albo do policjantów. Dziękuję za cierpliwość. A teraz już wracamy do zabawy! — Kobieta zakończyła swoją przemowę olśniewającym uśmiechem.

Do Andrzeja podeszło parę osób, które widziały Ewelinę albo tak im się wydawało. Najwięcej konkretnych informacji podała Dorota, młoda sprzedawczyni z tutejszego sklepu spożywczego. Wspomniała, że tego dnia długo rozmawiała z „tą ładną, sympatyczną turystką”.

— O książkach gadałyśmy i o ciekawych miejscach w okolicy, godnych obejrzenia. Zachęcałam ją, żeby na groby się wybrała. Wokół tylko pola i drzewa, ale głębiej w lesie znajduje się stary cmentarz z czasów, gdy mieszkało tu sporo rodzin żydowskich.

— Więc twierdzi pani, że Ewelina poszła na ten właśnie cmentarz? — upewnił się Andrzej.

— Nie mam absolutnej pewności, ale jeżeli gdzieś się mogła zgubić, to chyba tam...

— Dziękujemy pani, to bardzo przydatna informacja. — Do rozmowy wtrącił się jeden z policjantów. Drugi poszedł do radiowozu, wyciągnął CB-radio i nadał komunikat. Po chwili wrócił, oświadczając, że centrala nie zezwała na żadne nocne eskapady policjantów, a ewentualne poszukiwania podjęte zostaną dopiero po upływie doby, więc za kilkanaście godzin.

Andrzej spojrział na scenę, gdzie grupa młodych ludzi śpiewała polskie przeboje. Nagle do głowy przyszła mu szalona myśl, podyktowana desperacją. Bojąc się, że stchórzy, w jednej chwili znalazł się na estradzie i wyrwał mikrofon wokaliście.

Ludzie przestali tańczyć. Patrzyli z zaciekawieniem, jak rozwinie się sytuacja. Andrzej odchrząknął, wziął oddech i zaczął zdecydowanym głosem:

— Nazywam się Andrzej Sadowski, jestem dziennikarzem śledczym i przyjechałem tutaj z moją partnerką Ewelina, także dziennikarką, aby coś sprawdzić. I nie miało to nic wspólnego z kryzysem w naszym rzekomym małżeństwie. To była tylko przykrywka.

— Znaczy to nie twoja żona? — krzyknął ktoś z tłumu, by się upewnić.

— Nie, dosyć kłamstw. Tak naprawdę przyjechaliśmy tutaj, aby odkryć i upublicznić informację, kim faktycznie jest Maria Obuch. W zasadzie prawda nie miała dla nas znaczenia. Z góry założyliśmy, że jest oszustką, którą zdemaskujemy. Udawaliśmy małżeństwo, by zdobyć wasze zaufanie i zrobić swoje. Przybyliśmy tutaj, żeby demaskować i tropić, a znaleźliśmy dobroć, miłość i... rodzinę. — Andrzej ze wzruszenia zająknął się. — Rodzinę, której kompletnie się nie spodziewałem, i miłość, na którą nie liczyłem. Marta nie przyjechała tu, by niszczyć, zjawiła się ze złamanym sercem, ale z otwartą duszą, chciała podziękować Marii za ocalenie życia, a ja... — urwał i pokręcił głową.

Zapadła kompletna cisza, nawet najbardziej pijani słuchali z zainteresowaniem.

— Ale nie o tym chciałem mówić. — Otrząsnął się. — Mam powody przypuszczać, że moja partnerka została porwana. Ewelina tropiła wiele spraw, wykryła wiele afer, nasz zawód bywa niebezpieczny. Dziennikarze śledczy narażeni są nawet na utratę życia. Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, czy została porwana, ale muszę ją odnaleźć. Pomóżcie mi, proszę. Nie chcę czuć się winny jej, jeśli coś by jej się stało. A wy, ludzie...

— A co my mamy z tym wspólnego, chłopie? Jo jej nawet nie znam! — krzyknął ktoś z tłumu, a większość tubylców głośno przytaknęła. — Jesteście tu obcy! Łżecie! Niby dlaczego mamy wam pomagać, po ćmoku łązić, szukając, czego nie zgubiliśmy?

— Wiem, że nie mam prawa od was tego wymagać, więc tylko proszę, jako wasz krajan. Bo ja nie jestem obcy. Wczoraj dowiedziałem się, że pochodzę stąd, moją matką jest Maria Obuch.

Słuchający zareagowali głośnym niedowierzaniem. Raz skłamał, może znowu łąć! Kto tam miastowych zrozumie? Maria — matką takiego paniczka ze stolicy? Albo oszust, albo drań. Bo tylko drań pozwoliłby własnej matce w takiej nędzy żyć! Po co takiemu pomagać?

— Ale ja nie wiedziałem, że Maria jest moją matką! — próbował się tłumaczyć Andrzej. —

Oddała mnie do adopcji wiele lat temu. Chciała, bym miał lepsze życie niż ona. — Umilkł. Po co o tym mówił i aż tak się obnażał przed tymi ludźmi? Prawie nikt go nie słuchał. Mieszkańcy rozmawiali między sobą coraz głośniej. Andrzej stracił ich uwagę i resztki zaufania, nie wiedział, co robić. Czuł się zmęczony, sfrustrowany i bezsilny.

Ktoś podszedł do niego z boku. Mężczyzna obrócił się i zobaczył młodą sprzedawczynię ze sklepu. Uśmiechnęła się i gestem dała znać, że chce wziąć mikrofon. Nie bardzo wierzył, że to coś da, ale sam nie miał lepszego pomysłu.

— Słuchajcie! — zaczęła Dorota. — Znacie mnie od lat, przychodźcie do mnie codziennie. Do sklepiku przychodzą też wasze dzieci, rodzice, znajomi, sąsiedzi. Udręczone matki, zdradzone żony, głodne maluchy, wpadające w nałóg nastolatki. Nawet nie wiecie, ile tajemnic zostaje w moim sklepie, bo klienci nie tylko po zakupy mnie odwiedzają. Lubicie pogadać, pożalić się, pozłościć. Robię w sklepie na dwóch etatach: sprzedawczyni i psychologa. W każdym razie czasami takie odnoszę wrażenie. I czy ja kiedyś odmówiłam komuś pomocy, kiedy był w prawdziwej potrzebie? Nie. Jak często bierzecie „na krechę”, bo nie starcza do pierwszego? Za to bez wahania odmawiam sprzedaży wódki, gdy wiem, że w domu dzieci płaczą. Czy nie tak, chłopcy? A wiecie, jak często daję waszym kobietom ziemniaki czy kaszę za darmo, żeby miały co do garnka włożyć? Pewnie wolicie nie wiedzieć. Ale nie w tym rzecz... Chodzi o to, że jesteśmy tu jak rodzina, a ten pan, nasz krajan, jak się okazuje, potrzebuje naszej pomocy. Co wy na to?

Tłum słuchał w milczeniu, gdzieniegdzie dało się słyszeć przyciszone szmery aprobaty.

— Naprawdę będziemy się dalej bawili, jakby nigdy nic, udając, że problem zaginionej turystki nie istnieje? A jeżeli jutro rano znajdą ją nieżywą, bo umrze z chłodu, strachu i wycieńczenia, albo jeśli, nie daj Boże, rzeczywiście ktoś ją porwał?! Co wtedy powiemy? Ja mówię teraz głośne NIE. Nie zgadzam się na taką znieczulicę. Idę jej szukać, a wy? Znam was. Nie wierzę, że możecie się dobrze bawić, gdy gdzieś tam — wskazała palcem na tonący w mroku las — błąka się zaginiona kobieta. Jest chłodno i ciemno. Ona nie zna tych terenów. A gdyby to była wasza siostra, sąsiadka, dziewczyna, córka? Też nic byście nie zrobili?! — Popatrzyła wyzywająco na tłum. Część osób spuściła oczy, część wycofywała się chyłkiem. Nie uśmiechała im się akcja poszukiwawcza po nocy.

— Tak, uciekajcie... — zakpiła Dorota. — Cieszcie się, że nikt z waszych bliskich nie zaginął. Udawajcie twardzieli, których nic nie wzrusza. Ciekawe, czy jutro będziecie sobie potrafili spojrzeć w oczy, gdy znajdą ją martwą! Wtedy będzie za późno, żaden cud nie pomoże. Nawet pani Marii. Właśnie, pani Maria! Ten człowiek — wskazała na Andrzeja — i jego przyjaciółka mogą być wam obojętni. Ale pani Maria jest jedną z nas. Zróbmy to dla niej. Pokażmy jej, że potrafimy tak jak ona pomagać bezinteresownie, spontanicznie. Odwdzięczmy się za lata okazywanej dobroci. Przecież wszystkim nam pomagała, całe życie leczy nas i nasze dzieci. Nigdy za to nie brała pieniędzy, a co dostawała w zamian? Obmowę, plotki, wyzwiska, głupie żarty. Wyśmiewaliśmy ją, nazywaliśmy wariatką, ale jak pojawiał się problem, to zamiast do mądrych doktorów po kryjomu chodziliśmy do Marii, po rady i zioła. Pora za to podziękować, odplacić dobrem za dobro. Jeśli nie jej osobiście, bo nigdy tego nie oczekiwała, to pomóżmy jej synowi. Co z tego, że jego przyjaciółka to miastowa, obca, co z tego, że oboje nas okłamywali? A my to niby święci? Nigdy nie oszukujemy? Najważniejsze, że ten człowiek — złapała Andrzeja za ramię — miał odwagę i powiedział prawdę publicznie. Ilu z nas na to stać? Chowamy się za murami obojętności, cwaniactwa, uciekamy w picie, a wszystko po to, żeby zapomnieć o podłym świecie. Nie mamy roboty, nie mamy pieniędzy, ale ludzie... zrozumcie — mamy siebie! Udowodnijmy, że jesteśmy społecznością, a nie bandą nieudaczników, którym na niczym nie zależy. Mamy szansę zrobić coś dla tej kobiety, dla tego faceta i dla nas samych. Czy będziemy przez to lepsi? Tego nie wiem, ale jutro popatrzymy na siebie inaczej! Z dumą!

Dorota ciągle grzmiała ze sceny i udało jej się zatrzymać sporą część widzów. Tłoczyli się blisko, wpatrzeni w młodą sprzedawczynię jak zahipnotyzowani.

— Dlatego, ludzie, idźcie do domów, zabierzcie latarki, koce i za pół godziny ruszamy na poszukiwania. Nie marnujmy czasu, za pół godziny spotykamy się na krzyżówce. Pamiętajcie, siła jest we wspólnocie!

Zgromadzeni pospiesznie opuszczali teren festynu, niektórzy kiwali albo kręcili głowami, jakby sami się ze sobą spierali. Dorota spojrzała na Andrzeja, kwitując:

— Spokojnie, wróć. Znam ich od zawsze, to twarde łby, ciężko do nich dotrzeć, przedrzeć się przez opary alkoholu i zgorzknienia, ale pod twardą skorupą tkwią wrażliwe serca.

— Dziękuję, nie wiem, jak pani dziękować.

— Znajdźmy ją, to mi wystarczy. Spodobała mi się ta kobitka, a kto jak kto, ale ja na ludziach się znam. — Mrugnęła do niego. — A teraz chodźmy, trzeba jakoś zapanować nad tym wszystkim. Idę załatwić mapę, papier i coś do pisania. Musimy naszkicować plan działania — rzuciła, kierując się w stronę zejścia z podium.

Andrzej był pod wrażeniem inteligencji dziewczyny oraz jej zdolności oratorskich. Istny trybun ludowy.

— Spotkamy się na krzyżówce. To tam. — Wskazała kierunek.

Wkrótce na rozstaju dróg zaczęli się gromadzić ludzie. Niektórzy zabrali ze sobą nawet psy. Tłum skierował się w stronę lasu i starego cmentarza.

Sławek od lat nie zapuszczał się w głęboki las. Jego wzrok co rusz wychwytywał ledwie zarysowane, ale tym groźniejsze kształty. Bał się ciemności od czasu, gdy jako pięciolatek zaginął w lesie. Znalaziono go nad ranem, wystraszonego, wyziębniętego i wycieńczonego. Parę kolejnych dni spędził w szpitalu. To wydarzenie rzuciło cień na całe jego dorosłe życie. Unikał ciemnych miejsc, szczególnie zarośli i obszarów, których nie znał. Lubił naturę i spacerować, ale wyłącznie za dnia. Obiecał sobie, że nigdy w życiu nie wejdzie do lasu nocą. I do dzisiaj dotrzymał słowa.

Ale teraz musiał się przełamać. Przecież w tym ciemnym, niebezpiecznym gąszczu była Ewelina, kobieta, którą wbrew rozsądkowi pokochał i której zamierzał o tym powiedzieć, nie zważając na konsekwencje. Albo go wyśmiej, albo, na co liczył w głębi serca, odwzajemni jego uczucie. Co z tego, że miała męża? Przecież byli w separacji, może nie zawsze warto walczyć o coś, co zaczęło się rozpadać? Co do jednego nie miał wątpliwości: Ewelina to kobieta, której szukał i na którą czekał całe życie. Dlaczego właśnie ona? Bo przy żadnej nie czuł tego, co przy niej. Zdobędzie się na to wyznanie, a jeżeli dostanie kosza — uzna to za znak. Widać tak miało być, niepisana mu miłość.

Przeżegnał się, wziął głęboki oddech i wszedł do lasu. Natychmiast pojawił się paraliżujący lęk. Nie, nie może się wycofać, nie teraz, nie dzisiaj! Ewelina gdzieś tam jest, czeka na niego, dlatego musi pokonać własny strach i wkroczyć głębiej w tę czarną otchłań, pozwolić się połknąć bezkształtnej masie, która przybierała kształty potworów z dzieciństwa. Nie słyszał, jak nieopodal mieszkańcy okolicznych wiosek również wybierali się na poszukiwania. Skupił się na sobie, by w pełni zapanować nad emocjami, uspokoić oddech i przejąć kontrolę nad drżeniem nóg. Nie wiedział, w którą stronę powinien się udać, więc postanowił zaufać swojemu instynktowi.

Posuwał się powoli, delikatnie stawiając kolejne kroki i trzymając ręce przed sobą. Niewiele widział, albo oczy zbyt wolno przyzwyczajały się do ciemności, albo rzeczywiście było tu ciemno jak w grobie. Wreszcie przypomniał sobie, że wychodząc z domu, włożył do kieszeni małą latarkę.

Ostatecznie na umówione miejsce dotarło kilkadziesiąt osób. W tłumie Andrzej dostrzegł również nastolatków, ale od razu ustalili, że w akcji wezmą udział tylko dorośli. Wystarczy zaginionych jak na jeden dzień. Dorota szybko rozrysowała plan lasu i podzieliła go na sektory, a grono ratowników wyłoniło spośród siebie mniejsze oddziały poszukiwawcze. Andrzej domyślał się, że nie wszystkich sprowadziła na krzyżówkę chęć niesienia pomocy, niektórzy przyszli wyłącznie z ciekawości. Ale i jedni, i drudzy szybko poddali się charyzmie energicznej sprzedawczynie, stając się zgranym, zdyscyplinowanym zespołem. Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie szukać — w pobliżu znajdowały się liczne szlaki turystyczne, lasy, wzniesienia — sugerowali się więc głównie przypuszczeniem Doroty, że Ewelina poszła w kierunku lasu „na górze”. Potwierdzili to zresztą stali bywalcy spod sklepu. Niestety,

las był rozległy, obejmował wiele hektarów. Mieli nadzieję, że Ewelina nie zapuściła się zbyt daleko. Wybrali obszar mniej więcej pięciu kilometrów kwadratowych wokół cmentarza. Tam zamierzali rozpocząć poszukiwania. Andrzej zastanawiał się, gdzie podział się Sławek, nie widział go od dłuższego czasu. Ile zdążył usłyszeć, nim się oddalił? Czy już wiedział, że nie są z Ewelina małżeństwem, tylko parą dziennikarzy na tropie oszustki, która okazała się jego matką? Matką — już potrafił tak o niej myśleć.

Psy nie były szkolone do szukania ludzi, dlatego czekały jak ogłupiałe i rwały się do przodu, powodując sporo zamieszania. Dorota poleciła, by je odprowadzić, bo więcej hałasowały, niż pomagały. Ktoś przyniósł megafon pożyczony od wójta, który choć w taki sposób chciał się włączyć w akcję. Zbliżały się przecież wybory lokalne.

Andrzej pomyślał o swoim szefie. Powinien go chyba powiadomić o zaginięciu pracownicy. Jeżeli stanie się najgorsze, przypuszczalnie wyleci z pracy, ale nie dbał o to. Tylko wyzbyty z uczuć karierowicz martwiłby się utratą posady w takiej sytuacji. A jemu zależało na odnalezieniu partnerki również dlatego, że przecież gdyby namówił ją na wyjazd do Jasła, nic złego by się nie stało.

Boże! Niepokój, niepewność, zdenerwowanie, wyrzuty sumienia. Wydawało mu się, że zaraz pęknie! Za dużo tego, za dużo emocji, zdarzeń, informacji. Już sama wiadomość, że jest synem Marii, porządnie nim wstrząsnęła. Wcześniej zadurzył się jak sztubak w kobiecie, za którą w Warszawie nawet by się nie obejrzał. Co samo w sobie było zatrważające, bo przegapiłby coś ważnego, pięknego. A teraz jeszcze to dziwne zaginięcie Eweliny. Coraz bardziej skłaniał się ku opcji, że została porwana. Przez kogo? Nie miał pojęcia. Ale jako dziennikarka śledcza mogła się narazić wielu osobom. Może ktoś wykorzystał ich wyjazd na to odludzie, by się na niej zemścić albo usunąć niewygodną, dociekliwą reporterkę. Albo to on zaczynał mieć manię prześladowczą...

Odnalazł Dorotę, która żywo dyskutowała z jakimś starszym mężczyzną, jak się okazało — leśniczym, który doskonale znał tutejsze tereny. Mówił o topografii, o pułapkach, jakie mogą czyhać na nich w lesie.

— Wiesz, tam jest dużo dołów, chaszczy, wywróconych pniaków, wiatrołomów. Większość ludzi niby zna okolicę, ale nie wszyscy, poza tym jest noc i nawet z latarkami trudno coś zobaczyć. Załamania światła nie pozwolą dostrzec wgłębień, rowów ani też powalonych drzew.

Dorota spostrzegła Andrzeja i przedstawiła sobie obu mężczyzn. Leśniczy miał na imię Leszek, od razu przeszli na ty, a w silnym uścisku jego dłoni Andrzej wyczuł równie mocny charakter. Kogoś takiego potrzebowali.

— Bardzo dziękuję, że przyszedłeś.

— Nie ma za co, w końcu to mój las. — Uśmiechnął się leśniczy.

— Kiedy ruszamy? — zapytał Andrzej.

— Zaraz, muszę jeszcze tylko coś ogłosić. — Leszek wziął do ręki megafon, który zaskrzeczał piskliwie. — Uwaga! Proszę o ciszę! Za dwie minuty wyruszamy. Tak jak ustaliliśmy, jest sześć grup, każda ma wyznaczonego przewodnika, którego należy bezwzględnie słuchać. To bardzo ważne. W lesie jest zasięg, więc jeżeli ktoś ma komórkę, w razie czego proszę kontaktować się bezpośrednio ze mną, podaję numer! — Podyktował cyfry. — Dzwonimy tylko w ważnych sprawach, żeby nie blokować połączenia. W lesie zachowujemy maksymalną ciszę, zaginiona może wołać o pomoc. W kwestiach technicznych zwracamy się do lidera grupy. Czy wszystko jasne?

Przez tłum przetoczył się potwierdzający pomruk, więc Leszek dał sygnał do wymarszu. Andrzej szedł w innej grupie niż Dorota i leśniczy. Był zmęczony, wręcz wykończony całym dzisiejszym dniem, ale musiał wziąć się w garść.

Las powitał ich złowrogim szumem i podejrzаныmi trzaskami. Jakby celowo odstraszał intruzów, ostrzegając: nie wchodźcie, jeśli wam życie miłe. Wszyscy byli skupieni na zadaniu, nikt nie rozmawiał bez potrzeby. Grupy rozdzieliły się i każda udała się w stronę wyznaczonego sektora. Włączono latarki i kolejne osoby niknęły w gęstwinie. Rozpoczęto poszukiwania.

Ewelina otworzyła oczy, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Sklep, spacer pod górę, stara mogiła. Potem weszła głębiej do lasu, straciła orientację w terenie, zgubiła się i — chyba biegła? Tak, biegła. To pamiętała. Ale dlaczego? Człowiek w białej koszuli! Mignął jej za drzewami, gonił ją! Wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Chyba nawet domyślała się, dlaczego ten psychol ją tropił, choć to podejrzenie było równie przerażające, co cała sytuacja. Jednak świat jest bardziej pokręcony, niż sądziła. Spróbowała wstać, ale każdy kawałek jej ciała pulsował bólem. Dotknęła głowy, czując pod palcami gęstą, lepką ciecz. Krew. Obiecała sobie, że jeżeli wyjdzie z tego cała, to zakończy karierę dziennikarską. Czy w pogoni za sensacją warto stawiać na szali własne życie? Ewelina zastanawiała się, czy zaryzykować wołanie o pomoc. Prześladowca mógł czaić się gdzieś blisko.

Swoją drogą, czemu drań jej nie wykończył, kiedy leżała nieprzytomna i bezbronna? Co mu w tym przeszkodziło? Bo że mężczyzna w białej koszuli chciał ją skrzywdzić, nie miała wątpliwości. Czowała swoją kobieco-dziennikarską intuicją. I rozpaczliwie szukała innego powodu tej zawziętości, prócz tego, który wydawał jej się coraz bardziej oczywisty.

Chyba na moment znowu zemdląca. Ocknęła się nagle, czujna i napięta. Był blisko, gdzieś tu, za krzakiem, może za drzewem. O, tam coś się poruszyło! A z tyłu trzasnęło! A może jej się tylko wydawało? Strach ma wielkie oczy. Może w ogóle nie było żadnego tropiącego ją psychopaty? Sama już nie wiedziała, co jest realnością, a co ułudą, zrodzoną z paniki, zmęczenia i zimna. Niby było lato, a ona dygotała jak osika. Jak długo już tu tkwiła? Miała wrażenie, że gęsta ciemność uległa nieznacznemu rozproszeniu. Chciała popatrzeć na zegarek, by sprawdzić, która godzina. Zapomniała, że nie zabrała go ze sobą. Odruchowo uniosła nadgarstek i aż syknęła z bólu. Jednocześnie szybko zakryła usta drugą dłonią. Instykt zdecydował za nią — lepiej nie dawać żadnego znaku życia, nie zdradzać swego położenia, póki wróg może czaić się w pobliżu. Tylko jedno wciąż nie dawało jej spokoju: dlaczego bandzior odpuścił?

Nagle usłyszała jakiś głos, męski, niski, którego nie znała, ale który przejmował ją lękiem do szpiku kości. Zwinęła się w kłębek, żeby zniknąć, wtopić się w podłoże. Zamknęła oczy...

— Szefie, miałem ją. — Dotarł do niej męski głos. — Nie wiem gdzie... Szukam. Możliwe, że ten drugi też rozpoczął poszukiwania. Jasne, myślę, że problem zniknie. Tak, szefie. Nie martw się, nie będzie śladu. Weszła do lasu, sama, nikt jej nie widział, a przecież zdarzają się wypadki, depresje albo samobójstwa.

Ewelina struchlała. Więc naprawdę zamierzał ją zabić, pozorując samobójstwo albo jakiś wypadek. Wcale nie odpuścił, po prostu ją zgubił! W głębi serca ludziła się, że chciał ją tylko porządnie nastraszyć. Nie spodziewała się, że aż tak zalazła komuś za skórę. Tylko komu? Kto zlecił to zabójstwo? Kim był tajemniczy „szef”? Podejrzewała, że wysłała ją tu celowo, ale w głowie jej się nie mieściło, że... na śmierć. Boże, dlaczego nie pojechała z Andrzejem do Jasła? Chociaż — co by to zmieniło? Zabójca wybrałby inną okazję do wykonania zlecenia. Przecież facet najwyraźniej ją obserwował, śledził, wiedział, gdzie i kiedy będzie. Podejrzenie zmieniło się w pewność. Szef to prezes. On ją tutaj oddelegował, zupełnie znieacka, odrywając od dotychczasowego śledztwa, które zmierzało w nieoczekiwanym kierunku. Nie wycofała się, nadal badała wszystkie wątki, nawet te niewygodne. Liczyła się z utratą pracy, dlatego tak zdenerwowała się nagłym wezwaniem do gabinetu prezesa.

Czy Andrzej działał z nim w zмовie? Jakoś nie wierzyła, by miał z tym coś wspólnego. Pytanie, dlaczego zatem prezes wysłał ich razem. Nowicjusz, pierwsze zadanie i od razu taka delikatna sprawa, tajna misja, pod przykrywką? Skąd to zaufanie? A może prezes zamierzał go zrobić, szukał kozła ofiarnego?

Boże, co za bagno! W jakim świecie żyła... Miała tego dosyć, ale otrzeźwienie przyszło odrobinę za późno. Była teraz w lesie, poraniona, obolała i polował na nią wynajęty oprych. Czy musiało dojść aż do tego, by doznała olśnienia i przewartościowała swoje priorytety?

Pomyślała o Sławku — tym nieśmiałym człowieku, który był dla niej dobry, uprzejmy, który... Tak, widziała, jak na nią patrzył. Normalnie by go wykpiła, ale kiedy śmierć zajrzała jej w oczy, naraz odkryła, że ona też mogłaby się w nim zakochać. Tyle że on już się o tym nie dowie. Pewnie smacznie śpi w domu, kiedy ona tu żegna się z życiem. Gdyby miała prawo do ostatniego życzenia, jak skazaniec,

chciałaby go jeszcze raz zobaczyć, przytulić i pocałować. Szepnąć do ucha, jak bardzo... że mogliby razem...

Znowu zemdląca. To oszczędziło jej widoku okrutnej satysfakcji na twarzy zabójcy, który wreszcie wypatrzył zgubę. Podszedł bliżej i przez chwilę napawał się bezbronnością swej ofiary.

— Już mi nie uciekniesz. A twój i mój szef dostanie wkrótce dobrą wiadomość. Melduję, że zadanie wykonane.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie są tu sami. Ktoś go obserwował, słuchał, był świadkiem całej rozmowy telefonicznej.

Sławek poruszał się powoli, ostrożnie przedzierał się przez gąszcz. Jeżeli utknie, nie pomoże Ewelinie. Ciągłe o niej myślał, nawoływał ją bezgłośnie, jakby próbował telepatycznie nawiązać z nią kontakt. Przeszedł ledwie kilkadziesiąt metrów i choć był bardzo uważny, to wciąż się potykał. Potrzebował planu, koncepcji, inaczej nic z tego nie będzie. Nie chciał wołać Eweliny na głos. Nie potrafił sobie tego logicznie wyjaśnić, ale czuł silny opór na samą myśl o krzyku. Jakby mógł go usłyszeć ktoś niepożądany. Jakiś zwierz, człowiek, potwór? Może cierpiał na paranoję albo uraz z dzieciństwa okazał się zbyt silny, w każdym razie wizja groźnego intruza zawładnęła jego umysłem. Musiał być bardzo ostrożny, by samemu nie wpaść w zasadzkę. Przystanął na moment, a następnie usiadł, opierając się plecami o pień drzewa. Oddychał wolno i głęboko. Powietrze było przesycone wilgocią, zapachem grzybów i gnijących liści. Zmęczenie przyszło nagle, spotęgowane paniką. Krótco walczył ze snem. I choć szybko zasnął, to równie nagle ocknął się z otępienia.

Usłyszał głos, męski, nieprzyjemny, osadzony w niskich tonach. Nie dosłyszał całości rozmowy, ale to wystarczyło, by zrozumiał, kogo i czego dotyczyła. Poczul dojmującą, upokarzającą bezsilność. Nie da rady walczyć z tym człowiekiem, przypuszczalnie wynajętym zabójcą! Nigdy nie należał do facetów agresywnych, wołał negocjować albo ustąpić. Ale teraz ani negocjacje, ani ustępstwa nie wchodziły w grę. Ze względu na Ewelinę nie mógł się poddać! Przykucnął, chowając się za rozłożystym świerkiem, i obserwował obcego typa, który stał w rozkroku, zapatrzony w jakiś punkt. Mężczyzna kilka długich chwil gapił się w ziemię, mamrocząc coś do siebie. Sławek poczuł, że nogi mu cierpną, ale bał się zmienić pozycję, by intruz nie odkrył jego obecności. Rozejrzał się wokół siebie. Nie miał żadnej broni, mógł liczyć jedynie na swoją inteligencję i refleks, który przy takim zmęczeniu mógł go przecież zawieść. Na szczęście mężczyzna stał odwrócony do niego tyłem. Gdy Sławek wypatrzył leżącą niedaleko ułamaną gałąź — prosty i solidny kawał drewna, w sam raz na broń obuchową — zaryzykował podkradnięcie się do niego. Bardzo powoli, uważając, by nie trzasnął żaden patyk pod jego stopą, pokonał parę metrów, zerkając kątem oka w stronę mężczyzny. Gdy ten uniósł głowę, Sławek zamarł, ale faceta zaniepokoiło coś innego. Od strony Krempnej dobiegały jakieś odgłosy. Czyżby Andrzejowi udało się zorganizować grupę poszukiwawczą? Sławek delikatnie wziął do ręki ciężką gałąź i czekał na okazję. Zdumiał się, kiedy nieznajomy nagle skoczył przed siebie i zniknął. Z początku wziął to za omamy wzrokowe wywołane zmęczeniem i uporczywym wpatrywaniem się w ciemność. Dopiero po chwili dotarło do Sławka, że facet gapił się nie w ziemię, ale w jakiś lej. Potem skoczył...

Chryste! Prawdopodobnie tam właśnie była Ewelina. Uwięziona albo ukryta. A teraz ten zbir ją zaatakował!

Sławek bez namysłu rzucił się w kierunku miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał tamten facet. Spojrzał w dół i to, co zobaczył, niemal go sparaliżowało. Jakieś dwa metry niżej, w głębokim leju, stał morderca. Pochylał się nad ciałem kobiety w białych spodniach. Ewelina! Czy jeszcze żyła? Co robić? A jeżeli zabójca odwróci się i... Mocniej ścisnął znalezionej gałąź. Dość gdybania, w jednej chwili podjął decyzję. Zeskoczył w głąb leja, a spadając, zamachnął się gałęzią i nim dotknął ziemi, uderzył bandziora w tył głowy. Ten upadł na ciało Eweliny, a Sławkowi wydało się, że kobieta w tym momencie się poruszyła! Złapał typa za ubranie i ściągnął go z dziewczyny. Dotknął delikatnie jej tętnicy szyjnej. Puls był słaby, ale wyczuwalny. Żyła!

Co dalej? Wiedział jedno, musiał ją stąd zabrać, nie mógł czekać biernie na pomoc. Był pewien,

że tylko ogłuszył zabójcę. Wkrótce gość się ocknie i zrobi się niebezpiecznie. Nie zastanawiał się, czy starczy mu sił, musiał dać radę! Obsypał Ewelinę pocałunkami, a każdy kolejny powodował, że czuł się odważniejszy. Delikatnie wziął ją na ręce. Nie była ciężka, jej ciało zwiesiło się bezwładnie, lewa ręka wyglądała na zwichniętą w nadgarstku, z kolei lewa łydka była głęboko rozcięta. Może lepiej, że zemdląca, nie poczuje bólu, a jakoś musi ją stąd wyciągnąć. Cholera, czemu poszła sama do tego przeklętego lasu?! Płytki oddech, zimny pot, słabe tętno. Wiedział, że to niedobrze, Ewelina mogła wpaść we wstrząs pourazowy. Ta myśl dodała sił jego dygoczącym z wysiłku mięśniom. Podniósł ją wysoko i ułożył na brzegu leja. Potem sam się z niego wygrzebał. Gdy nieco uspokoił ciężki oddech, wyteżył słuch. Nie, nie wydawało mu się — coraz wyraźniej było słyhać głosy. Szukali ich, na szczęście... Wolałby nie sprawdzać, jak daleko zajdzie z nieprzytomną Eweliną w ramionach. Mogliby się jeszcze bardziej zgubić albo wpaść w jakąś dziurę. Nie krzyczałby w innej sytuacji, ale bandyta nadal się nie ruszał, a ratownicy byli coraz bliżej.

— Ratunku! — zakrzyknął słabo, jakby na próbę. — Na pomoc! Tutaj! — Teraz wrzeszczał już na całe gardło. Jego krzyk poniósł się po lesie we wszystkie strony.

— Cisza! Słyszeliście?! — zawołała jakaś kobieta.

— Gdzie jesteś? Masz dziewczynę? — spytał drugi głos, męski i zdecydowany.

— Tak! Przy leju, za cmentarzem!

To wystarczyło. Leśniczy bezbłędnie zlokalizował miejsce, w którym znajdował się Sławek. Wybrał trzech silnych mężczyzn, pozostałym ratownikom kazał poczekać i powiadomić inne grupy, że poszukiwania zakończone. Szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Niebawem dotarli do staniającego się na nogach mężczyzny, który trzymał na rękach młodą kobietę. Natychmiast wezwano pogotowie ratunkowe. Nim w oddali usłyszeli sygnał karetki, zdążyli wyjść na ubitą drogę. Sławek, który już wcześniej przekazał Ewelinę jednemu z mężczyzn, zawrócił.

— Wracajmy — rzucił do Andrzeja i leśniczego.

— Przecież wracamy, kierunki ci się pomyliły — uśmiechnął się łagodnie Leszek, łapiąc go za ramię.

— Nie rozumiesz. — Sławek strząsnął jego rękę. — Tam został facet, który chciał ją zabić. Musimy go złapać, bo może znowu spróbować.

Więcej tłumaczyć nie musiał. Szybko wrócili do leja. Bandyta już odzyskał przytomność i wyraźnie zbierał się do ucieczki. Ale nie dał rady, zatoczył się i upadł na plecy. Andrzej wskoczył do leja, poderwał niższego od siebie mężczyznę na nogi i objął jego szyję ramieniem, mocno go przy tym ściskając. Gdy drań zaczął się szarpać, dziennikarz zacieśnił uścisk, aż niedoszłemu zabójcy oczy wyszły z orbit. Gdyby się udusił, nikt by nie żałował. Chyba to do niego dotarło, bo zwiotczał i pozwolił, by leśnik związał mu ręce swoim paskiem od spodni. Ruszyli w stronę ubitej drogi. Więzień próbował negocjacji, za puszczenie go wolno obiecywał duże sumy pieniędzy każdemu z mężczyzn. Andrzej, idący z tyłu, nagrywał jego propozycję na dyktafon w komórce.

Gdy wyszli spośród drzew, prześladowca Eweliny został przejęty przez miejscowych policjantów. Oficjalnie nie brali udziału w całej akcji, ale krążyli w pobliżu, tak na wszelki wypadek. Nadjechał również ambulans, ale nie dał rady wspiąć się po kamieniach na górę. Lekarz i sanitariusze musieli kilkadziesiąt metrów podejść pieszo.

Kiedy zabierali na noszach wciąż nieprzytomną Ewelinę, ludzie tłoczyli się wokół, żądni informacji. Ktoś puścił plotkę, że turystka nie żyje, inni mówili, że niedoszły morderca zbiegł, a jeszcze ktoś inny — że to nie był żaden mord, tylko zwykły gwałt. Ludzie rozmawiali, nie kryjąc wzburzenia i ciekawości. Nikt nie zbierał się do domu, choć zaczynało już powoli świtać. Działo się coś ważnego, ekscytującego, i to z ich czynnym udziałem. Niestety Eweliny stało się ich małym cudem — połączyło tutejszą społeczność. A przynajmniej tę jej część, która stawiała się na wezwanie sprzedawczyni. Ludzie choć na krótko zapomnieli o waśniach, pretensjach, zazdrości, biedzie. Na kilka godzin stali się dzielnymi ratownikami, niosącymi bezinteresowną pomoc zaginionej w lesie turystce. Więcej — tropionej przez bezlitosnego zabójcę! Długo będą o tym rozprawiać, złaknieni uzdrawiającego zastrzyku dobroci, altruizmu i społecznej solidarności. A Sławek, który uratował „księżniczkę”

i pokonał „smoka”, zostanie wyniesiony na piedestał lokalnej sławy. Każde społeczeństwo potrzebuje bohaterów. Im są prawdziwsi, tym lepiej.

Ewelinę przebadał lekarz, który nie stwierdził wprawdzie zagrożenia dla życia, ale zdecydował o przewiezieniu pacjentki do szpitala w celu dokładniejszych oględzin i dłuższej obserwacji. Chciał też podać jej wzmacniające kroplówki. Mieszkańcy wiosenki odprowadzali ambulans aż do skrzyżowania dróg.

Niedoszły zabójca został przewieziony do aresztu w Krośnie, gdzie jeszcze tego samego dnia miał go przesłuchać prokurator. Ludzie zaś wreszcie zaczęli rozchodzić się do domów, aby porządnie wyspać się po wydarzeniach tej nocy. Andrzej żegnał się z każdym, dziękując za pomoc słowem i serdecznym uściśnięciem ręki. Nikogo nie pominął. W końcu prócz niego zostało na krzyżówce tylko troje: Dorota, Leszek i Sławek.

— Naprawdę bardzo dziękuję, zwłaszcza wam, całej waszej trójce. Gdyby nie wy, Ewelina mogłaby już...

— Daj spokój. Ważne, że się udało i znaleźliśmy ją na czas. Ale swoją drogą, Andrzej, kim był ten facet? Wygląda na to, że chciał zlikwidować twoją żonę... o, przepraszam, twoją zawodową partnerkę — poprawił się z uśmiechem Leszek.

Sławek zeszytywniał. Dlaczego leśniczy wyraził się o Ewelinie w ten sposób? Podszedł bliżej, lekko kuszący ją na lewą nogę. Nawet nie pamiętał, kiedy ją zranił.

— Człowieku, ty też musisz iść do lekarza. Jestem ci niewymownie wdzięczny za to, co zrobiłeś dla Eweliny, uratowałeś ją, brachu, ty przede wszystkim. Ale teraz pora, żebyś zadbał o siebie — przekonywał Andrzej, klepiąc go przyjacielsko po łopacie.

Sławek zignorował ten serdeczny gest, który nagle wydał mu się lekko protekcyjny.

— Dlaczego zawahałeś się przed nazwaniem Eweliny jego żoną? O co tu chodzi? — Uniósł pytająco brew, wracając do leśniczego. Nim Leszek zdążył otworzyć usta, Andrzej poczuł się wywołany do odpowiedzi.

— Sławek, kurczę, przepraszam... Z tego wszystkiego zapomniałem o moim, hm, wielkim wyznaniu.

— Jakim wyznaniu? Czy jest coś, o czym nie wiem? — Sławek zaczął się denerwować.

— Chyba tak, najwyraźniej zniknąłeś z festynu, zanim wyznałem, że nie jestem mężem Eweliny. Jesteśmy tylko kolegami z pracy, partnerami w dziennikarskim śledztwie. Pozwól, że wszystko ci wytłumaczę w domu. A teraz wracajmy, dobrze?

— Nie! Chcę wiedzieć wszystko teraz, zaraz. O co chodzi? — Telepała nim mieszanka złości i nadziei. — Okłamywaliście nas? Jesteście oszustami?!

— Oszuści to za duże słowo — mitygował go Andrzej, nie rozumiejąc, dlaczego Sławek aż tak się unosi. — Poza tym mieliśmy swoje powody.

— Więc słucham, gadaj! — Sławek podniósł głos. — Wyłóżmy kawę na ławę i skończmy z tym emocjonalnym cyrkiem. Gdy rana się babrze, trzeba ją oczyścić, z sumieniem jest tak samo — Sławek cedził słowa, jakby mówienie boleło. Bo tak właśnie było, zwłaszcza że nie wiedział, do kogo kieruje swoje gorzkie słowa: do Andrzeja czy do samego siebie.

— Jasne — mruknął Andrzej, ciężko wzdychając. — Chodzi mniej więcej o to, że Ewelina nie jest i nigdy nie była moją żoną. Dostaliśmy takie zadanie od pracodawcy. Mieliśmy tutaj przyjechać, przez dwa tygodnie udawać małżeństwo, zdobyć wasze zaufanie, potem wyciągnąć z was informacje, a wszystko po to, by udowodnić, że Maria jest oszustką, a nie żadną cudotwórczynią. To nie było nic osobistego, nie chcieliśmy was oszukiwać, po prostu taka praca. Ale wszystko się zmieniło. Ja zakochałem się w waszej wiosce i... i nie tylko. W Ewelinie też coś drgnęło, zaczęła się zmieniać, mam wrażenie, że cię polubiła.

Sławek odwrócił głowę. Nie chciał rozmawiać o kobiecie, która nie była niczyją żoną, nie już jej nie groziło, a jednak nagle wydała mu się bardziej odległa niż kiedykolwiek. Dziennikarka, która dla

artykułu zrobi wszystko, zagra każdą rolę. Czy pod tą maską kryła się kobieta, w której się zakochał i o której marzył? A może ona nigdy nie istniała? Odepchnął te myśli. Póki jej nie zobaczy, póki nie porozmawiają szczerze...

— Co ty bredzisz? Maria nie jest żadną oszustką. Znam ją od zawsze, pomogła wielu ludziom i nikomu nie odmawia wsparcia, nawet tym, którzy za plecami ją obgadują, wyśmiewają, nazywają czarownicą.

— Tylko nie czarownicą. Zważ, że mówisz o mojej matce — burknął Andrzej.

Sławka zamurowało. Coś się temu facetowi wyraźnie pokręciło. Zresztą nic dziwnego, nie spał blisko dobę, martwił się o Ewelinę, gonił po lesie za zabójcą, miał prawo się w tym wszystkim zagubić. Ale on i tak był na niego wściekły.

— Ja nie mówię o twojej matce, ale o Marii, którą zamierzałeś medialnie zniszczyć. Syn tak nie postępuje. No chyba że przy okazji chce skompromitować samego siebie. Musisz się przespać, bo znowu zaczniesz bredzić.

— Zamknij się i posłuchaj — przerwał mu zmęczonym głosem Andrzej. — Faktycznie, padam z nóg, mam dosyć. Jestem głodny, wyczerpany psychicznie i fizycznie, ale na pewno nie zwariowałem. Byłem u Marii w szpitalu i to ona wyznała mi, że jest moją matką. Jeszcze tego nie potwierdziłem, ale czuję, że to prawda. Absurdalna, niesamowita, świadcząca o tym, że Bóg ma pokręcone poczucie humoru. Do głowy by mi nie przyszło, że pierwsze zadanie w nowej pracy będzie związane z osobą mojej biologicznej matki. Prezes też nie mógł tego przewidzieć... Może w ogóle nie chodziło o Marię, nie dlatego mnie tu wysłał. Do tego z Eweliną. Dlaczego takiej doświadczonej dziennikarce wcisnął podstarzałego nowicjusza, który zapragnął życiowej odmiany i szukał rad u wróżek? Mój Boże, on to wszystko zaplanował! Ten drań wysłał nas tutaj nieprzypadkowo. Tylko on wiedział, gdzie się udajemy. Sam zarezerwował nam miejsca w waszym domu — spojrzał na Sławka. — Nie wiem, czym mu się naraziła, ale Ewelina miała tu zginąć, możliwe, że mnie podrzuciłby dowód zbrodni. Ten facet z lasu musiał ją śledzić. A jakby ze mną się nie udało, może kogoś z tubylców usiłowałby w to zrobić.

— Masz jakąś paranoję — zawyrokował leśniczy. — Nie tak łatwo kogoś zrobić w morderstwo. Upozorować wypadek w lesie? Może. Ale zabić kogoś i zwalić winę na obcego człowieka? Nie sądzę. Niby jaki motyw mógłby mieć ktokolwiek z naszej wioski?

— Niechęć do obcych, zawiść, napaść na tle rabunkowym, seksualnym, odrzucona miłość. — Andrzej sypał motywami jak z rękawa.

— No i pięknie, udało ci się mnie przestraszyć. — Dorota skrzywiła się z dezaprobatą. — Trzeba było skończyć na podziękowaniach i uściskach. Zresztą na mnie już czas. Muszę choć ze dwie godzinki się zdrzemnąć. O szóstej otwieram sklep, sama nie wiem, jak to przeżyję. Do zobaczenia... w przyjemniejszych okolicznościach. — Pomachała im i ruszyła w swoją stronę.

— Ja też uciekam. Grunt, że wszystko dobrze się skończyło. Nikt nie zginął i nikt nikogo w nic nie zrobił — podsumował Leszek. Wsiadł na swój motor i odjechał drogą na wprost, zostawiając za sobą głośny warkot jednoślada.

— My też chyba pójdziemy, co? — zaproponował Sławek. Po minucie marszu w milczeniu zapytał: — A jak właściwie czuje się Maria, to znaczy twoja... mama? Cholera, łatwo się nie przestawie, nie od razu.

— W porządku. Maria czuje się dobrze, za parę dni wychodzi. Ze mną też wszystko okej. Z początku nowina mnie przygniotła, ale potem podejrzenie łatwo się z tym pogodziłem. Dotąd wiedziałem, że jestem adoptowany, ale nic poza tym. Rodzice nie chcieli o tym rozmawiać, a ja nie nalegałem. Może nawet wołałem nie wiedzieć, kim była moja biologiczna matka. Miałem jej za złe, że mnie zostawiła. Oni mnie przygarnęli jak porzuconego psiaka. Niby czułem się kochany, niczego mi nie brakowało, ale teraz się zastanawiam, ile w moim uczuciu do przybranych rodziców było wdzięczności, a ile prawdziwej synowskiej miłości. Dałem im to, o czym marzyli: szczęśliwego, bezproblemowego potomka. Byłem jedynakiem, ale postanowiłem sobie, że dla nich zawsze będę pierwszy. Rozumiesz? Najlepsze uczelnie, staż w Londynie, znajomość pięciu języków, piękne kobiety. Zginęli w wypadku samochodowym, nim w tej wyliczance pojawiły się nuda, rutyna, nieudane związki i kolejne

rozczarowania. Za to gdy spotkałem Marię, od pierwszej chwili czułem, że jest mi bliska i że przy niej nie muszę nikogo udawać. Jeszcze zanim dowiedziałem się, kim jest. W jej domu pierwszy raz zobaczyłem też Martę. — Andrzej zamyślił się. — Jakie to wszystko pokręcone. Dopiero gdy przestałem szukać, znalazłem to, czego najbardziej w życiu pragnąłem, choć nawet sam nie zdawałem sobie z tego sprawy. O ile rozumiesz, co mam na myśli.

Maszerowali kilka minut w milczeniu. W końcu Sławek również zdecydował się oczyścić ranę.

— Rozumiem, choć ze mną było odwrotnie. Ty chciałeś się dostosować, mnie całe życie uważano za dziwaka. Lubilem się uczyć, czytać, byłem estetą, który kompletnie tutaj nie pasował, jednocześnie nie wyobrażałem sobie, bym mógł mieszkać gdzie indziej, z dala od tych ludzi. Długi czas czekałem na kobietę, na tę właściwą. Gdy poznałem Ewelinę, wiedziałem, że to ona, po raz pierwszy w życiu poczułem motyle w brzuchu. Ale mam pewne zasady — jako mężatka była dla mnie nieosiągalna. Dopiero gdy zaginęła, w ciągu paru chwil mój świat, łącznie z wszystkimi jego zasadami, został wyrócony do góry nogami. Co mi po zasadach bez miłości? Pojechałbym za nią wszędzie, gdyby tylko mnie zechciała. Obaj stoimy na rozdrożu. Znamy się krótko, ale wiele nas łączy.

Andrzej milczał, słuchając każdego jego słowa. Więc Sławek zakochał się w Ewelinie? Właściwie to oczywiste. Przecież ją uratował, ryzykował życie. Ale czy ona czuła to samo? Trudno powiedzieć, za słabo ją znał, by się wypowiadać.

— Musimy się przespać i potem, jeśli zechcesz, możemy pojechać do szpitala. Obaj mamy tam coś do załatwienia. — Andrzej uśmiechnął się blado.

— Gdybym miał brata, chciałbym, żeby był taki jak ty. Mogę cię uścisnąć? Nie wiem, czy u was, w Warszawie, faceci się przytulają.

— Jasne, brachu! — Andrzej złapał go w silne objęcia i przytrzymał chwilę, pieczętując ich męską przyjaźń. — Aha, jeszcze jednego ci nie powiedziałem. Ja też zakochałem się w mężatce.

— Wydaje mi się, że w tym jej małżeństwie coś nie gra, skoro przyjechała tu sama i mieszka z Marią — pocieszył go Sławek, domyślając się, że mówi o Marcie. — Pamiętaj, co mówiłem o zasadach. Jeżeli kochasz, patrz sercem, nie rozumem. Zamknij oczy, spójrz w głąb siebie i zapytaj, czy to ta druga połowa.

W odpowiedzi Andrzej się uśmiechnął.

— Ech, ja wiem, że to ona. Ale to nie takie proste. Marta ma złamane serce. Ten jej mąż, palant, zdradzał ją. Nakryła ich, gdy wróciła ze szpitala z wiadomością, że wyzdrowiała.

— A po co zjawiała się u Obuchowej, to znaczy — u twojej mamy?

— Miała chłoniaka. Matka ją wyleczyła ziołami. Ty wiesz, jak ona to robi? — Zamyślił się Andrzej.

— Cuda, modlitwa, wiara... — szepnął Sławek.

— A jak ktoś nie wierzy?

— To Bóg wierzy w niego.

Andrzej spojrział w stronę mijanego właśnie kościoła. Zastanowiło go nagle zainteresowanie miejscem, w którym nie bywał od wielu lat. Poza kościołem też nie szukał Boga. Gdyby ktoś zapytał go, czy Bóg istnieje — nie zanegowałby tego, ale i nie potwierdził. Był agnostykiem. Wątpił w coś, czego nie mógł zobaczyć ani dotknąć. A teraz, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapragnął nagle poczuć, jak to jest, gdy człowiek wierzy. Mimo bardzo wczesnej pory drzwi do kościoła były otwarte.

— Wejdziemy?

— Jeżeli chcesz... Tam zawsze ktoś na ciebie czeka.

Weszli do świątyni, w której dwie starszki przystrajały ołtarz kwiatami. Zerknęły na nich z ciekawością.

Andrzej usiadł w ławce i zatopił się w myślach. Próbował zrozumieć tę dziwną potrzebę wiary i odnaleźć w murach świątyni echo słów, których dotąd nie udało mu się usłyszeć. Na filarze zobaczył obraz przedstawiający twarz starszego, brodatego zakonnika, który — tak się Andrzejowi zdawało — baczenie mu się przypatrywał, właśnie jemu, i czegoś oczekiwał.

— Kto to jest? — zapytał klęczącego obok Sławka.

— Ojciec Pio, zakonnik, stygmatyk. To wielki święty, który sprawia, że ludzie odzyskują zdrowie i wiarę.

Jedna z kobiet syknęła i skarciła ich spojrzeniem. Na chwilę umilkli.

— Sam kiedyś myślałem, żeby zostać księdzem — szepnął Sławek. — Ale do tego trzeba prawdziwego powołania, a ja miałem tylko piękne idee, które z czasem się rozwiały. I chyba dobrze. Chodźmy, czekają na nas.

Przed domem stały już zniecierpliwione Nowakowa z sąsiadką.

— Gdzieś ty był? Krowy rycom, a ja ni mom sił, coby wszystko obrobić. Przebierz się i do roboty! — powiedziała rozkazującym tonem Nowakowa, nie zważając, że jej syn lekko kuleje. Przecież przy dojeniu siedzi się, nie łązi. — A pon... — zwróciła się do Andrzeja. — Pon to narobił niezłego bigosu.

— Już pani wie?

— Panie, my som na wsi, tu wszyscy wszystko wiedzą. A jak tam paniusia? Żle jej nie życzyłam. — Nowakowa westchnęła. — Biedaczka, tyle przeszła...

— Niech się pani nie martwi, będzie dobrze. Prześpię się, a za parę godzin pojedę do niej... i do Marii. — Zawahał się, bo nie miał siły, by znowu tłumaczyć łączące ich więzy pokrewieństwa.

— Idź pon spać. Obudzę na jedzenie. Sławek, zapytaj kolege, na którą obiad — rzuciła, patrząc na syna, który zdążył się przebrać w strój roboczy.

— Mamo, pan Andrzej stoi obok ciebie, więc sama go zapytaj — odrzekł, kierując się w stronę obory.

— Niech się pani nie fatyguje, zjem w Jaśle.

— Zapomniałam! Telefon dzwonił, nasz, domowy. Dzwonił jakiś dyrektor cy kto i kazał oddzwonić. Dziwny facet. Nie podobał mi się, głos miał jakiś wredny, śliski jak wąż.

Sąsiadka przysłuchiwała się temu, nic nie mówiąc, tylko czasami kiwała głową. Ludzie powiadali, że Kowalowa zbiera materiały na ploty z sąsiadkami, oczywiście odpowiednio je później modyfikując, tak aby były ciekawsze.

Andrzej na myśl o szefie wzdrygnął się. Pomyślał, że skoro zabójca się nie odezwał, szef zaczął się niepokoić. Ale to już go nie dotyczyło, wszystkim zajmowała się obecnie miejscowa policja.

Wszedł do pokoju, położył się na łóżku w ubraniu i momentalnie zasnął. Kilka godzin później obudziła go Nowakowa:

— Mos pon gości — oznajmiła, krzywiąc się, jakby przeżuwała cytrynę.

Byli to dziennikarze z TVN24. Przyjechali szukać informacji na temat tego, co się tu wydarzyło. Od nich dowiedział się, że śledztwo posunęło się do przodu, napastnikowi postawiono zarzuty, a prezes Szymonowicz był głównym podejrzanym o zlecenie zabójstwa.

Marcie wydawało się, że ktoś świecił w nocy latarką w jej okna. Bała się, schowała głowę pod pierzynę i w końcu zasnęła. Nie wiedziała, czy to sen, czy jawa, ale słyszała jakieś poruszenie, szczerkanie, podniecone głosy i przekleństwa. Obudziło ją magiczne światło poranka, które skąpało skromny pokój w ciepłej poświacie, wnosząc wiele pozytywnej energii. Gdy Marta otworzyła oczy, pomyślała, że jest w niebie. Patrzyła na grę światła i kolorów — pomarańczowego, złotego zmieniającego się w żółty — i zapłakała. Po policzkach płynęły jej łzy szczęścia, wszystko było tak niesamowicie piękne.

Przypomniała sobie, że od paru dni nie włączała telefonu komórkowego. Bała się tego, co mogła usłyszeć. Nie chciała odbierać wiadomości, nie chciała w żaden sposób kontaktować się z tym zdradzieckim, zimnym manipulantem, który był jej mężem. Ale unikając konfrontacji, w pewnym sensie wciąż pozwałała, by miał nad nią władzę.

Podszła do torebki i wyciągnęła z niej komórkę. Drżącymi rękami wpisała kod PIN i po chwili zalogowała się do sieci. Dwie kreski zasięgu w zupełności wystarczą. Po paru sekundach rozległy się sygnały dźwiękowe. Osiem wiadomości głosowych i cztery SMS-y. Musiała się z tym zmierzyć, dość

ucieczek. Zalogowała się do poczty głosowej i przełknęła nerwowo ślinę, czekając na odsłuchanie pierwszej zarejestrowanej wiadomości.

— Gdzie ty jesteś, do cholery?! Zachowałeś się jak idiotka. Wcale mi nie zależy na tej młodej dziwce. Wybiegłaś z domu jak oparzona, a przecież nic wielkiego się nie stało. Ale jeśli chcesz rozwodu, zgoda. Wypierdalaj z mojego życia! Niepotrzebna mi taka żona. Więcej na mnie nie licz, głupia suko!

Martę zamurowało. Wiedziała, że potrafi być złośliwy, nieprzyjemny, oschły, ale nigdy nie tracił klasy. Teraz wylał z niego cham. Krzysztof porzucił wyniosły, szorstki ton — pluł jadem i wyzwiskami jak z rynsztoka. Nie poznawała go. Fakt, że mu się sprzeciwiła i śmiała odejść bez pozwolenia, wyzwolił w nim wszystko, co najgorsze. Chciała natychmiast oddzwonić, wygarnąć mu od serca, naubliżyć, ale powstrzymała się. Nie zniży się do jego poziomu.

Gdy się nieco uspokoiła, postanowiła jednak zadzwonić. Musieli ustalić pewne kwestie.

— Czego chcesz? — W słuchawce zabrzmiał ponury głos Krzysztofa. — Prosić o wybaczenie i pozwolenie na powrót do domu? Za późno, wnoszę o rozwód!

— I dobrze, zraniłeś mnie za bardzo...

— Ja ciebie? To ty mnie porzuciłaś! A powinienem pogonić cię już dawno, matka miała rację. Dziecka mi nie dałaś, do niczego się nie nadawałaś. Z łaski cię trzymałem, z litości, ale młody jeszcze jestem i ułożę sobie życie. Gdzie ty się właściwie podziewasz? Twoja matka twierdzi, że strzeliłaś focha i wyjechałaś nie wiadomo dokąd.

Marta patrzyła na wpadające do pokoju promienie słońca i powtarzała sobie w duchu: „Nie daj się sprowokować, nie warto, tylko nie daj się sprowokować”.

— Słuchaj — powiedziała bardzo spokojnie. — Skończmy to. Gdzie teraz jestem, to moja sprawa. Podam ci adres, gdy będę gotowa, wtedy prześlesz mi dokumenty do podpisania. Niczego od ciebie nie chcę. Jedno jest pewne — nie zamierzam cię nigdy więcej oglądać, nawet na sali sądowej. Żegnaj! — Rozłączyła się.

Spojrzała na wyświetlacz. Zostało jeszcze siedem wiadomości do odsłuchania. Sześć kolejnych było od Krzysztofa, w podobnym tonie co pierwsza, a nawet gorszym. Ostatnia — od matki, która pytała, jak się czuje, czy wszystko u niej w porządku, powtarzała, że martwią się z ojcem, ale Ewelina wyczuła w jej głosie raczej ciekawość i chęć przejęcia kontroli niż troskę, więc postanowiła nie odpowiadać.

Esemsy — poza jednym, będącym tekstową odmianą chamstwa Krzysztofa — okazały się głównie promocyjnymi i reklamowymi ofertami od operatora. Skasowała wszystko.

Zegarek wskazywał już prawie dziewiątą, a Andrzej nie przyjeżdżał. Wczoraj wiele przeszedł, więc pewnie jeszcze śpi. Uśmiechnęła się... Już myśląc o nim, czuła się szczęśliwsza i bardziej bezpieczna. Inaczej niż przy Krzysztofie. Tyle zmarnowanych lat. Dopiero teraz, z dala od męża, potrafiła obiektywnie spojrzeć na ich związek i z przykrością odkryła, że Krzysztof tłamsił ją i szantażował emocjonalnie. Czemu mu na to pozwalała? Jej matka była podobna, choć bardziej wybuchowa. A ona tak bardzo pragnęła wyrwać się z domu, że uwierzyła w miłość pierwszego mężczyzny, który się nią zainteresował. Pomyliła uczucie z... Nie miała pojęcia, co tak naprawdę Krzysztof do niej czuł, ale na pewno nie była to miłość. Ona też go nie kochała. W ciągu ostatnich paru dni zrozumiała, na czym polega różnica między przywiązaniem, strachem przed zmianą a gorącym, szczerym uczuciem.

Zjadła śniadanie, przebrała się i czekała. Czas płynął, minęła dziesiąta, potem jedenasta, a Andrzeja wciąż nie było. Po tym, co stało się wczoraj, była pewna, że się zjawi. Czyżby tak szybko pożałował swojego zachowania? No jasne, a czego się spodziewała. Przecież on miał żonę!

Marta przypomniała sobie, że nie nakarmiła kur. Zrobiła szybki obrządek w gospodarstwie i wyszła na drogę z postanowieniem, że sama się do niego wybierze. Tak, przecież to nic zdrożnego. Nie zamierzała się mu w żadnym razie narzucać, ale chciała zobaczyć Marię, a Andrzej zapewne się do niej wybiera. Zwłaszcza biorąc po uwagę...

Nagle ją olśniło. Przecież wczoraj stało się coś jeszcze. Patrzył na zdjęcie zielarki z dzieckiem na rękę i powiedział... O, Boże! Czy to znaczy, że Andrzej jest... Nie, to niemożliwe. Musiało mu się coś pomylić, jemu albo Marii. Świat był pokręcony, ale nie do tego stopnia.

Na drodze spotkała dwie starsze kobiety, idące niespiesznie poboczem. Chustki na głowach, w rękach grabie, leniwie rozkołysane biodra, żywo gestykulowały, pogrążone w rozmowie. Przerwały ją na moment i popatrzyły na Martę z zainteresowaniem, ale szybko odwróciły wzrok i minęły ją obojętnie, jakby była powietrzem.

— Mój chłop mówi, że chciał ją zabić, ale wisz... Łon zawsze godo na zapas. Wódka mu mózg przeżarła.

— Kiedy to podobno prowda. Ten z letniska to podobno syn Maryški. Wczoraj na festynie tak godoł. Moja Sylwia była i słyszała.

— Przecież sama wisz, że to Sławek od Nowakowej ją znoloz, podobno pobił się z tym, co chciał ją zabić. I to wcale nie jest żona tamtego, tylko, uważasz... koleżanka z pracy!

— Godos?

— Nooo...

— Bo ci letniskowi zawsze jakąś zgubę przyniosą! — Jedna z kobiet podniosła głos, aby mieć pewność, że obca, która zagnieździła się u zielarki, usłyszy jej słowa.

Marta przyspieszyła kroku. Słyszała dokładnie, co mówiły, przecież nie była głucha. Koleżanka z pracy? O co tu chodziło? Po paru minutach dotarła do obejścia Nowakowej. Samochodu Andrzeja nie było. Czyżby już pojechał? I nie wstąpiłby po nią? Poczła większe rozczarowanie, niż chciała się do tego przyznać. Zapukała do drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Zobaczyła gospodynię odwróconą w stronę kuchenki gazowej. Zapach smażonej jajecznicy na boczku wypełniał całą kuchnię.

— Dzień dobry, czy jest pan Andrzej?

Nowakowa nawet się nie odwróciła.

— Przepraszam, słyszy mnie pani? Pytałam...

— Tam, śpi... — Machnęła drewnianą łyżką w stronę schodów, rozpryskując kawałki jajecznicy. — Siadaj pani. Zaraz go obudze, przecież musi coś zjeść. Przyłoz z moim Sławkiem nad ranem, potem dziennikarze przysli i tyż go obudzili. Wie pani, co się stało? — zniżyła głos, siadając na krześle obok. — Sławek na komendzie, za nim tyż już byli. Skaranie boskie z tymi wczasowiczami. Wiedziałam, że baba i chop, jak są małżeństwem, to śpią razem, w jednej izbie, a nie dwie biorą, nawet gdy się gryzą. Pani od Obuchowej, prowda? — zapytała.

— Tak... Ale jak to na komendę, co się stało?

— Oj, paniusiu... Tę babkę, Ewelinę, szukali. Ale jo nic nie wim. Podobno w nocy jakiś szalenciec ją porwoł, ale jo nic nie wim. Dobra, idę po niego. Popilnuj kuchni, panienko. — Wytarła ręce w fartuch i spojrzła na schody, które musiała pokonać. Westchnęła, wspominając na swój reumatyzm.

Kilka minut później Andrzej siedział już przy stole, niewyspany, nieogolony i mało rozmowny, próbując przełknąć śniadanie. Nie był głodny, za to ból rozsadzał mu czaszkę. Do tego jeszcze to spotkanie z dziennikarzami, którzy zlecieli się jak sępy. Niewiele mógł i równie niewiele chciał im powiedzieć.

— Oczywiście, pojedziemy do Marii i Eweliny. Telefonowałem do szpitala. Jest dobrze, ale musisz dać mi trochę czasu. Wezmę tylko prysznic...

Gdy wrócił odświeżony, choć wciąż ponury jak chmura gradowa, Nowakowa powiedziała najspokojniej, jak potrafiła:

— Byli z milicji. Kozoli panu przyjść.

— Z policji? No tak, przecież prowadzą śledztwo. Dziękuję pani i proszę nie czekać z obiadem. Jedziemy do Jasła i nie wiem, o której wrócimy. — Skierował spojrzenie w stronę Marty. — Czeka nas spacer, auto zostawiłem pod sklepem. A gdyby ktoś telefonował — rzucił przez ramię do gospodyni — niech pani powie, żeby poszedł sobie do wszystkich diabłów.

— Olaboga! — Nowakowa przeżegnała się.

Przed wyjazdem do szpitala wstąpili na komisariat, gdzie Andrzej złożył zeznania, co — choć było formalnością — trwało prawie godzinę. Dowiedział się, że jego partnerka miała zostać wyeliminowana. Powodu policjanci nie chcieli zdradzić. On zaś zostałby prawdopodobnie wrobiony w morderstwo. Śledztwo nadzorowane było przez ABW i MSWiA. Gdy wreszcie wyszedł, zobaczył

przed komisariatem Sławka, który rozmawiał o czymś z Martą. Na jego widok zamilkli.

— Łudziłem się, że zaskoczę Martę opowieścią o wydarzeniach wczorajszej nocy, ale ona już wszystko wie. Tu się nic nie ukryje, cała wieś huczy. Jeżeli — zerknął na Andrzeja — zamierzałeś coś zachować dla siebie, to... — Sławek wzruszył ramionami. — No nic, pozdrówcie panią Marię i Ewelinę. Muszę ją... to znaczy muszę je odwiedzić, może jutro. Czy mógłbyś jej to przekazać? — Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni spodni, skąd wydobyl kopertę. — List napisałem, takie tam... rymy.

— Tak, jasne, zobaczymy się później. — Andrzej nerwowo zerkał na zegarek. — A teraz *sorry*, brachu, sam rozumiesz.

Mężczyźni unikali swojego wzroku. Nie żalowali wczorajszych męskich spowiedzi, ale w świetle dnia nieco zawstydzili się swojej otwartości. Faceci nie rozprawiają o miłości. Zwłaszcza gdy nie są pewni, że jest odwzajemniona.

Sławek z rozterką w sercu patrzył na znikający za zakrętem samochód. Czy dobrze zrobił, pisząc tak osobisty list? A jeżeli Ewelina go wyśmieje albo, co gorsza, postanowi zabawić się jego uczuciami? Zawstydził się tych myśli. Patrząc obiektywnie, nie miał pojęcia, jaką była kobieta: szukającą przystani, spragnioną bliskości i ciepła domowego ogniska czy też żadną przygód karierowiczką, dziennikarką, dla której praca stanowiła priorytet? Wkrótce się przekona. A wiersze? Napisał je pod wpływem chwili, nocą, kiedy myślał o Ewelinie. Nawet zastanawiał się, czy nie zmienić zdania i nie pojechać do niej z Martą i Andrzejem, ale nie zdobył się na odwagę. Poza tym nie chciał im przeszkadzać. Przecież widział, że między nimi iskrzy. Uważał ich za piękną parę, dopasowaną pod względem charakterów i wyglądu. Jednak znając ich osobiste historie, przynajmniej częściowo, obawiał się, że może być trudno o *happy end*. Nieufność wynikająca ze złych doświadczeń nie sprzyja budowaniu trwałego związku. Niemniej w myślach życzył im wszystkiego najlepszego. Polubił Andrzeja, i to jeszcze zanim okazał się nie być mężem Eweliny. A przygoda w lesie na zawsze połączyła ich więzami twardej, męskiej przyjaźni.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk silnika motocykla — leśniczy ostro zahamował tuż przed nim.

— Witaj, bohaterze! Jak się czujesz? Gdzie kwiaty, ordery i tłumy wielbicielek? — spytał Lech, próbując odzyskać pełną kontrolę nad pojazdem, który jak na złość nie chciał stać grzecznie oparty na stopce.

— Nie przesadzaj. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

— Może, może, chciałbym mieć taką pewność, ale ludzie przerażają mnie bardziej niż dzikie zwierzęta. Żyję w lesie, mam twardy charakter, nie zwykłem panikować, jednak pewnych spraw nie ogarniam. Naprawdę boję się ludzi, są nieprzewidywalni, rozumiesz?

Sławek w zdumieniu słuchał jego wynurzeń. Leszek nie należał do osób wylewnych, zwierających się na środku drogi. I nagle go olśniło. „On naprawdę uważa mnie za bohatera! Inni pewnie też”. Od rana kłaniano mu się w pas, nawet ci, których ledwie znał, podchodzili, by wypytać o nocne wydarzenia.

— Zwierzęta nigdy mnie nie skrzywdziły, chodzę nocami po lesie, nieraz miałem spotkanie z brunatnymi i szarymi braćmi, ale schodzimy sobie z drogi, szanując swoją przestrzeń. Z ludźmi jest inaczej. Chyba nie muszę ci o tym mówić. Wiesz, że wilki łączą się w pary na całe życie?... Ewelina to piękna kobieta, ale nie należy do naszego świata. Rozumiesz mnie? — spytał z troską.

— Chyba masz rację. — Sławek spuścił głowę.

— Tak bywa, miłość potrafi dopaść każdego. Nawet ja kiedyś byłem zakochany, ale dałem sobie z tym spokój. Właściwie to ona dała sobie spokój ze mną. Kobiety są dziwne, płocze jak gazela, a uparte jak osioł. Przemyśl to sobie, młody.

— Tak, obiecuję. — Popatrzył na zegarek. — Muszę lecieć, mam robotę.

Sławek odszedł pospiesznie, krępowała go ta rozmowa. Po drodze zastanawiał się nad słowami leśniczego. To, co mówił o kobietach, również o Ewelinie, nie podobało mu się. Ona była inna. A może wcale nie? Przecież sam przeżywał męki niepewności.

Westchnął ciężko i skierował się wprost do domu, który bez Eweliny wydawał mu się przykro pusty. Ale przecież wkrótce wyjdzie ze szpitala... I co wtedy? Przystanął przy jednym z czterech cisów rosnących przy ścieżce. A jeżeli zechce wrócić do Warszawy? Jej misja zakończyła się, zostali zdemaskowani, na dodatek okazali się zwierzyną na tym polowaniu. Po tragicznych przeżyciach może nie chce tu zostać. Musi ją jakoś zatrzymać, ale jak? Popatrzył na dom. W drzwiach pojawiła się matka.

— Gdzie ty łazisz? Ludzie cię szukają, pytają od rana za tobom!

— O kim mówisz, mamó? — zapytał, nie kryjąc irytacji.

— Jo nie wim, jakieś dziennikorze czy pisorze, chcą wywiad z tobom robić.

— Kiedy przyjadą?

— A bo jo wim? Mówili, że jeszcze dzisiaj wrócóm, więc nigdzie nie łoż — powiedziała i szybko zniknęła w czeluściach mroku za drzwiami.

Sławek widział, że matka nie jest zachwycona tym, co się dzieje. Na pewno chciała jak najszybciej pozbyć się problemu dziennikarzy — tych nowych i tych zakwaterowanych w ich domu. Zwłaszcza Eweliny tu sobie nie życzyła. Wcześniej czy później coś powie na ten temat, nie wytrzyma, wtrąci swoje trzy grosze, czego szczerze nie cierpiał. Lubiała sterować synem, przejmować kontrolę nad jego życiem i strofować go jak małego chłopca. Łatwo zapominała, że Sławek od dawna jest już dorosłym mężczyzną, który ma prawo do własnych wyborów, opinii i własnych błędów.

Gdy był mały, matka lubiła mieć na niego oko i zabierała go ze sobą wszędzie, nawet na kawę do sąsiadek. Dziwnym był dzieckiem, wołał książki i własne towarzystwo niż kontakty z rówieśnikami. W wychowaniu syna pomagała Nowakowej jej matka, którą mały Sławek regularnie odwiedzał. To właśnie babcia rozbudziła w nim ciekawość świata i nauczyła trzeźwego patrzenia na to, co otaczało ich każdego dnia. Gdy nocował u niej zimą, czasem bał się zasnąć — kiedy wyjące wilki podchodziły zbyt blisko obejścia. Babcia miała na to niezawodną receptę, zagrzewała wnuczkowi mleko i siadała przy nim, opowiadając bajki tak długo, aż zasnął. A gdy wyrósł z bajek, wspominała zdarzenia ze swojej przeszłości.

Choć życie miała wyjątkowo ciężkie, nigdy się nie skarżyła, z jej twarzy nie zniknął uśmiech, a z serca chęć niesienia pomocy. Sławek pamiętał, że ludzie przychodzili do niej po rady. We wsi darzono ją dużym szacunkiem, a gdy odeszła, na pogrzebie zjawiała się cała wieś. Wielu żałobników nie znał nawet z widzenia.

Matka Sławka bardzo przeżyła jej śmierć, ale w końcu odzyskała wigor i zdecydowała, że musi coś zmienić w ich życiu. Agroturystyka okazała się strzałem w dziesiątkę. Nowakowa — podobnie jak swoja matka — cieszyła się szacunkiem w okolicy. Miała silną osobowość, nie pozwalała sobie w kaszę dmuchać, budziła w ludziach respekt, choćby ciętym językiem. Nie bała się nikomu narazić, mówiła, co myśli, i zawsze stała po stronie tych, których jej zdaniem należało bronić. Pod pancierzem chropawego charakteru chowała się kobieta o twardych zasadach. Nigdy nie zdecydowała się na powtórne zamążpójście, zajęła się wychowywaniem syna i na nim skupiła wszystkie swoje uczucia.

Kiedy owdowiała, przez wiele lat pracowała w szkołkach nasienniczych. Nie bała się ciężkiej pracy, gdy wracała z lasu, czekały na nią roboty w obejściu i na polu. Jakim cudem znajdowała jeszcze czas na pomaganie innym? Sławek z wiekiem dostrzegał coraz więcej podobieństw między matką a zmarłą babką. Głos, zmarszczki wzdłuż ust, nosa, świdrujące spojrzenie, gestykulacja. Ze smutkiem zauważył, że na stare lata matka zaczyna się kurczyć tak samo jak babcia.

Nowakowa martwiła się czymś innym. Gdy podupadła na zdrowiu, sprzedała większą część gospodarki. Pracownicy potrzebowali nadzoru, a Sławek niezbyt nadawał się na ekonomę. Co nie znaczyło, że brakowało mu smykałki do interesów. Jego pomysł z agroturystyką wypalił i jako matka była z niego bardzo dumna, chociaż na wsi krążyło powiedzenie, że „chłop bez pola to nie chłop”. Z wiekiem zaczęła się jednak bać samotności. Chciała, by syn się ożenił, miał dzieci, ale z jakąś tutejszą dziewczyną. Nie uśmiechała się jej obca synowa, która namówi go do wyjazdu. Mało to razy o takich rodzinnych tragediach słyszała? Dzieci uciekały do miasta, starzy rodzice zostawali na ojcowiznie sami. Kiedy zjawiała się ta „letniczka”, za którą jej syn oczy wypatrywał, obawy Nowakowej nasiliły się. Nie darzyła Eweliny sympatią, chociaż starała się to ukrywać. Czowała w niej konkurentkę, mogła stracić syna

przez tę miastową paniusie! Tak ją nazywała, rozmawiając z Kowalową. Na razie postanowiła zostawić sprawy własnemu biegowi, ale jak się damulka nie wyniesie, będzie musiała coś wykombinować, żeby się jej pozbyć.

Nie miała pojęcia, że w tym samym czasie jej syn usilnie myślał nad czymś wręcz przeciwnym.

Droga do Chałbowa wiodła pod górę, a stamtąd spadała w dół serpentynami. Andrzej jechał powoli, musiał uważać, wchodząc w ostre zakręty. W zamian towarzyszyły im wspaniałe widoki — pola, na których trwały żniwa, kilometry soczystej zieleni, żółci oraz brązu.

— Co u ciebie? — zapytał Andrzej takim tonem, jakby chciał zacząć zwyczajną pogawędkę. Znowu poczuła rozczarowanie.

— Z pewnością nie tyle, co u ciebie, ale ogólnie jest dobrze. Dzwonił mój mąż. Pokazał, jakim jest... Zresztą, nieważne. — Wzruszyła ramionami, bliska płaczu.

— Wszystko, co dotyczy ciebie, jest dla mnie ważne. — Ujął delikatnie jej dłoń. Poczowała ciepło płynące od tego dotyku.

— Zadzwoił poinformować, że chce rozwodu.

— A ty tego nie chcesz? — W jego głosie dało się usłyszeć lekkie napięcie.

— Żartujesz? Nie mam zamiaru żyć z kimś, kto mnie oszukiwał i mną manipulował!

— Tak, oczywiście — mruknął. — Zasługujesz na szczęście, na bycie z kimś uczciwym.

— Czyli nie z tobą? — zaatakowała znieca. Miała już dosyć przemilczeń i niedomówień. — Oszukałeś ludzi, oszukałeś mnie! Co ty sobie wyobrażałeś? Że powiesz mi kilka słodkich słówek, złapiesz za rękę, spojrzysz w oczy i już? A gdyby nie wypadek z Eweliną? Czy powiedziałbyś prawdę? Czy może zabawiłbyś się i wyjechał? Kim ja właściwie dla ciebie jestem?

Andrzej zatrzymał samochód na poboczu. Patrzył bezradnie na Martę, nie rozumiejąc, co się stało. Kochał ją, już raz jej to okazał, pod wpływem chwili. Ale bał się powtórzyć wyznanie. Nie teraz... Ciągle była jeszcze mężatką, nie otrząsnęła się z traumy związanej z ciężką chorobą, nagłym wyzdrowieniem, potem zdradą. Chciał, żeby była pewna swoich uczuć, by nie myliła ich z wdzięcznością albo lękiem przed samotnością. A może jednak to teraz był właściwy czas?

Odpiął pas — jej i swój. Obrócił się w stronę Marty i otworzył ramiona. Wtuliła się w jego objęcia jak ptak w gniazdo. I tak trwali długą chwilę, nic nie mówiąc, tylko rozkoszując się swoją bliskością i tłumiąc tęsknotę.

Chciałaby to od niego usłyszeć. W jej życiu było za mało słów. Wolałaby wiedzieć, niż się domyślać, ale na razie tyle musiało jej wystarczyć.

— Przyjmuję przeprosiny. Ale teraz już mnie puść, ktoś na nas czeka.

Po półgodzinie zatrzymali się na szpitalnym parkingu. Zahaczyli jeszcze o sklepik, gdzie kupili owoce, słodczyce i świeże bułeczki. Najpierw wybrali się do Eweliny. Dowiedzieli się w recepcji, że jest na oddziale pourazowym, na obserwacji. Ale gdy dotarli na miejsce, miała już innego gościa — przy jej łóżku siedział policjant i najwyraźniej ją przesłuchiwał. Andrzej tylko pomachał partnerce od drzwi, obiecując, że wpadną później. Tymczasem powędrowali do lewego skrzydła szpitala, do Marii.

Zdziwili się, zastawszy puste łóżko, ale pomyśleli, że zabrano ją na jakieś badania. Pulchna sąsiadka na ich widok wstała ze smutną miną.

— Przykro mi — spuściła wzrok. — Lekarze mówią, że jest szansa... — Głos jej załamał. — To taka dobra kobieta. Modlę się za nią. — W jej oczach błysnęły łzy.

— Gdzie jest moja matka? — wybuchnął Andrzej. — Czy pani wie, kim ja jestem?

— Tak, pani Marysia wszystko mi opowiedziała. Wyznała, że teraz może spokojnie umrzeć i chwilę potem ją zabrali, och! — Chlipnęła. — Ja tam, panie, nie wiem, ale to pudło zaczęło strasznie piszczeć. — Wskazała na urządzenie do pomiaru ciśnienia krwi i pracy serca. — Lekarze wpadli tu i szybko ją zabrali. Podobno na intensywną terapię. A ona taka dobra była. I o pani mówiła. — Uśmiechnęła się do Marty. — Pani to musi być Martusia, co? — zapytała, wycierając nos.

— Jak to — była? — powtórzył Andrzej i wybiegł z sali.

Marta ruszyła za nim jak cień. Na końcu korytarza odnaleźli drzwi z napisem „Lekarz dyżurny”. W pokoju zastali mężczyznę w średnim wieku. Miał na sobie okulary w drucianych oprawkach, które spadały mu z haczykowatego nosa. Lekarz przeglądał dokumenty rozrzucone niechlujnie na biurku, co korespondowało z wyglądem całego pokoju. Tapczan ze skotłowanym kocem, niedomykająca się szafka na ubrania, stary elektryczny czajnik na wysłużonej komodzie i sterty walających się wszędzie papierów. Nieład dyżurki zupełnie nie pasował do porządku panującego na oddziale.

— Dzień dobry. My w sprawie Marii Obuch. Leży... leżała pod trójką. Podobno trafiła na intensywną. Co się stało, dlaczego nikt nas nie poinformował? — Andrzej mówił szybko, robiąc krótkie przerwy na złapanie oddechu.

— Wie pan, nie mamy obowiązku... Państwo z rodziny, tak? — Medyk zmarszczył brwi, wstając zza biurka. — Obcym nie możemy udzielać takich informacji, ochrona danych...

— Jestem synem — przerwał mu obcesowo Andrzej. — A to moja żona.

Marta zachowała kamienną twarz. Wiedział, że skłamał dla dobra sprawy, ale... No cóż, nie miałyby nie przeciwko, gdyby to była prawda.

— Nie mam dla pana dobrych wiadomości. Wczoraj wieczorem jej stan gwałtownie się pogorszył. Niestety, do dzisiaj się nie ustabilizował. Ale trzeba mieć nadzieję.

— To moja wina... — wyszeptał Andrzej bardziej do siebie niż do lekarza. — Nawet nie zdążyłem... Muszę ją zobaczyć!

— Przykro mi, ale niestety...

— Pan nie rozumie! — przerwał mu Andrzej. — Nie pytam, czy mogę. Ja muszę jej coś powiedzieć.

— Pacjentka i tak pana nie usłyszy, nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym.

— Proszę pana, to moja matka, dowiedziałem się o tym wczoraj. Jej zawal to moja wina, całe życie czekała na mnie, chciała mnie znowu spotkać, poznać, wytłumaczyć. A kiedy wreszcie spełniło się jej marzenie, ja potrafiłem jedynie wykrzyknąć, że jej nienawidzę. Tylko tyle ode mnie usłyszała. Rozumie pan?! Zabiłem ją!

— Co za bzdury pan opowiada.

— Chcę teraz przy niej być — upierał się Andrzej. — Chcę z nią porozmawiać.

— Tłumaczyłem już, nie usłyszy pana — westchnął lekarz.

— Skąd ta pewność? Nie jesteście przecież nieomylni — zainteresowała ostro Marta. — Jestem żywym przykładem, że wasze diagnozy nie zawsze się sprawdzają. Nie wy mi pomogliście, ale właśnie Maria Obuch. Cierpiałam na chłoniaka, lekarz nie dawał mi wielkich szans. Przyjechałam do niej, a ona uratowała mi życie. Rozmawiała ze mną, była przy mnie, kazała pić wywary z myślą, że z każdym łykiem moje komórki stają się zdrowsze. Dała mi nadzieję, podczas gdy wy kazaliście mi żegnać się z rodziną. Dla was już byłam trupem! Tylko ona we mnie uwierzyła. A to jest jej syn. Kim pan jest, żeby zabraniać mu pożegnania z matką, którą dopiero co poznał? — Spojrzała groźnie na lekarza, który już w połowie jej perory był gotów ustąpić.

— Dobrze, ale naprawdę tylko na chwilę. Aha, proszę się nie chwalić, że was wpuściłem. Nie życzę sobie tutaj wycieczek odwiedzających. I proszę ubrać fartuchy i ochroniacze na buty. — Spojrzał z niechęcią na ich septyczne obuwie. Odczekał chwilę, aż założą ochronną odzież. — Dobra, idziemy! — Skierował się w stronę korytarza, grzebiąc w kieszeni fartucha w poszukiwaniu kluczy.

Zatrzymali się przed salą z napisem „Izolotka”. Lekarz nerwowo szukał w pęku kluczy tego właściwego. Gwałtowność jego ruchów ściągająca ciekawski wzrok przypadkowych pacjentów spacerujących po korytarzu. Gdy odnalazł odpowiedni klucz, zaczęły się problemy z zamkiem. Andrzej nie bardzo rozumiał, czemu w ogóle zamyka się tu pacjentów. Izolotka, w porządku, ale zamknięta na klucz?

— Macie tylko chwilę, naprawdę nie mogę pozwolić na dłuższe odwiedziny. — Nagle urwał, poruszył nosem jak królik i krzyknął: — Kto tutaj wnosił kwiaty!? Idę poszukać oddziałowej!

Pobiegł w głąb korytarza, zostawiając ich samych.

Weszli do małej, jasnej sali, w której znajdowało się jedno łóżko i mnóstwo medycznej aparatury.

Pośrodku zobaczyli Marię, drobną staruszkę uwięzioną w sieci przewodów. Obraz był porażający. Leżała bez ruchu, z pogodnym wyrazem twarzy, jakby w ogóle nie cierpiała. Andrzej podszedł bliżej, chcąc sprawdzić, czy na pewno śpi. Może jednak otworzy oczy, gdy go usłyszy.

— Pani Mario... Mamo... To ja, Jędrak — wyszeptał i delikatnie ujął przegub jej dłoni. — Jest ze mną Marta, pamiętasz ją? Uratowałaś jej życie. Mamo...

Nie odpowiedziała, za to nasilił się zapach, który ziryutował lekarza. Popatrzył na Martę.

— Też to czujesz?

— Tak. To chyba fiołki albo lilie. Dziwne... Tu przecież nie można trzymać kwiatów.

Zapach był bardzo intensywny, wypełniał cały pokój, ale nie potrafili określić, skąd się wydobywał.

— Marto, mogę mieć do ciebie prośbę? Chciałbym, no wiesz...

— Jasne, pogadajcie sobie. Ja zejść na dół, będę u Eweliny.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Andrzej zaczął mówić:

— Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale chcę ci powiedzieć, że wszystko zrozumiałem. Teraz wiem, że nie miałaś wyjścia. Chciałaś, bym miał dobre życie, żebym miał co jeść i chodził do najlepszej szkoły. Tak się stało. Dobrych mi rodziców wybrałaś. Kochali mnie, nie ich wina, że czegoś mi zawsze brakowało. Próbując zapelnąć tę pustkę, podejmowałem kiepskie decyzje, pakowałem się w niedobre związki. Oni już tego nie widzieli. Zostawili mnie nagle i bez pożegnania. Nie planowali tego, zginęli w wypadku. Ale ty nie możesz mnie zostawić! Proszę, mammo, nie zostawiaj mnie samego. Gdzieś w głębi serca nigdy nie zapomniałem o tobie ani o naszej chatce. — Pochylił głowę, dotykając czołem jej dłoni.

Fiołkowy aromat stał się niemal duszący. Andrzej miał wrażenie, że nie są sami w tym małym, klaustrofobicznym pokoju. Czuł, że towarzyszy im jakaś siła, która miała coś wspólnego z tym zapachem. Nie bał się, nie wierzył w duchy, zresztą ta „moc” raczej go uspokajała niż przejmowała trwogą. Pomyślałby, że ma omamy albo wariuje, ale... inni też czuli zapach kwiatów. Odchrząknął, uniósł głowę i patrząc na łagodną twarz Marii, mówił dalej:

— Spotkaliśmy się dziwnym zrzędzeniem losu. Dostałem nową pracę w gazecie i nowe zadanie, które było związane bezpośrednio z tobą, mammo. Miałem udowodnić, że jesteś oszustką. Od razu przejrzałaś nasze intencje, ale nie pogoniłaś nas. Rozpoznałaś mnie, a ja zachowałem się jak krety. Przepraszam, mammo. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Będziemy szczęśliwi, już nigdy cię nie zostawię...

— Z oczu popłynęły łzy, których już nie ukrywał. — Tylko obiecaj mi, że nie odejdziesz. Kocham cię, mammo, zawsze cię kochałem... — Andrzej urwał. Urządzenie nagle zaczęło wydawać głośnie i groźnie brzmiące sygnały. Wypadł na korytarz. Ujrzał lekarza i pielęgniarkę biegnących w jego stronę.

— Niech pan tu zostanie! — rzucił ostro lekarz, po czym podbiegł do łóżka Marii i sprawdził jej źrenice. Więcej Andrzej nie widział, bo pielęgniarka zamknęła za nimi drzwi.

Po paru minutach lekarz pojawił się na korytarzu ze zdziwioną miną.

— Już jest dobrze. Ale to jednak bardzo dziwne. Pacjentka poczuła się gorzej, prawie ją straciliśmy, a po chwili wszystkie funkcje życiowe wróciły do normy. To niebywałe. Co pan jej powiedział, że nagle odzyskała chęć do życia?

— Czyli ona słyszała, co mówiłem?

— Nie sądzę, żeby tak było. A nawet jeżeli słyszała, to nie potrafiła tego zrozumieć. Czy to pan przyniósł kwiaty? — Lekarz nagle zmienił temat rozmowy. — Chce pan dostać całkowity zakaz odwiedzania pacjentki? Chce pan ją zabić? Ona ma astmę.

— Ale ja nie...

— Pielęgniarka twierdzi, że nie przekazywała żadnych kwiatów. A może to pana woda toaletowa?

— Panie doktorze, czy ja wyglądam na takiego, który używa fiołkowej wody toaletowej?

— Wie pan, różni tutaj przychodzą — roześmiał się lekarz.

— W każdym razie — jest dobrze?

— Tak, a teraz przepraszam, mam innych pacjentów. Proszę zapisać sobie numer do szpitala albo lepiej bezpośrednio na oddział i kontaktować się z dyżurką. Siostrze, proszę podać panu numer! —

odwrócił się w stronę nadchodzącej pielęgniarki. — Hm... To dziwne, ale ten zapach zniknął, gdy pan wyszedł z sali. Czarodziej czy co? — Zaśmiał się nerwowo, podnosząc rękę do czoła na pożegnanie.

Andrzej zbiegł dwa piętra niżej. Już chciał wejść do sali, w której leżała Ewelina, ale zatrzymał się przed otwartymi drzwiami. Obserwował ukradkiem obie kobiety, które w krótkim czasie tak bardzo zaznaczyły swoją obecność w jego życiu. Marta stała tyłem, więc go nie widziała. Patrząc na nią, nabral absolutnej pewności, że to ta jedyna. Podziwiał jej skromny strój i długie włosy, opadające na szczupłe ramiona, obserwował lekko drżące dłonie i nerwowe ruchy. Była napięta jak struna, niepokoiła się o Marię, może martwiła się też o niego. Wszedł powoli, odchrząkując od progu, żeby zaznaczyć swoją obecność. Marta raptownie odwróciła głowę. W jej oczach dostrzegł pytanie, kiwnął więc głową uspokajająco.

— Cześć, partnerko! — przywitał Ewelinę. — Ty to masz farta! Leżysz sobie tu jak królowa...

— Andrzej... Jak się masz? — odparła z uśmiechem.

— Głupio mi, że tak się to wszystko skończyło. Miała być zwykła dziennikarska sprawa, a wyszła afera na skalę krajową. Z Marią jest już dobrze, nawet bardzo dobrze. Będzie żyła, moja krew. — Mrugnął żartobliwie.

— Marta wszystko mi opowiedziała. Andrzej, to fascynujące, materiał na książkę! — Zamyśliła się i posmutniała. — Wiesz, że aresztowali prezesa? — zapytała. — Kazał mnie zabić. Ty miałeś zostać oskarżony o morderstwo, gdyby inne opcje zawiodły.

— Dlatego mnie zatrudnił. Widocznie uznał mnie za idealnego kandydata do zbrodni w afekcie. — Skrzywił się.

— Przykre — ciągnęła smutnym głosem Ewelina. — Czyli nie miałam obsesji, już w Warszawie musieli mnie śledzić. Zdawało mi się, że ktoś grzebał w moim komputerze, przeglądał pliki zabezpieczone hasłem.

— Pójdę napić się herbaty — weszła im w słowo Marta. — Porozmawiajcie sobie. Może coś wam przynieść?

— Dla mnie kawę. — Andrzej wstał i włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

— Ja poproszę herbatę, słodzoną, bo tu tylko gorzką serwują — poskarżyła się Ewelina.

— Weź z podwójnym cukrem, ja stawiam. Na coś trzeba umrzeć, prawda? — Andrzej zaśmiał się cicho.

Marta wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

— Widzieliśmy, że rozmawiałaś z policjantem — zagaił.

— To człowiek z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Afera krajowa zrobiła się z tej naszej sprawy. Wyobraź sobie, że nasze telefony były na podsłuchu, a maile przechwytywano. Niedawno zaczęłam śledztwo w sprawie molestowania sekretarki przez posła Rimana, ale chyba za daleko zaszłam, za dużo odkryłam i ktoś za mnie postanowił powiedzieć: pas. Czułam, że pod powierzchnią aż wrze, ale nie miałam pojęcia, że Riman to bliski znajomy Szymonowicza. Bywali razem na imprezach, gdzie pojawiali się również bossowie narkotykowi. Uwierzysz? Tropiciel mafiosów, demaskator bandytów w rzeczywistości był skorumpowany do szpiku kości. Co za cynizm. Miał pecha, że poseł okazał się nie tylko obleśną świnią, ale też tchórzliwym histerykiem. Gdy zaczęłam drażnić jego sprawę, spanikował i zagroził prezesowi, że jeżeli nie weźmie mnie na smycz, to on też nie będzie milczał. Podobno napisał list i złożył go u notariusza — z wyznaniem, gdyby coś mu się stało. — Posłała Andrzejowi znaczące spojrzenie. — Mówiąc krótko, zaszantażował Szymonowicza i ten nie miał wyjścia, musiał mnie uciszyć, skoro Riman nie mógł.

— Aha, i żeby odsunąć cię od śledztwa, wysłał nas na Podkarpacie. A ja sądziłem, że daje mi szansę, ależ byłem głupi...

— Zastanawiam się, co teraz z nami będzie. Czy czekają nas tylko kolejne przesłuchania, czy może awanse, wywiady i sława?

— Chcesz tego: awansów i sławy? — zapytał cicho.

— Już sama nie wiem, czego chcę.

Drzwi się otworzyły i weszła pielęgniarka z termometrem, ampułką wypełnioną białą cieczą

i strzykawką.

— Będziemy kłuli. Niech pan wyjdzie — nakazała, ubierając lateksowe rękawice.

— Aha, mam coś dla ciebie. To od Sławka. — Podał jej kopertę, którą szybko ukryła pod poduszką. — No, to baw się dobrze, partnerko. Jutro znowu wpadniemy — dodał.

— Jasne, do jutra. — Ewelina położyła się na brzuchu, wedle zaleceń pielęgniarki.

Na korytarzu siedziała Marta, samotna, zamyślona. Wyglądała na zmartwioną. Usiadł obok niej bez słowa i wziął do ręki kubek z kawą.

— Gdy pielęgniarka wyjdzie, zaniosę Ewelinie herbatę.

— Marto... — zaczął, jakby jej nie słyszał. — Czy wierzysz w przeznaczenie?

Spojrzała na niego, po czym odwróciła głowę, wbijając wzrok w ścianę naprzeciwko.

— Wierzę, chyba. Choć wokoło tyle zawirowań... Nie wiem już, co robić, gdzie się podziąć. Nie mam już siły.

— Pozwól mi zaopiekować się tobą. Niczego więcej od ciebie nie chcę, po prostu bądź.

Oboje patrzyli przed siebie, na ścianę korytarza z pomalowaną lamperią. Nigdzie im się nie spieszyło.

Pielęgniarka wyszła z sali, a Marta zaniosiła Ewelinie herbatę w plastikowym białym kubku. Chwilę porozmawiały, potem pożegnały się serdecznie i Marta ponownie usiadła obok Andrzeja.

— Mogę cię o coś zapytać? Chciałbym zrozumieć... — Wziął głęboki wdech. Wiedział, że ryzykuje, ale musiał to usłyszeć. — Dlaczego tutaj przyjechałaś? Tak szczerze, bez kolejnych kłamstw. Moje wystarczą za wszystkich.

Marta milczała. Andrzej przestraszył się, że przekroczył jakąś niewidzialną granicę intymności, zadając to pytanie. Już chciał ją przeprosić, wycofać się, kiedy zaczęła mówić:

— Uważasz, że jestem oszustką. Nawet nie wiesz jak mi przykro. Chcesz prawdy? Proszę. Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Przyjechałam tu, bo tylko to miejsce przyszło mi do głowy, kiedy rozpadł mi się świat. Można to nazwać przeznaczeniem albo... — wzruszyła ramionami — kręactwem.

— Nie chciałem niczego takiego sugerować — próbował załagodzić sytuację.

— Całe życie próbuję się dopasować, zadowolić ludzi, których kocham, być taka, jak oczekują. I mi nie wychodzi. Mąż mnie zdradzał, matka odpychała, ojciec milczał, ty mi nie ufasz. Tylko Maria mnie nie oceniała, nie wypytywała, po prostu mi pomogła, a teraz przygarnęła jak psiaka, którego nikt inny nie chciał. Dzięki niej żyję i zapewniam cię, że jest mi droższa niż rodzona matka. Spróbuj to zrozumieć. Zresztą za parę dni zniknę z waszego życia, ale póki mogę, jeżeli tylko mi pozwolisz, chciałabym tu zostać. Może to egoizm, bo mając ciebie, Maria nie potrzebuje mojej pomocy, to ja chcę poczuć się komuś potrzebna. Andrzeju, wiedz, że może jestem głupia, naiwna, ale nie jestem oszustką. Przyjazd tutaj miał być dla mnie czymś w rodzaju dziękczynnej pielgrzymki. Boję się tylko, by nie stał się przy okazji największym błędem mojego życia.

Wstała, poprawiając sukienkę.

— Będzie lepiej, jeżeli wrócę autobusem.

— Marto, to nie tak. Nie jestem twoim błędem. — Nie próbował nawet udawać, że nie wie, o czym mówiła.

— A może ja jestem twoim? Zadurzyłeś się w kimś, komu nie ufasz, kim podświadomie pogardzasz. Nie jestem tak wykształcona, obyta w świecie jak ty, ale to nie znaczy, że jestem gorsza.

— Posłuchaj mnie, proszę... — Dotknął delikatnie jej dłoni, której nie cofnęła. — Pojedziemy razem i zatrzymamy się w Nowym Żmigrodzie. Tam jest zajazd. Zjemy jakiś obiad i porozmawiamy, dobrze? — zawiesił głos w oczekiwaniu na zgodę. — Halo, tu Ziemia, zgadzasz się? — Ścisnął mocniej jej rękę.

— Dobrze, zgadzam się, ale może teraz sprawdzimy jeszcze, co u cioci?

— Oczywiście, zobaczymy, co u cioci...

Uśmiechnęli się do siebie, a Marta delikatnie uwolniła swoją dłoń z jego uścisku.

Ewelina w końcu została sama i mogła wyjąć kopertę. Serce zabiło jej szybciej. To od Sławka. Od mężczyzny, który ją uratował, który o nią walczył, zmieniał ją. Odkąd się poznali, często gościł w jej myślach. Zbliżyła twarz do koperty. Pachniała cisami, które rosły przy posesji Nowakowej. Poprawiła poduszkę, modląc się w duchu, aby nikt jej nie przeszkadzał. Chciała ten „pierwszy raz” przeżyć sama, bez surowych pielęgniarek, zrządzących lekarzy czy kolejnych wścibskich śledczych. Delikatnie otworzyła żółtą, usztywnianą kopertę i wyjęła napisany odręcznie list. Serce znowu przyspieszyło. Zaczęła czytać, chłonąc każde słowo:

Droga Ewelino!

Na początku pragnę przeprosić za śmiałość, że zwracam się do Ciebie po imieniu, ale dla mnie nie jesteś wcale obca. W krótkim czasie wydarzyło się więcej niż przez całe moje życie. Zjawiłaś się nagle, bez zaproszenia i wtargnęłaś do mojego serca. Ledwo Cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że jesteś kobietą, której całe życie szukałem. Wybacz tę szczerość. Zwykle jestem chorobliwie nieśmiały, ale przy Tobie staję się inny, lepszy, odważniejszy. Właśnie tak, to Twoja zasługa. Znowu zacząłem się śmiać i pisać wiersze. Nie znasz mnie na tyle, by wyrobić sobie zdanie na mój temat. Może to i lepiej? Będzie jeszcze — mam nadzieję — czas na lepsze poznanie się. Gdy wyzdrowiejesz, zabiorę Cię w moje tajne miejsca, pokażę moje pustelnie, w których oddaję się marzeniom i piszę.

Przepraszam, że nie odwiedziłem Cię dzisiaj w szpitalu, uznałem jednak, że lepiej poczekać. Wciąż wiele we mnie złości. Kiedy zobaczyłem tego typa pochylonego nad Tobą... chciałem go zabić! Mógłbym to zrobić, naprawdę, choć dotąd nie sądziłem, że byłbym zdolny do jakiegokolwiek przemocy. Ale on chciał Cię skrzywdzić! Mam do Ciebie prośbę. Myśl o mnie dobrze, gdy stąd wyjedziesz, jeżeli stąd wyjedziesz... Nie mam prawa Cię do niczego namawiać, ale bardzo mi zależy, abyś została jeszcze trochę. Wiem, dziwna prośba, może zbyt śmiała, ale chciałbym Cię lepiej poznać, побыć z Tobą dłużej.

Nie mam doświadczenia w pisaniu listów, dlatego przepraszam za chaos i błędy. Jestem prostym człowiekiem, który ma nadzieję, że szczęście się do niego uśmiechnęło. Chcę Ci tyle opowiedzieć, tyle pokazać, abyś zrozumiała i może z czasem pokochała mój świat. Odpoczywaj, proszę. Do zobaczenia „U Nowakowej”. Czekamy z Mamą.

Ściskam

Sławek

Druga kartka, zgięta na cztery części, była koloru jaśminowego. Domyśliła się, co się na niej znajduje. Wiersze piszą ludzie samotni, nieszczęśliwi lub zakochani. Ten list świadczył o tym, że nie była mu obojętna. Czyżby ją pokochał? Tego nie napisał wprost, ale ona i tak czuła się szczęśliwa. Stworzył wiersz specjalnie do niej. Kiedy znalazł na to czas? Pomyślała, że jest wyjątkowy. Usłyszawszy szmer za drzwiami, zerknęła w ich kierunku, ale nikt nie wszedł do środka. Rozłożyła więc kartkę, na której Sławek zanotował dwa wiersze. Pierwszy, bardziej odważny, nosił tytuł *Nie pytaj, gdy śpię*.

O mnie nie pytaj, gdy śpię,

Gdy aniołowie szepczą do ucha

Grzeszne słówka ubrane w nagość.

Nie całuj we śnie, bo to nie ma sensu,

Rozkoszy targanie ciała bez materii

Krzywych obrazów zaklętych w kwadracie.

Obudź mnie rano dotykiem ciepłym,

Zapachem kawy pomieszanej z potem,

Słowem dobrym podanym na tacy,

Obecnością zaklętą w ciele.

A więc jest romantykiem... Ilu romantyków poznała w życiu? Niewielu, właściwie żadnego. Prawie wszyscy jej znajomi to miejskie szczury zmierzające do celu po trupach. Zerknęła na drugi wiersz.

Obszary wskażę Ci istnienia

Na mapie świata kontynentów,

Zatoki udręk i cierpienia kotliny,

Bólów i obłądów.

Zamykasz oczy, widzisz pustkę,

Dwa światy, wojny i nieszczęścia.

Popatrz przed siebie, tam daleko,

Czy to ludzkiego kres stworzenia?

Czy Bóg wymyślił to cierpienie?

Zamknął w skorupach niewolnictwa.

Nakazał niszczyć lasy, zieleń, zabijać siebie bez przyczyny?

Czy w bliźnich kazał szukać winy?!

Jesteś człowiekiem, nie zaś Bogiem.

Nie stawiaj spraw na ostrzu noża,

Nim się skaleczysz, zranisz serce,

Zważaj na czyny i na słowa.

Lekarz Cię żaden nie uzdrowi,

Na tę chorobę nie ma leku,

Istnienie czasem bardzo boli...

Ale to tylko ćmienie, nie tragedia.

Przeczytała każdy wiersz po kilka razy. Nie mogła uwierzyć, że ten wrażliwy człowiek to ten sam, który zdołał wynajętego zabójcę drągiem, który był gotów zabić! W jej obronie! Tęskniła za nim. Potrafiła się do tego przyznać, czyli naprawdę się zmieniła. Przestała kontrolować swoje uczucia. Ucieczka przed mordercą, kilka strasznych samotnych godzin spędzonych nocą w lesie — to musiało nią wstrząsnąć. Nie chciała już być kobietą wyzwoloną, kobietą sukcesu, pragnęła czegoś innego, czego dotąd nie zaznała. W jej tęsknocie nie było nic odkrywczego, chociaż musiała trafić do Kotani, aby to zrozumieć.

Włączyła przycisk wzywający pielęgniarkę. Po minucie pojawiła się kobieta w czepku na głowie, wyglądała na zmęczoną.

— Siostró, czy mogę się przejść? Mam dosyć leżenia. Chciałabym rozprostować kości.

— Zapytam lekarza dyżurnego, na razie niech pani leży spokojnie. — W jej głosie też dało się odczuć znużenie.

— A kiedy będzie lekarz?

— Wkrótce. Czegoś jeszcze pani potrzeba? — Pielęgniarka zapytała niby uprzejmie, ale tonem nieskłaniającym do wyrażania życzeń.

— Tak, czy mogłabym dostać długopis i papier? I jeżeli to nie problem, to może też kopertę.

Pielęgniarka spojrzała na nią tak, jakby nie rozumiała prośby. Ewelina już chciała powtórzyć, gdy do sali wszedł młody lekarz. Podeszedł do łóżka, bez słowa wziął kartę z historią jej choroby i zaczął nanosić nowe dane.

— Siostró, proszę zrobić pacjentce EKG, powtórzyć EEG, ogólną morfologię... Jak się pani czuje? — Położył rękę na brzuchu Eweliny. — Boli? — zapytał, uciskając okolice pępka.

— Nie za bardzo, a na pewno nie brzuch. Przypominam, że uderzyłam się w głowę, zwichnęłam nadgarstek i rozciąłam nogę — odparła nieco poirytowanym głosem.

— To dobrze, że nie boli. Leki działają, ale tak czy inaczej musi pani zostać parę dni na obserwacji.

— Pacjentka chciałaby pospacerować — wtrąciła pielęgniarka.

Młody medyk zmierzył Ewelinę wzrokiem.

— Hm, wie pani, że stała się gwiazdą? Mówili o pani w telewizji, gratuluje. — Uśmiechnął się cierpko. — Ale sława ma swoje minusy, dlatego radzę nie wychodzić z sali. Kręcą się tutaj dziennikarze. Niestety, ktoś im powiedział, że przebywa pani na naszym oddziale. Na korytarzu stoi policjant. W razie czego proszę go zawołać.

Ewelina zdębiała. Policjant na korytarzu? Czyżby jej pilnował? Ale co jej mogło grozić, teraz, gdy złapali...? Nagle zamarła. A może wydany na nią wyrok ciągle obowiązywał? Naraziła się wpływowym ludziom ze świata przestępczego, a ci potrafią być pamiętliwi. Niby nic dla niej nowego, wiele razy już ryzykowała, ale wtedy było inaczej. Nie miała dla kogo żyć.

— Bez obaw, tu jest pani bezpieczna. Ochronimy panią przed, hm, dziennikarskimi hienami. — Lekarz chrząknął, niewyraźnie wypowiadając ostatnie słowa. — Proszę korzystać z okazji i wyspać się na zapas.

— Panie doktorze, jest siedemnasta, wyspałam się już za wszystkie czasy. Prosiłam siostrę również o kartkę i długopis. A skoro jestem gwiazdą telewizyjną, mam chyba prawo do małego kapryśku, prawda? — Wyszczrzyła zęby w filmowym uśmiechu. Zdumiony lekarz, nie znajdując

powodu do odmowy, skinał głową.

— Siostrze, proszę przynieść z mojego biurka zestaw listowy i dwa długopisy. Ten drugi, gdyby nasza pani redaktor zbyt szybko wypisała wkład — dodał kąśliwym tonem, co Ewelinę utwierdziło w przekonaniu, że jej nie lubi. A może ma dystans do dziennikarzy w ogóle.

— Dziękuję. Z pewnością kiedyś napiszę o pana dobroci, ale nie wiem, czy dwa długopisy wystarczą na tyle epitetów. — Znowu uśmiechnęła się promiennie. Ostrze jej ironii nie stępiło się.

Lekarz, stojąc już przy drzwiach, obrócił się jeszcze w jej stronę, wziął głęboki oddech, ale ostatecznie zrezygnował z silenia się na ripostę.

Andrzej wyszedł od Marii Obuch parę godzin temu i od tego czasu jej stan systematycznie się poprawiał. Lekarz nie potrafił zrozumieć, skąd to cudowne uzdrowienie. Brał pod uwagę ewentualną pomyłkę sprzętów diagnostycznych, przecież to się zdarza. Na nowe maszyny wciąż brakowało pieniędzy. Tak, to aparatura musiała zawinąć. Chociaż... Dziwne to wszystko. I jeszcze te perfumy.

— Siostrze, skąd znów ten duszący kwiatowy zapach? Już mnie od tego głowa boli. To róże?

— Nie, chyba lilie albo hiacynty. Nie znam się na kwiatkach.

— Nieważne, tak czy siak musimy przenieść pacjentkę na oddział ogólny. Sama siostra widzi, że tutaj jakieś... cuda się dzieją.

— Myśli pan, że to cud?

— A co mnie cuda obchodzą? — Lekarz poczuł się złapany za słowo. — Niech siostra da spokój, jestem na to za stary. Proszę zrobić miejsce na sali ogólnej pod dwójką i tam umieścić pacjentkę.

Wyszli w pośpiechu, chcąc uwolnić się od tego przytłaczającego zapachu kwiatów. Maria powoli otworzyła oczy. Miała świadomość, gdzie się znajduje. I słyszała, co mówił jej syn. Musi żyć dla niego i, da Bóg, dla swoich przyszłych wnuków. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy nagle coś poruszyło się w kącie. Wytężyła wzrok i zobaczyła twarz dobrotliwego starca. Uśmiechał się do niej łagodnie. Całą uwagę skupiła na jego twarzy. Te oczy... Utonęła w ich spojrzeniu. Nie poruszał ustami, a jednak słyszała jego głos. To, co jej przekazał, sprawiło, że chciała wstać i tańczyć. Na moment zamknęła oczy i dwie łzy szczęścia spłynęły jej po twarzy. Gdy uniosła powieki, do sali właśnie wchodziła pielęgniarka z wózkiem.

— Dobrze, że się pani obudziła. Zmieniamy pani salę na bardziej towarzyską. — Mrugnęła okiem. — Proszę spróbować wstać, ja pomogę. — Nachyliła się nad pacjentką. — Czuje pani ten zapach? Teraz znów jest jakby bardziej intensywny. Mnie nie przeszkadza, ale doktorowi Majchrzakowi — wyjątkowo. Co on ma do kwiatów? Pani wie, doktor się rozwodzi, może dlatego kwiaty źle mu się kojarzą? — trajkotała jak przekupka, sadzając Marię na wózku. — Gotowa na powrót do świata żywych?

— Nawet siostra nie wie, jak bardzo. — Pacjentka uśmiechnęła się szeroko.

Przed podróżą wybrali się na zakupy. Marta musiała kupić coś do domu, a Andrzej potrzebował nowych ciuchów. Pomoc Marty w tym względzie okazała się nieoceniona. Doskonale doradzała, stawiając na odważne, modne w tym sezonie kolory: zielony i pomarańczowy. Andrzej bez przekonania przymierzył dwie koszule w tych „babskich” barwach i... z niechęcią je ściągał. Odmłodziły go o co najmniej dwadzieścia lat.

— Oj, chyba zostaniesz moją osobistą stylistką! — Zaśmiał się zadowolony.

— Dlaczego nie? Póki tutaj będę, jestem do usług.

— No właśnie, *à propos* bycia tutaj. Gdy matka już opuści szpital, będę musiał wyjechać na kilka dni do Warszawy. Chcę sprawdzić, co z moim mieszkaniem, załatwić sprawy urzędowe, sama rozumiesz. — Marta nie odpowiadała, więc zmienił temat. — A teraz jedźmy już na ten umówiony obiad. Zgłodniałem, a ty?

— Ja również. — Wysiliła się na uśmiech, ale była kiepską aktorką i Andrzej zorientował się, że coś ją dręczy.

— Marto, bądźmy względem siebie szczerzy. Co się stało, dlaczego się zdenerwowałaś? Z powodu mojego wyjazdu? Przecież wrócę, nie zostawię Marii. To tylko kilka dni, a potem wrócę do ciebie i do mojej matki. Marto?

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i zapatrzyła się w krajobraz za oknem. Czuła w głowie ogromną pustkę, której nie potrafiła niczym wypełnić. Bała się, że to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem albo złudzeniem. Nie chciała niczego mówić, wolałaby schować się i popłakać w samotności, jak zwykle. Zastanawiała się, dlaczego właśnie teraz spotkała Andrzeja. Był tak wspaniały, że aż nieprawdziwy. Okazywał jej swoje zainteresowanie, może nawet miłość, ale zarazem nie ufał jej do końca. Miał wątpliwości, i nic dziwnego. Sama tonęła w morzu niepewności! Całe życie wmawiała sobie, że nic się nie dzieje bez przyczyny, tym tłumaczyła zachowanie rodziców, Krzysztofa, nawet dla swojej choroby starała się znaleźć jakieś uzasadnienie. Ale dlaczego los postawił na jej drodze Andrzeja, właśnie w tym miejscu i czasie? Żeby zrozumiała, czym jest miłość? Tak, stało się! Pokochała go każdą komórką swojego ciała, pragnęła go w myślach, które kradł jej każdej minuty, tęskniła za jego uśmiechem, dotykiem, głębokim głosem. I nie chciała się z tym zdradzić. Umierała ze strachu, że on wyjedzie i o niej zapomni, ale nie zniosłaby jego litości. Dlatego nie zamierzała mu się narzucać, stawiać go w niezręcznej sytuacji, czyniąc wyznania, które go przestraszą. Kochała go za mocno, wbrew wszelkiej logice. Sama bała się tego uczucia. A on jej nie ufał, więc jak mogłaby zaufać jemu? Bała się, że zrobi jeden fałszywy ruch i go straci.

Nienawidziła swojej bezsilności. Była bezradną, kruchą kobietą, skrytą w kokonie własnych myśli, do których nikt nie miał dostępu. Może powinna wszystko szczerze mu wyznać? Co miała do stracenia? Otóż miała — jego, czyli wszystko...

Czekała na kolejny cud. Przecież tyle ich ostatnio się zdarzyło. Tyle się działo w jej dotąd nieciekawym życiu, które w tej małej, sennej wiosce nagle stało się wyjątkowo intensywne.

Andrzej nie nalegał na rozmowę. Zamyśleni słuchali starych przebojów płynących z radioodbiornika. Zajechali pod piękną willę z dużym sztyldem witającym gości. Podjazd wysypano drobnym grysem. Niski mur z kamieni prowadził od wjazdu aż pod sam budynek pokryty żółtym tynkiem o ciekawej fakturze. Wzdłuż muru rosły dwa rzędy tuj.

W środku stały rzeźbione na modłę góralską stoły i krzesła. Żadnego przepychu — nastrojowość połączona z użytecznością. Muzyka też pasowała do reszty. Już w drzwiach przywitała ich korpulentna kobieta z przesadnym makijażem oraz odrostami we włosach. Uśmiechnęła się i zaprowadziła gości do stolika. Niepytana od razu rozpoczęła reklamowanie specjałów lokalu. Oczywiście nie zapomniała dodać, że oferują tu najlepsze smakołyki w okolicy. Marta nie miała apetytu, ale z grzeczności poprosiła o danie dnia, Andrzej zamówił to samo. Napięcie między nimi było wręcz namacalne.

— Powiesz mi wreszcie, co się stało? — Andrzej przerwał nienaturalne milczenie.

„Chcesz prawdy? Może tak będzie lepiej. Wygarnąć, co boli, zamiast robić sobie złudne nadzieje — pomyślała. — Jedno zbliżenie pod wpływem emocji wiosny miłości jeszcze nie czyni”.

Odłożyła nóż i widelec, a splecione dłonie ułożyła na stole, naciskając mocno na blat, żeby ukryć ich drżenie.

— Ja tak nie potrafię. Jesteś dla mnie bardzo dobry, ale ja niczego nie mogę ci ofiarować w zamian. Znamy się krótko, właściwie prawie wcale, a zachowujemy się jak osoby sobie bliskie, żyte, zakochane... — wyrwało się jej. — Przepraszam, nieważne, zapomnijmy o tym.

Chwila ciszy, która zapadała, trwała zdecydowanie za długo. Marta oblała się spóźnionym rumieńcem. Właśnie tego chciała uniknąć! Patrzyła na Andrzeja, który jakby się skurczył, szukając odpowiedzi. Takiej, która by ją zadowoliła, a jego do niczego nie zobowiązywała. Wiedziała, że tak będzie! Oto skutki szczerości. Ale przynajmniej wiedziała, na czym stoi. „Pewnie zaraz zaproponuje, żebyśmy zostali przyjaciółmi” — pomyślała z ironią.

— Czy ty naprawdę uważasz, że ja czegoś od ciebie oczekuję? Jesteś piękną, dobrą kobietą, godną szacunku...

— Boże... — jęknęła mimowolnie.

— Tak, szacunku — powtórzył z uśmiechem. — I pełną mądrości. Dlatego proszę cię o parę dni,

żebym mógł poukładać swój świat. Potem...

— Nie potrzebujesz mojego pozwolenia. Sama muszę znaleźć pracę i mieszkanie. Nie zamierzam być dla was ciężarem.

— Żartujesz? Jakim ciężarem? Jesteś potrzebna matce i mnie.

— Do pomocy przy chorej? — Spuściła oczy, czerwieniąc się.

— Oj, Marto... Dobrze, raz kozie śmierć, powiem to. Odkąd cię poznałem, nie potrafię przestać o tobie myśleć. Nie ukrywam, dotąd nie byłem mnichem, ale nigdy jeszcze nie czułem tego, co teraz. Uwierz wreszcie, że mi na tobie zależy. Powiem więcej, zależy mi na nas. Czy to w ogóle coś dla ciebie znaczy, Marto?

Już niemal usłyszała od niego deklarację, ale właśnie to „niemal” jej przeszkadzało. Ona też była niemal wolna. Jeszcze kilka dni temu taki erzac miłości by jej wystarczył, ale coś się zmieniło. Ona się zmieniała, pragnęła więcej.

— Andrzeju, ja mam męża. Nie chce mnie i ja go nie chcę, ale nadal jest moim mężem. Poza tym ty wyjeżdżasz. Nie potrafię myśleć o tym inaczej. Przepraszam... Czy możemy już jechać? — Wstała od stołu, dziękując za obiad, którego prawie nie tknęła. Zrobiło się jej duszno, więc wyszła na zewnątrz szybkim krokiem.

Andrzej zapłacił i dołączył do Marty. Popołudniowe słońce nadal mocno prażyło.

— Usiądziemy? — Wskazał wyrzeźbioną z kawałka pnia ławeczkę, skrytą w cieniu tuj.

Gdy zajęli miejsce, wziął ją za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy. Nie uśmiechał się, był poważny, wręcz surowy.

— Nie zrozum mnie źle, ale byłbym wdzięczny, gdybyś mi nie przerywała i nie umykała jak spłoszona łania, dobrze?

Skinęła potulnie głową.

— Chociaż potrzebuję cię jak powietrza, nie zamierzam cię w żaden sposób wykorzystywać. Tym bardziej nie zamierzam cię skrzywdzić. Tak, muszę wyjechać, ale to nie znaczy, że uciekam przed tym, co do ciebie czuję. Chcę sprzedać mieszkanie, więc konieczne jest, bym skontaktował się z biurem nieruchomości, muszę też zwolnić się z pracy, złożyć stosowne zeznania w sądzie, ale gdy wszystko załatwię — wrócę. Chciałbym, żebyś na mnie czekała. Pragnę, żebyś tu została... jesienią, zimą, wiosną i na kolejne lato. Żaden ze mnie romantyk ani wrażliwiec, ale ja też poczekam, ile będzie trzeba, aż załatwisz wszystkie swoje sprawy. Mogę czekać choćby do końca świata, bo bez ciebie mój świat już nie ma sensu. A gdy już będziesz wolna, padnę na kolana i poproszę cię, żebyś się ze mną zestarzała. Wyremontujemy dom Marii, namówimy ją, żeby wreszcie zadbała o siebie. Niech zajmie się uprawą ziół i niczym więcej, dość się w życiu natyrała. Ja zamierzam otworzyć małą kancelarię prawną i pomagać tutejszym ludziom w uzyskiwaniu dotacji z Unii. A ty mówiłaś, że lubisz gotować i wymyślać nowe potrawy, mogłabyś opracować jakieś oryginalne, oparte na tutejszej kuchni przepisy, z ziołami oczywiście, i zebrać je w książkę. Może z czasem otworzylibyśmy restaurację albo wspólne gospodarstwo agroturystyczne? — Poruszył znacząco brwiami.

Patrzyła na niego z miłością, której już nie potrafiła ukryć.

— Naprawdę to wszystko przemyślałeś. Masz zaplanowane... nasze wspólne życie. Dlaczego?

— Bo cię kocham. Pamiętasz, co się stało wtedy, w chacie? Dlaczego nie zareagowałaś?

— Bałam się... — szepnęła.

Delikatnie ujął jej twarz w swoje dłonie. Marta zamknęła oczy i po chwili poczuła smak jego warg na swoich ustach. To był delikatny, niewinny pocałunek. Mógłby trwać całą wieczność. Choć dzień dzisiejszy też wydawał się całkiem znośny. Poczula przyływ energii.

— Przepraszam, że byłam taka... strachliwa. Po prostu nigdy nie jest tak, żeby winna była tylko jedna strona. Gdzieś zrobiłam błąd, skoro mnie zdradzał.

— Jasne, byłaś ślepa — mruknął, lecz burkliwy ton złagodził pocałunkiem złożonym na jej powiekach. — Ale to już przeszłość. Musimy ją zamknąć i zacząć od nowa, razem. — Splótł jej palce ze swoimi. — Chcesz tego?

— Czy chcę z tobą być? Teraz to ty jesteś ślepy! — Zaśmiała się cicho i przytuliła do niego. —

Jestem taka szczęśliwa... Kocham cię — szepnęła nieśmiało, jakby na próbę. — Kocham ciebie i twoją mamę — powtórzyła odważnie.

— To świetnie, nie powinno być tarć na linii synowa—teściowa. — Z tymi słowami wstał z ławki. — Poczekaj tutaj na mnie, mam dla ciebie prezent.

— Ale ja...

— Zaraz wracam!

Po dwudziestu sekundach przybiegł z dużą ozdobną torebką w dłoni.

— Proszę, to dla ciebie. Kupiłem go, gdy nie widziałaś. — Podał jej pakunek z miną spiskowca.

— Dziękuję, ale ja nie mam nic dla ciebie.

— Nie szkodzi. Mam wszystko, gdy jesteś w pobliżu. — Skłonił jej się szarmancko.

Posłała mu promienne spojrzenie, a potem zerknęła do torby. W pośpiechu wyciągnęła jej zawartość. Dłonie dotknęły jedwabistego materiału. To była duża, ręcznie malowana chusta. Przepiękna. Chciałaby powiedzieć, że niepowtarzalna, ale już kiedyś widziała podobną, jeszcze piękniejszą.

— Twoja mama też ma taką chustę. Dostała ją od swojej matki, to jej największy skarb, przechodzi z pokolenia na pokolenie, z matki na córkę... lub synową.

— No to będziesz miała dwie. Nową na co dzień, a rodzinną pamiątkę od święta. Mama pewnie zechce sama ci ją ofiarować. Skoro ci ją pokazała i opowiedziała jej historię, już wtedy musiała coś przeczuwać. Moja matka jest pełna tajemnic.

— Twoja mama jest wróżką, a moja... — Marta urwała, nie chcąc dokończyć gorzkiej myśli. Jej matka była jędrą, ale ona i tak ją kochała. Choć gdy o niej myślała, czuła żal, tym większy, że teraz wiedziała, jak mogłaby wyglądać relacja między nimi. Jednak tamta wspaniała chwila matczynej czułości minęła... Przebudzenie taty też pewnie nie potrwa długo. — A moja mama — powtórzyła — mnie zwyczajnie nie lubi. — Popadła w smutną zadumę.

Andrzej nie miał dla niej słów pocieszenia. Patrząc, jak kurczowo ściska chustę, współczuł jej bardzo, ale... Wiedział, że pewne drogi muszą przebyć oddzielnie. Mógł zrobić jedno. Przytulił ją, a ona cicho zapłakała.

Ruszyli dalej dopiero, gdy Marta nieco się uspokoiła. Już z drogi dojrzeli tłum obcych ludzi kręcących się przy chacie Marii. Robili zdjęcia, prowadzili ożywione rozmowy, myszkowali po obejściu. Andrzej zwolnił, ale się nie zatrzymał.

— Co to za ludzie?

— Nie denerwuj się, to moi koledzy po fachu, dziennikarze. Szukają nowej sensacji, a konkretnie ciebie, ale nie martw się, nie pozwolę, by cię dopadli. Zawracamy, pojedziemy do Nowakowej. Tam cię nie znajda, zaufaj mi.

— Ufam. — Położyła rękę na jego dłoni.

Pierś Andrzeja uniosła się w potężnym westchnieniu ulgi.

Ewelina długo czekała na papier i długopis — otrzymała je dopiero na kolejnej zmianie dyżurów, choć przypominała się pielęgniarce kilka razy. Ale wtedy już pierwszy zapal minął i postanowiła zaczekać z pisaniem do rana. Przecież Andrzej, którego zamierzała poprosić o zanieśenie listu Sławkowi, zjawi się najwcześniej koło południa. Poza tym chciała jeszcze przemyśleć, co dokładnie napisać, w jakiej formie i stylu. Wolą unikać zbytniej otwartości, nie chciała pokazać, jak bardzo zależy jej na Sławku.

„Znowu popełniasz stare błędy! — zbesztła się. — Wieczna samokontrola jest niezdrowa, to ciągle pilnowanie gestów, słów... Manii prześladowczej można dostać!”. Oczywiście abstrahując od faktycznie czyhającego na jej życie szefa. Pytanie — co dalej? Miała już dosyć ekscytacji, śledztw, przestępców, niebezpieczeństw i cynizmu związanego z dziennikarstwem. Warszawy też miała dosyć. Ale jeżeli nie praca w redakcji, to co? Nie widziała siebie oddającej się słodkiemu nieróbstwu. Co tu będzie robić, jeżeli zostanie? Bijąc się z myślami, w końcu zasnęła.

Obudziła się przed drugą w nocy. Wstała powoli, czując narastający ból głowy. Dotknęła czoła,

chyba miała gorączkę. Może teraz dopiero wychodziło z niej zmęczenie? Czując suchość w gardle, przełknęła ślinę. Postanowiła poszukać pielęgniarki — na dzwonek nie zawsze reagowały — i poprosić o szklanek wody. Soki, które przywiózł Andrzej, nie gasiły pragnienia, wręcz przeciwnie. Delikatnie stawiając małe kroki, ruszyła w stronę smugi światła wydobywającej się spod drzwi i bezszelestnie wyszła na korytarz. Rozejrzała się. Pierwszy raz opuszczała szpitalną salę i nie miała rozeznania w planie budynku. Skierowała się w prawą stronę. Przeszła kilkadziesiąt metrów i nie spotkawszy żywej duszy, zawróciła. Zastanawiała się, gdzie się podział policjant, który miał jej pilnować. Przy końcu korytarza znalazła dyżurkę pielęgniarek, a w środku śpiącą kobietę. Nie miała serca jej budzić. Postanowiła przy okazji zwiedzić szpital. „Może znajdę kuchnię? Przecież i tak nie zasnę, a nie mam nic innego do roboty”. Czekał na nią list do napisania, ale wciąż nie wiedziała, co w nim zawrzeć.

Szpital nie był zbyt duży. Przez nikogo niezatrzymywana szybko zawędrowała na oddział wewnętrzny, błakając się po korytarzach oświetlonych mocnymi żarówkami. Przerazała ją panująca tu cisza, czasem tylko przerywana dychawicznym kaszlem. Zdała sobie nagle sprawę, że znajduje się w miejscu, z którego nie wszyscy wracają do domów i rodzin. Tutaj często zaglądała śmierć... Ona też się o nią otarła. Przeżyła, ale nie miała dokąd pójść. Powróciło natrętne pytanie — co dalej? Do pracy w redakcji nie wróci, za nic. Musi wymyślić inny sposób na życie.

Rozmyślenia przerwał dziwny szmer. Uznała, że to pewnie pielęgniarka, i najciszej jak potrafiła wślizgnęła się do jakiegoś pomieszczenia. Trafiła na toaletę, świetnie! Nie uśmiechała jej się konfrontacja z siostrą pośrodku obcego oddziału. Jak by się wytłumaczyła? Usłyszała ciężkie kroki — prawdopodobnie mężczyzny. Szedł powoli, z nadmierną ostrożnością. Pewnie nie chciał nikogo obudzić. Ale co tu robił? Wybrał się na spacer w środku nocy, jak ona? Zerknęła zza uchylonych drzwi. Nie dojrzała jego twarzy, skrytej w cieniu daszka nasuniętej głęboko czapki. Ogarnęło ją złe przeczucie. Intruz ubrany był na czarno, strój ściśle przylegał do jego ciała, pewnie żeby nie ograniczać ruchów, na głowie miał czarną czapkę z daszkiem, na dłoniach rękawiczki. Po co mu rękawiczki w środku lata? Jej niepokój wzrósł. Obserwowała go, wstrzymując oddech. Przystawał co kilka kroków, najwyraźniej kogoś szukając. W nocy? A może?... O nie! Przyłgnęła mocniej do ściany. Coś było nie tak. Czula to każdą komórką swojego ciała. Instykt podpowiadał jej, że ten człowiek nie przyszedł tu tylko na rekonesans. Spięła się w sobie, nie zważając na dreszcze i rosnącą gorączkę. Usłyszała, jak otwierają się dwuskrzydłowe drzwi — zawiasy cicho zaskrzypiały — co mogło oznaczać, że mężczyzna przeszedł na oddział kardiologiczny. Dyskretnie wysunęła się z toalety i bezszelestnie podążyła jego śladem. Już nie kulała. Była zbyt podekscytowana, żeby czuć ból w zranionej nodze. Zresztą te proszki, którymi ją nafaszerowali, wciąż działały. A podejrzany typek nadal patrzył na numery, szukając konkretnej sali. W końcu przystanął, delikatnie otworzył jakieś drzwi i wszedł do środka.

Mogłaby narobić rabanu, wzywając pomocy i płosząc intruza, ale obawiała się, że nic to nie da. Jeżeli napastnik był zdeterminowany, nie spanikuje, dokończy dzieła, a odsiecz przybędzie za późno. Poza tym, jeżeli się myliła, narobi sobie wstydu na cały szpital. Tak czy siak konfrontacja wydawała się nieunikniona. Nawet nie pomyślała o zwichniętym nadgarstku. Gdy wpadała na trop, była jak pies gończy. Otworzyła oszklone, dwuskrzydłowe drzwi i pokonała na palcach dystans dzielący ją od salki, w której zniknął ubrany na czarno osobnik. Starła się oddychać jak najciszej. Hall był dobrze oświetlony i przez otwarte drzwi zobaczyła czteroosobową salę dla kobiet. Mężczyzna stał tyłem do niej. A może faktycznie miała paranoję? Może to ktoś z rodziny. Przyszedł w nocy, bo nie miał czasu w godzinach odwiedzin. Wątpliwe, ale wołała to sama sprawdzić, niż obudzić cały oddział.

Przestała się wahać. Wślizgnęła się za nim przez uchylone drzwi i schowała w ciemnym miejscu, blisko ściany. Stał przy trzecim łóżku. Czwarte stało puste. „Może uda mi się jakoś go wywabić na korytarz” — zastanawiała się. No i co wtedy? Jak sprawdzi, co ten facet knuje? Ostatecznie wybrała metodę najbardziej ryzykowną. Została. Szczupła kobieta z gorączką, zwichniętym nadgarstkiem i ośmioma szwami na łydce kontra kolejny typ o zbrodniczych zamiarach. Bała się tylko tego, że mężczyzna ją zauważy albo usłyszy. Serce biło jej jak szalone, oddychała szybko. Na szczęście jedna z kobiet głośno chrapała, co zagłuszało ewentualne szmery. Miała nadzieję, że mimo osłabienia okaże się dość szybka, by w razie czego zainterweniować. Buzująca jak w piecu adrenalina doda jej sił. Nie

miała pojęcia, kim jest ten człowiek, ale jego obecność tutaj była więcej niż podejrzana.

Zdziwiła się, że intruz w czerni nie obejrzał się ani raz w stronę światła — jakby był w jakimś transie i nie przejmował się możliwością przyłapania. Przyczajona w kącie obserwowała przebieg wydarzeń. Mężczyzna wpatrywał się w leżącą na łóżku kobietę, zasłaniał jej twarz. Coś szeptał, jego słowa dolatywały do Eweliny niewyraźnie, ale brzmiały groźnie.

— ... na festynie. Wszystko słyszałem... matką... Ale ona jest moja. Nie ma do niej praw. Nie pozwolę!... Zapłacisz mi...

Nic z tego nie rozumiała, facet bredził jak szaleniec. Wydał się Ewelinie bardziej przerażający niż tamten zabójca z lasu. Gdy wyjął z bocznej kieszeni bluzy strzykawkę wypełnioną jakimś płynem, zaczęła się powoli do niego przysuwać. Delikatnie odsunął kołdrę, a ona wychyliła się i zza jego barku spojrzała na pacjentkę. To przecież Maria Obuch! Czym mu się naraziła, że chciał ją skrzywdzić? Może ją z kimś pomylił albo niewłaściwą przyszłość mu wywróżyła? Nieważne. Jeżeli go nie powstrzyma, ten świr zabije matkę Andrzeja! Nie mogła do tego dopuścić. Przestała się skradać, niech ją usłyszy, chciała zobaczyć jego twarz. Drgnął i obejrzał się za siebie, kompletnie zaskoczony — nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji.

Ewelina wykorzystała ten moment. Celny kopniak prawą nogą w krocze sprawił, że facet zgiął się wpół. Prawą pięścią uderzyła go w okolice splotu słonecznego i poprawiła kopnięciem w kolano. Przydały się zajęcia z samoobrony. Twarz intruza wykrzywił grymas bólu, strzykawka wypadła mu z dłoni, ale w oczach wpatrzonych w Ewelinę zapłonęła wściekłość. Wydawało się, że mimo bólu zaraz rzuci się na nią. Wtedy wrzasnęła potężnie, strach dodał mocy jej głosowi. Kobiety na sąsiednich łóżkach obudziły się i też zaczęły krzyczeć. Bandyta, kulejąc, umknął na korytarz, gdzie zdążyło się już zrobić małe zamieszanie. Pojawiły się zdezorientowane pielęgniarki, pacjenci wychodzili ze swych pokoi, jedni wołali pomocy, inni wzywali policję, niektórzy głośno klęli i złorzeczyli. Harmider wzmagał się z każdą sekundą. Przybiegł lekarz z ochroniarzami.

— Chciał zabić panią Obuch! Tam, tam pobiegł! — Ewelina wskazała kierunek ochroniarzom, a potem drżącym głosem zrelacjonowała całe zajście, patrząc na nieprzytomną Marię.

— Niczego jej nie wstrzyknął. Nie zdążył, sama widziałam. Dlaczego ona nie oddycha?

Potwornie spięta i zmęczona Ewelina była bliska szoku. Znowu w coś się wpakowała, a przecież tutaj miało być spokojnie i bezpiecznie.

— Pani Obuch zaaplikowano silne środki uspokajające, nic jej nie jest, wypoczywa we śnie — powiedział lekarz, patrząc na monitor, na którym migotały jakieś cyferki i fale. — Za to pani nie wygląda najlepiej. Co pani robi na tym oddziale, i to o tej porze? Trochę to dziwne.

— Dzwonne? Przypadkiem znam panią Marię, a wyszłam na korytarz, ponieważ chciało mi się pić. Chyba mam gorączkę, pielęgniarka spała, więc poszłam poszukać kuchni. To takie dziwne?! — krzyczała, zbliżając się do granicy hysterii.

— Czy pani też mam zaaplikować coś na uspokojenie? — spytał lekarz, a Ewelina pomyślała o lampce koniaku i papierosie, dopiero potem o zastrzyku. Uśmiechnęła się pod nosem i poczuła, jak panika ją opuszcza. Ironiczne poczucie humoru często pomagało jej w trudnych sytuacjach. Gdy zjawił się policjant, już spokojna opowiedziała, co się stało, i opisała napastnika na tyle dokładnie, na ile potrafiła. Widziała go jedynie w półmroku.

Gdy wróciła do swojego łóżka, lekarz zaproponował jej zmianę sali na inną, gdzie nie będzie nocowała sama. Przystała na propozycję z wielką ochotą, czuła się wyczerpana. Po półgodzinie leżała już między trzema pacjentkami.

— Teraz pani zaśnie, na kilka godzin — powiedział lekarz, aplikując jej zastrzyk. Zaczęła odpływać, nim skończył mówić. Usłyszała tylko, że udało się złapać potencjalnego mordercę, który...

Wieczorem Sławek postanowił w końcu porozmawiać z matką, która czuła przez skórę, że zapowiadają się duże zmiany. Krzątała się w pralni, prasując pościel dla gości. Ktoś telefonicznie zarezerwował pokój, więc chciała przed jego przyjazdem zapiąć wszystko na ostatni guzik.

Była pedantką, lubiła, gdy wokół panowała czystość i schludny porządek. Czasami aż do przesady. Nigdy też nie chciała pomocy, dodatkowej osoby w domu, która by odciążyla ją w tej pracy. Dokuczał jej reumatyzm, zniekształcone stawy bolały coraz bardziej, ale ciągle twierdziła, że póki daje radę, będzie pracowała sama. Sławek starał się ją zrozumieć. Widział, że matka traci siły, ale nie chce się do tego przyznać. Nie znosiła własnej nieporadności, największą dla niej tragedią byłaby niedołączność. Nie chciała być dla nikogo ciężarem, zwłaszcza dla syna. Pragnęła, by w końcu się ożenił, marzyła o wnukach, ale do tego niezbędna była odpowiednia panna.

Kiedy późną porą zeszła do kuchni na herbatę, Sławek już tam na nią czekał. Mało ostatnio rozmawiali, jakby unikali się nawzajem. Pora to zmienić. Poprosił, by usiadła. Chętnie się zgodziła — po całym dniu nogi jej spuchły i bolały.

— Zaparzę mamie zieloną herbatę, dobrze?

— Dziękuję, Sławciu. A kury zamknięte? — zapytała, masując kolana.

— Tak, mam, wszystko zrobione. Musimy porozmawiać, dobrze?

— A co się stało?

Mógłby owijać w bawełnę, ale po co...

— Chcę się ożenić. Wiem, że ty też tego pragniesz. Czuję, że wreszcie spotkałem właściwą kobietę, zakochałem się w Ewelinie i...

— Co ty godos za gupoty? A kto byndzie na gospodarstwie tyroł? Łono paniusia, do roboty nie nawykło. Ty potrzebujesz babe ze wsi, a nie miastową. Sławuś, zmadrzyj!

— Mam, całe życie cię słuchałem, a teraz chociaż raz ty wysłuchaj mnie. Nie rób problemów, nie komplikuj, kocham ją i chcę wierzyć, że ona kocha mnie.

— Jak to, to ni wis tego? Nie godołeś z niom? — Nowakowa zdumiała się.

— Nie było kiedy. Chcę się jej oświadczyć. Nie może wyjechać, nie wiedząc, jak poważnie o niej myślę.

— Poleciołeś za nią do lasu, prawie łeb ci rozwalili, więc chyba wi, że jest ci pisano. Ale co łona myśli, a co cuje, to dwie różne sprawy. Zrobis, jok zechces... A łoni? — zapytała, wskazując wzrokiem na schody prowadzące do pokoiów gościnnych. Domyślił się, że ma na myśli Martę i Andrzeja.

— Pewnie na razie zamieszkają u Obuchowej. Marta nie ma gdzie pójść, a i Andrzej chyba zamierza się tu przeprowadzić. Coś wspominał o założeniu firmie i o remoncie chaty „babuchny”.

— Jak Maryśka się mo?

— Przecież słyszałaś, co mówili: wraca szybko do zdrowia. Ewelina podobnie. Marta wspomniła, że kiedy weszli do izolatki, w której Maria leżała pod respiratorem, wyczuli intensywny zapach kwiatów, jakby hiacyntów albo fiołków. Lekarz i pielęgniarka też to czuli.

Ta wiadomość żywo zainteresowała Nowakową, odciągając jej uwagę od niestosownej kandydatki na synową. Pytała, czy gdy czuli ów aromat, coś jeszcze się wydarzyło, może widzieli kogoś albo coś słyszeli? Sławek pokręcił głową, ani Marta, ani Andrzej o niczym podobnym nie wspominali.

— Synku, idź spoc, jo się jesce pomodle — powiedziała, widząc, jak Sławek ziewa.

— Tak, zaraz się położę. Jutro chcę pojechać do Jasła z Andrzejem i Martą. Może będziemy już mogli przywieźć panią Marię? — Znowu ziewnął głośno, zakrywając ręką usta.

— Jedź, synku, jedź, jak musisz. Ale znowuż się w coś nie wpakuj. Jo rano pójdę do kościoła. — Wstała, zerkając na zegar. — Tylko zamknij dobrze wyjście i sprawdź okiennice.

— Sprawdź. Dobranoc, mam.

Nowakowa wolnym krokiem dotarła do swojego małego pokoiku. Zdecydowanie nie poddawała się współczesnej modzie, co uwidaczniało się nie tylko w jej tradycyjnych strojach, ale też w wyposażeniu tej izdebki, która był jej sypialnią i azylem zarazem. Czowała się tu dobrze, na swoim miejscu, w towarzystwie starej dębowej szafy, z której schodziła brązowa farba, małego rzeźbionego stolika, skrzypiącego krzesła i dużego lustra. Przebrała się w koszulę nocną sięgającą do kostek, uklękła przed łóżkiem, kierując wzrok na ścianę, gdzie wisiał obraz Jezusa i drugi, mniejszy, Ojca Pio. Chciała świętemu podziękować za cud i prosić o kolejny. O cud rozumu dla syna i dobrą żonę dla niego. Ale była też trochę zazdrosna, wiedząc, że zakonnik odwiedził nieprzytomną Obuchową, a ją, gdy tak

potrzebowała jego rady i wsparcia, pominął. Jednak szybko się zawstydziła tych niegodnych myśli. Długo mamrotała pod nosem słowa modlitwy, godząc się z tym, co ma nadejść, aż w końcu bolące kolana dały znać o sobie. Z trudem wstała z klęczek, opierając dłonie o brzeg zabytkowej, drewnianej ramy, napiła się jeszcze zimnej wody i położyła do łóżka. Szybko zasnęła snem sprawiedliwego, ale nie cieszyła się nim długo. Około trzeciej zadzwonił telefon. Aparaty w domu były dwa. Jeden w sieni, wyciszony na noc, a drugi w pokoju Nowakowej.

— Tak? — szepnęła ze strachem, przyłożywszy do ucha słuchawkę starego aparatu. — Słuchom — rzuciła głośniejszym głosem, nie doczekawszy się odpowiedzi. Z drugiej strony dobiegały tylko jakieś podejrzanym hałasy. Wreszcie ktoś się odezwał.

— Przepraszam, że panią budzę, ale wydarzył się wypadek. Muszę się natychmiast skontaktować z panem Andrzejem Sadowskim, podobno mieszka u pani. Telefonuję ze Szpitala Rejonowego w Jaśle.

Nowakowa usiadła na skrzypiącym łóżku, nie do końca jeszcze rozbudzona, wpatrując się w ścianę przed sobą. Serce zaczęło jej bić jak szalone. Coś z Maryską? A może chodzi o tę letniczkę?

— Ale co się stało?

— No cóż, niewiele mogę powiedzieć. Proszę przekazać panu Sadowskiemu, że czekamy na niego.

— Czekamy? A co to, ktoś umarł?

— Nie, na szczęście nie, ale niewiele brakowało. Ktoś chciał zamordować panią Obuch, jest tutaj policja. Więc jak? Poprosi go pani do telefonu?

— Ale po co? Sama mu powiem, że mo jechać do was. Głupiom nie jest! — warknęła i odłożyła słuchawkę na stolik. Szybkim ruchem zrobiła znak krzyża i założyła szlafrok. — Cholera mi ich nadała, same problemy, odkąd tu som — sapała, człapiąc po schodach na piętro.

Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Andrzeja i zapukała. Zza ściany nie dobiegał najmniejszy szmer, a że jedynym gościem oprócz niego była Marta, więc Nowakowa bez skrupowania zapukała głośniejszym głosem. Ale dopiero łomotanie wybudziło go ze snu. Marta dawno zdążyła wychylić się z pokoju Eweliny. Nowakowa lakonicznie poinformowała swojego gościa, że dzwonią do niego ze szpitala, bo Maria Obuch miała wypadek.

— Telefon niech w sieni se odbierze — zakończyła.

— Już się ubieram! — krzyknął. — A co się konkretnie stało?

— Panie, a skąd mam wiedzieć? Jo nie jasnowidz — odparła, obróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju, narzekając po drodze, jaki to świat jest podły, że nawet biednej starej kobiecie sen przerywają.

Andrzej wstał i podszedł do telefonu, po drodze strząsając z siebie resztki snu.

W szpitalu stawił się błyskawicznie, łamiąc wszystkie przepisy drogowe. Zresztą czuł nad sobą jakąś irracjonalną opiekę. Drogówka o tej porze pewnie i tak spała. Na miejscu dowiedział się, że Maria nie jest wprawdzie w stanie krytycznym, ale lekarz chciał się pilnie zobaczyć z kimś z rodziny. Pielęgniarka wskazała Andrzejowi znany mu już gabinet. Otworzyła drzwi i ich oczom ukazała się znajoma twarz, nieogolona, ze śladami przemęczenia i widocznymi oznakami braku snu.

— Przepraszam, doktorze, jest już pan od pani Obuch.

— Dziękuję, sestro.

Kobieta wyszła, dokładnie zamykając drzwi, jakby chciała oszczędzić sobie tego, co miało nastąpić.

— Wezwałem pana, ponieważ pani Maria została w nocy napadnięta.

— Że co?...

— To znaczy — nie została napadnięta, na szczęście nie doszło do tego, ale podjęto próbę morderstwa.

— Że jak?!

— Wszystko jest w porządku — zapewnił lekarz. — Pana matka nawet się nie obudziła.

— Słucham?! Mogę ją zobaczyć?

— Oczywiście, jeżeli to pana uspokoi. Bo, jak mówiłem, śpi, więc i tak nie porozmawiacie. Wezwałem pana na prośbę policji. Chcą pana przesłuchać, to standardowa procedura. Proszę za mną.

W pokoju ochroniarzy, w którym znajdowało się dwóch policjantów i mężczyzna skuty kajdankami, czuć było napięcie. Andrzej przyjrzał się człowiekowi w kajdanach, który również bacznie go obserwował.

— Czy panowie się znają? — zapytał jeden z policjantów.

— Nie — odrzekł krótko Andrzej.

— Oczywiście, że się znamy — odparł aresztant.

— Podsumujmy. Ten mężczyzna, którego tożsamości jeszcze nie zdążyliśmy ustalić, jest podejrzany o próbę morderstwa Marii Obuch. Kobieta żyje tylko dzięki szybkiej interwencji oraz trzeźwości umysłu jednej z pacjentek. Powstrzymała napastnika, gdy zamierzał wstrzyknąć pana matce jakąś niezidentyfikowaną jeszcze substancję — wyrecytował beznamytnym głosem drugi z policjantów.

Andrzej zacisnął mocno pięści. Mógłby typa zabić gołymi rękami.

— Co ona ci takiego zrobiła? — wycedził, nie patrząc na niego.

— Ona? Nic takiego. To ciebie chciałem ukarać. Bo mi żonę ukradłeś! Nie znasz mnie?! — darł się napastnik. — Ale ja ciebie znam! Słyszałem, jak gadałeś na festynie. Przyjechałem tu za tą suką. Myślała, że się nie domyślę, gdzie ucieknie? Gdy zadzwoniła, udawałem głupiego, ale wiedziałem, że u tej więdźmy się schroniła! Obserwowałem jej chatę... Zasłużyła na to, by zdechnąć! Ta czarownica nie miała prawa mieszać się do naszych spraw. No i winna jest bycia twoją matką, śmieciu! Prowadzasz się z moją żoną, zapłacisz mi za to! Mówiłeś o niej, wymieniałeś jej imię. Nie masz do tego prawa! Nie zabierzesz mi jej, jest moja, tylko moja! I nikt inny nie będzie jej miał! Prędzej ją zabiję! Chciałem to zrobić, ale pies mnie spłoszył i jakiś pijak...

Andrzej zeszytywniał, z całych sił zacisnął szczęki. Ogarnął go gniew tak potężny, że aż mu się w oczach zaćmiło. Żyły wyszły mu na czoło. Podszedł i zbliżył twarz do twarzy niedosłego zabójcy.

— Posłuchaj mnie, gnoju. Nie myśl nawet, że wykręcisz się psychiatrykiem. Za to, co chciałeś zrobić mojej matce, trafisz na długie lata do pierdła. Dopilnuję tego. I jeszcze tego, żebyś już nigdy nie zbliżył się ani do mojej matki, ani do mojej... przyszłej żony — rzucił w jego wykrzywioną szaleńczą wściekłością twarz. — Jesteś zwykłą gnidą, którą chętnie bym zadusił, ale rąk sobie nie będę brudził. Zabiję kanalię, a odpowiem jak za człowieka. Życia szkoda. Idę, narzeczona na mnie czeka. A ty zadław się własną nienawiścią! — wycedził przez mocno zaciśnięte zęby.

Od lekarza dowiedział się, że to Ewelina obezwładniła napastnika, ratując życie jego matce. Zamierzał ją odwiedzić i podziękować — oraz porządnie zbesztać za to, że wciąż pakowała się w kłopoty i w objęcia morderców. Kiedy jednak zajrzał do jej pokoju, jeszcze spała. On też musiał ochłonąć. Nadal na samo wspomnienie, jak niewiele brakowało, by stracił matkę lub Martę, zaczynał dygotać.

Usiadł na korytarzu, oparł głowę o ścianę i zapadł w drzemkę. Nikt mu nie przeszkadzał. Obudził go dopiero Sławek. Sądząc po garniturze i wielgachnym bukiecie pąsowych róż, przyszedł do Eweliny.

— Witaj, brachu. Pozwól, że cię zaanonsuję mojej „żonie”.

Sławek chciał coś odpowiedzieć, ale tylko ochrypl z nerwów. Odchrząknął.

— Jasne, zabaw się w swata, wybadaj sytuację, jakby co, ostrzeż mnie, nim się ośmieszę.

Andrzej krzepiąco uściśnął jego ramię i wszedł do pokoju Eweliny. Leżała na łóżku w glorii bohaterki. Współtowarzyszki z sali wpatrywały się w nią z podziwem, który wzrósł jeszcze na widok wysokiego, przystojnego bruneta.

— Nie jesteś normalna, wiesz? Co cię podkuśiło, żeby leżać za tym świrem i bić się z nim? Mógł cię... ech, szkoda gadać.

— Nie wiedziałam, że to świr — bąknęła. — I... dzień dobry, jak miło cię widzieć.

Andrzej wpatrywał się intensywnie w bladą, wymizerowaną twarz Eweliny.

— A tak poważnie, to strasznie, ale to strasznie ci dziękuję, partnerko. Gdyby nie ty...

— Uznajmy, że spłaciłam swój dług. Książkę o tym wszystkim napiszę, już postanowiłam. Muszę tylko znaleźć jakieś ustronne miejsce, ciszę, spokój. Czy...? — urwała i zarumieniła się.

Andrzej domyślił się, że chce go zagadnąć o Sławka. Ale czekał, aż sama o to głośno zapyta. Krążyli wokół siebie, jak para rannych zwierząt, ona tu, on za drzwiami.

— Czy wiem, kim był napastnik? — Andrzej postanowił nie ułatwiać jej zadania. — Wyobraź sobie, że to mąż Marty. Chciał zamordować moją matkę. Za karę, bo ośmieliłem się pokochać jego żonę. Jakiś horror! A ona żyła z tym psychopatą pod jednym dachem przez siedem lat, uwierzysz? Wciąż jestem w szoku. Napisz o tym w swojej książce. Mogłem ją stracić, mogłem stracić je obie... — Ciężko westchnął. — Ale żyją. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Rozwód będzie w tej sytuacji tylko formalnością. No, to pędzę! Pogadamy dłużej przy innej okazji, a coś czuję, że będziemy mieli ich mnóstwo. — Puścił do niej oko i dodał przekornie: — Prawie bym zapomniał! Będiesz miała gościa. Tym razem zjawi się osobiście, zamiast listownie uczucia wyznawać. Pogruchajcie tu sobie, nim wrócę.

— Naprawdę, dzisiaj przyjdzie Sławek? Kiedy? — Odruchowo zaczęła poprawiać włosy.

— Zaraz. Nie musisz się stroić, nawet w szpitalnej piżamie go oczarujesz. — Zaśmiał się, mijając się w drzwiach ze Sławkiem.

Gdy bruneta zastąpił blondyn z bukietem róż, podziw współtowarzyszek Eweliny zmienił się w prawdziwy zachwyty.

Andrzej wyszedł na miasto z konkretnym zamiarem. W pobliżu odnalazł jubilera. Chciał kupić pierścionek zaręczynowy. Długo zastanawiał się nad wyborem — na pewno diament, nie za duży, nie za mały, ale... białe złoto czy platyna? Ostatecznie zdał się na radę młodej sprzedawczyni i kupił pierścionek z siedmioma brylancikami na obrączce z białego i żółtego złota. Za to w kwiaciarni się nie wahał, poprosił o zrobienie gustownego bukietu z lilii, hiacyntów i fiołków. Marta doceni pomysł, był tego pewien.

Gdy wrócił, zajrzał najpierw do matki. Dostała ochronę policyjną, chociaż już raczej nic jej nie zagrażało. Potem wpadł do Eweliny, u której wciąż siedział Sławek. Rozpromienieni trzymali się za ręce, a będące świadkami oświadczyń pacjentki miały łzy wzruszenia w oczach.

— O, czyżby coś mnie ominęło? — Andrzej udawał zaskoczonego.

— Zobacz, jaki piękny! — Ewelina wyciągnęła rękę, by pochwalić się pierścionkiem błyszczącym na jej serdecznym palcu. Sławek postawił na jeden duży brylant.

— Gratuluję. Cieszę się razem z wami! — Uśmiechnął się do Eweliny i serdecznie uściśnął rękę przyjaciela. — Gratuluję wam tym serdeczniej, że może razem weselisko wyprawimy.

Spojrzeli na niego pytająco. Wtedy wyciągnął z kieszeni pudełeczko z pierścionkiem.

Od autora

Drodzy Czytelnicy, chciałoby się zakończyć tę opowieść parafrazą: „I ja na tych dwóch weselach byłem, miód i wino piłem... A potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie w otoczeniu swych dzieci i wnuków”. Może tak było, a może dopiero będzie. Niech was nie opuszcza nadzieja, że święty ojciec Pio odwiedzi jeszcze kiedyś naszych bohaterów i znów poczują ten intensywny zapach — ni to fiołków, ni hiacyntów, ni lilii.

Wiele lat temu, na długo przed napisaniem tej książki, na mojej drodze stanęły anioły w ludzkich postaciach. Wtedy postanowiłem, że jeżeli nadarzy się okazja, to podziękuję kilku z nich.

Na pierwszym miejscu dziękuję Halinie Szaniawskiej, kobiecie o złotym sercu, która jako pierwsza uwierzyła we mnie i przez wiele lat współpracy zawodowej dawała mi bezinteresowne wsparcie, pokazując mi wartości tkwiące we mnie. Halinko, dziękuję za przyjaźń, która trwa już tyle lat.

Dziękuję Elżbiecie Sznajder za wspólne wycieczki po Warszawie. Tamten czas był niezwykły, a dzięki Tobie nie czułem się osamotniony w wielkim mieście.

Magdalenie Witkiewicz dziękuję za wspaniałe spotkania i wielką motywację, dziękuję za wzór bycia skromnym. Jesteś WIELKA.

Joannie Stovrag — za dobre rady, za wsparcie i pomoc przy realizacji planów wydawniczych.

Dziękuję Anecie Pimpis za rozmowy telefoniczne i nie tylko, za wszystkie dobre słowa skierowane w moją stronę.

Wspaniałej blogerce Agnieszce Krizel (<http://nietypowerecenzje.blogspot.com>) dziękuję za cudowne recenzje na jej blogu, które uwielbiam czytać.

Dziękuję Wydawnictwu Lira za szansę publikacji tej opowieści, a szczególnie paniom Alicji Berman oraz Annie Laskowskiej za wymianę korespondencji oraz redaktorce, pani Ewie Popielarz, za profesjonalną redakcję tekstu.

I dziękuję Tobie, drogi Czytelniku, za sięgnięcie po ten utwór. Mam nadzieję, że lektura sprawiła Ci przyjemność.



Autor

PIOTR PODGÓRSKI



Jakimi ścieżkami może chodzić miłość?

TRZY RAZY
miłość

Książka pełna uroku i magicznych zdarzeń. Polecam!
Magdalena Witkiewicz

L I R A
WYDAWNICTWO

